

JAMES SIEGEL

WYKOLEJONY

Z angielskiego przełożyła

Maciejka Mazan

Tytuł oryginału DERAILED



*Dla Mindy, która dba o rodzinę tak samo
jak o swój ogród – z wielką miłością, nieustającym
poświęceniem i niegasnącym entuzjazmem.*

PODZIĘKOWANIA

Chcę podziękować Sarze Ann oraz „tylko” Sarze za ogromną pomoc w konstruowaniu tej powieści, Larry’emu za to, że w nią wierzył, i oczywiście Richardowi za bezpardonową walkę w jej obronie.

ATTICA

Przez pięć dni w tygodniu uczę angielskiego w liceum East Bennington, a dwa razy w

tygodniu robię to samo wieczorami w więzieniu stanowym Attica. Oznacza to, że spędzam całe życie na odmienianiu czasowników w towarzystwie skazańców. Jedni czują się jak w więzieniu, drudzy naprawdę w nim są.

W wieczory przeznaczone na Atticę jem z żoną i dwojgiem dzieci wczesną kolację, żonę i nastoletnią córkę całuję na dobranoc, a czteroletniego synka wiozę na barana aż do drzwi. Ostrożnie stawiam go na podłodze, całuję w delikatne czółko i obiecuję, że po powrocie do niego zajrzę.

Wsiadam do ośmioletniego dodge'a neona jeszcze otoczony obłoczkiem emocjonalnego ciepła.

Kiedy mijam wykrywacz metalu w więzieniu Attica, po obłoczku nie ma śladu.

Może z powodu mosiężnej tabliczki na honorowym miejscu w pokoju spotkań. „Pamięci funkcjonariuszy penitencjarnych, którzy zginęli podczas buntów w więzieniu Attica”. Dla więźniów, którzy zginęli, nie ma żadnej tabliczki.

Dopiero zacząłem tu uczyć i jeszcze nie zdecydowałem, kto przeraża mnie bardziej – więźniowie czy strażnicy. Chyba jednak strażnicy.

Widzę, że mnie nie lubią. Uważają mnie za luksusowy sprzęt, jak kablówka, na który więźniowie nie zasłużyli. Wymyśl jakiegoś liberała, któremu nikt nigdy nie wsadził kosa w żebra, nie rzucił gównem w twarz, który nigdy nie musiał odklejać wytatuowanego ścierwa od podłogi zalanej zakażoną krwią.

Witają mnie z ledwie skrywaną pogardą. Magister, mamroczą. MGR – „Mały Gównojad Rozrabia”, jak napisał któryś na ścianie łazienki dla gości.

Wybaczam im.

Żyją wśród setek nienawidzących ich niewolników. Żeby to wytrzymać, muszą odpłacać tym samym. Nie pozwolono im na noszenie broni, więc uzbroili się we wrogość.

Co do więźniów, którzy przychodzą do mnie na lekcje, są podejrzanie spokojni. Wielu z nich to nieszczęsne ofiary drakońskich przepisów antynarkotykowych, które traktują nabycie niewielkich ilości kokainy na równi z handlem narkotykami. Na ogół wyglądają na zagubionych.

Od czasu do czasu zadaję im pracę pisemną. Napiszcie coś, mówię. Cokolwiek. Coś, co was interesuje.

Kiedyś prosiłem, żeby czytali swoje prace na głos. Robiłem tak do czasu, kiedy pewien czarnoskóry skazaniec o oczach jak wilcze jagody – nazywał się Benjamin Washington – odczytał coś, co brzmiało jak bełkot. Nie brzmiało, to był bełkot i koledzy go wyśmiali. Obraził się i później zasztyletował jednego z nich podczas śniadania złożonego z

galaretowatej jajecznicy i zwęglonej grzanki.

Wówczas postanowiłem, że prace będą anonimowe.

Piszą o tym, co ich interesuje, i odnoszą na moje biurko bez podpisu. Odczytuję to na głos i nikt nie wie, kto co napisał. Wie tylko autor i to wystarczy.

Ale pewnego dnia poprosiłem, żeby napisali coś, co byłoby interesujące także dla mnie. Ich historię. Na przykład, jak trafili do klasy pana Widdoesa w stanowym więzieniu Attica. Jeśli chcą być pisarzami, powiedziałem, niech zaczną od autobiografii.

Pomyślałem, że to może być pouczające, może nawet oczyszczające. I na pewno ciekawsze od historii „Motylka Małego”, ostatniego płodu... hm, anonimowego autora. Motylek Mały nadawał kolor i piękno zachwaszczonym trawnikom osiedla, dopóki lokalny handlarz narkotyków nie rozdeptał go, niestety, jak glizdę. Motylek Mały, wyjaśniał autor na dole strony, to cymboll.

Zadałem im wypracowanie na czwartek; we wtorek moje biurko było zasypane kartkami. Odczytałem je na głos w przypadkowej kolejności. Pierwsze opowiadanie dotyczyło niewinnego człowieka, którego wrobiono w napad z bronią w rękę. Drugie – niewinnego człowieka wrobionego w posiadanie narkotyków. Trzecie – niewinnego człowieka, wrobionego...

Więc może jednak nie będzie tak pouczająco, jak się spodziewałem.

Ale, z drugiej strony...

Następne opowiadanie. Właściwie wcale nie opowiadanie (choć miało tytuł), raczej rodzaj wstępu. Zaproszenie do opowiadania.

O następnym niewinnym człowieku.

Który pewnego dnia wsiadł do kolejki, żeby pojechać do pracy.

I wtedy coś się wydarzyło.

WYKOLEJONY: 1

Tego ranka, gdy Charles poznał Lucinę, przez parę chwil po tym, jak otworzył oczy, nie pamiętał, dlaczego wolał, żeby były zamknięte.

Potem z korytarza rozległ się głos jego córki Anny, i Charles pomyślał: „Aha”.

Żądała pieniędzy na obiad, usprawiedliwienia na gimnastykę i pomocy przy wypracowaniu, które miała oddać wczoraj.

Niekoniecznie w tej kolejności.

Ze zręcznością linoskoczka załatwił wszystkie trzy sprawy pomiędzy prysznicem, goleniem i ubieraniem. Musiał. Jego żona Deanna już wyszła do pracy w Szkole Podstawowej

nr 183, zostawiając mu na głowie dom.

Na parterze zauważył na kuchennym stole glukometr Anny i zużytą strzykawkę.

Spóźnił się przez Annę.

Kiedy dotarł na stację, pociąg już odjechał – jeszcze słyhać było jego cichnący stukot.

Do przybycia następnej kolejki na peronie zgromadził się nowy oddział dojeżdżających. Tych z 8.43 znał z widzenia, ale była 9.05, więc znalazł się na obcym terytorium.

Wyszukał sobie miejsce z dala od innych i natychmiast rzucił się na strony sportowe.

Był listopad. Baseball skończył się kolejnym zwycięstwem miejscowej drużyny. Koszykówka dopiero się rozkręcała. W piłce nożnej już teraz zapowiadał się rok nędzy i upadku.

I tak pozostał przez jakieś dwadzieścia minut: głowa spuszczone, oczy utkwione w jednym punkcie, zero myśli – i tylko nic nieznaczące wyniki meczów, które potrafił recytować z pamięci jak własny PIN, cyferki, które mógłby przytoczyć nawet przez sen, i czasami tak robił, tylko po to, żeby nie pamiętać tych innych wyników.

Jakich wyników?

No, na przykład wyników Anny.

Czasami były alarmująco wysokie.

Anna od ponad ośmiu lat cierpiała na młodzieńczą cukrzycę.

Nie było dobrze.

Więc wołał wyniki w rodzaju 3,25 – średnia punktów Rogera „Rakiety” Clemensa w zeszłym sezonie.

Albo dwadzieścia dwa – ładny, okrągły numer. Liczba punktów zdobytych przez Latrella Sprewella – z wysiłkiem i w trzepocie dredów – dla nowojorskich Knicksów.

Na takie wyniki mógł patrzeć z lekkim sercem.

Pociąg wzdrygnął się, zatrzymał.

Byli gdzieś pomiędzy stacjami – bure chałupy po obu stronach torów. Nagle przyszło mu do głowy, że choć jechał tą trasą częściej, niż chciał pamiętać, nie potrafi opisać mijanej okolicy. Nie wiadomo kiedy przestał wyglądać przez okna.

Schował się za gazetą.

Dokładnie w tej chwili, gdzieś pomiędzy artykułem Steve’a Serby’ego o zastosowaniu zasady natychmiastowego rewanżu oraz ubolewaniami Michaela Strahana nad zmniejszającą

się liczbą zdobytych baz – stało się.

Kiedy to sobie przypominał, zastanawiał się, co właściwie kazało mu podnieść głowę dokładnie w tym momencie.

I bez przerwy zadawał sobie pytanie, co by się stało, gdyby wtedy nie spojrział. Torturował się domysłami, najróżniejszymi wersjami, co by było, gdyby...

Jednak spojrział.

Pociąg o 9.05 z Babylon do Penn Station ruszył dalej. Z Merrick do Freeport, przez Baldwin i Rockville Centr. Z Lynbrook przez Forest Hills do Penn.

Natomiast życie Charlesa się wykoleiło – niezaprzeczalnie i efektownie.

ATTICA

Wieczorem, dwa dni po tamtej kolacji, mój czteroletni synek wdrapał mi się na kolana i zażądał, żebym pobawił się z nim w poszukiwanie skarbu.

– Będziemy szukać skarbu – szepnąłem, robiąc palcami małe kroczyki na jego plecach.
– Jest zaznaczony krzyżykiem... – Zaczął się wiercić i chichotać. Pachniał szamponem, landrynkami i plasteliną – zapach, który nieomylnie oznaczał tylko i wyłącznie jego.

– Żeby dostać się do skarbu, trzeba robić duże kroki i małe kroczyki – mruczałem, a kiedy skończyłem, spytał mnie, gdzie właściwie jest ten skarb, a ja odpowiedziałem od razu. Mieliśmy to wyuczone na pamięć.

– Tutaj.

I przytuliłem go.

Zona uśmiechnęła się do nas zza stołu.

Pocałowałem ich na do widzenia i przez chwilę zawahałem się w progu. Tak jakbym chciał wchłonąć tyle dobrych fluidów, żeby przetrwać ten wieczór w cuchnącej więziennej świetlicy. Były jak magiczna osłona przed złem.

– Uważaj na siebie – zawołała za mną żona.

Wykrywacz metalu zawył jak syrena przeciwlotnicza.

Zapomniałem wyjąć z kieszeni klucze do domu.

– E, Jobwok – odezwał się funkcjonariusz, obszukując mnie. – Zdziwisz się, ale klucze są z metalu.

Jobwok to Kowboj na wspak, a także Jołopowaty Oszołom Bez Wacka Oświatowo-Kulturalny.

MGR to nie jedyne moje przezwisko.

– Przepraszam – powiedziałem. – Zapomniałem.

Ledwie wszedłem do klasy, zobaczyłem na biurku następną część opowiadania. Jedenaście schludnie zadrukowanych stron.

O tak, pomyślałem. Opowiadanie dopiero się zaczyna.

Wkrótce zaczęły się pojawiać dalsze odcinki regularnie jak w zegarku.

Od tego czasu na każdej lekcji czekała na mnie następna część historii.

Czasami tylko parę stron – innym razem parę rozdziałów. Rozłożone na moim biurku nadal bez podpisu. Jak codziennie emitowana opera mydlana, od której nie sposób oderwać oczu. Opowiadanie miało wszystkie jej najważniejsze składniki – seks, kłamstwa i tragedię.

Nie czytałem tych odcinków klasie. Zrozumiałem, że są przeznaczone wyłącznie dla mnie. Dla mnie i, oczywiście, dla autora.

A skoro o nim mowa...

Dwudziestu dziewięciu uczniów.

Osiemnastu czarnych, sześciu Latynosów, pięciu trupio białych.

Miałem powody przypuszczać, że żaden z nich nigdy nie wsiadł do pociągu o 9.05 do Pennsylvania Station.

Więc gdzie się podziewał?

WYKOLEJONY: 2

Zarys uda – to najpierw.

Ale nie było to zwykłe udo. Udo gładkie, prężne i muskularne, udo, które z całą pewnością bywało na siłowni, udo przysłonięte modną minispódniczką, jeszcze krótszą z powodu pozy nóg, niedbale założonych jedna na drugą. Była to spódniczka, którą umiejscowiłby gdzieś w połowie drogi między seksownością i rozwiązłością. Więc była jednocześnie taka i taka.

To właśnie zobaczył Charles, kiedy podniósł wzrok.

Dostrzegł jeszcze czarną szpilkę na wysokim obcasie, wystającą w stronę przejścia pomiędzy miejscami. Lekko kołysała się w rytmie kolejki. Charles siedział zwrócony twarzą do jej właścicielki, tyłem do kierunku jazdy. Ale jej twarz zasłaniała pierwsza strona „The New York Timesa”, a nawet gdyby nieznajoma nie kryła się za niepokojącym, choć znajomym tytułem „Konflikt na Dalekim Wschodzie”, Charles nie zdołałby podnieść wzroku na wysokość jej twarzy. Wpatrywał się w udo i wbrew wszelkiemu doświadczeniu miał nadzieję, że kobieta okaże się piękna.

I była.

Zastanawiał się nad następnym ruchem – wrócić do wyników sportowych, wyjrzeć przez zaświnione okno czy wbić wzrok w reklamy banków i linii lotniczych na obu ścianach wagonu – po czym nagle porzucił ostrożność i zerknął w górę. Gazeta obniżyła się nieco, wreszcie ujawniając ukrytą za nią twarz.

Tak, była piękna.

Te oczy.

Robiły wrażenie. Wielkie, sarnie, wcielona czułość. Pełne, wydęte usta, które leciutko zagryzała. Włosy? Tak miękkie, że zapragnął owinąć się nimi jak kokonem i nigdy, przenigdy nie wyjść na zewnątrz.

Miał nadzieję, że będzie swojska, nawet interesująca albo zwyczajnie słodka. Akurat! Była niezaprzeczalnie olśniewająca.

I to był problem, ponieważ Charles ostatnio stał się dość podatny na pewne wpływy. Stworzył sobie coś w rodzaju świata alternatywnego.

W tym świecie nie miał żony, a jego dziecko nie było chore, ponieważ w ogóle nie miał dzieci. W tym świecie wszystko toczyło się po jego myśli. On był jego panem.

Więc nie chciał, żeby kobieta czytająca „The New York Timesa” okazała się piękna. Bo to było jak zerknięcie do alternatywnego świata, gdzie zapraszano go do środka, by zechciał się rozgościć. Wszyscy wiedzą, że światy alternatywne są dla dzieci i rozkochanych w fantastyce świrów.

Światy alternatywne nie istnieją.

– Bileciki. – Konduktor stał mu nad głową i czegoś chciał. Czego? Nie widzi, że Charles jest zajęty ustalaniem ograniczeń swego życia?

– Bileciki – powtórzył.

Był poniedziałek, a Charles zapomniał kupić bilet tygodniowy. Spóźnienie wytrąciło go z ustalonego rytmu – i proszę, raptem znalazł się wśród obcych, w dodatku bez biletu.

– Zapomniałem kupić – wyznał.

– W porządku.

– Zapomniałem, że to poniedziałek.

– Nie szkodzi.

Teraz przypomniał sobie coś więcej. W poniedziałki wypłacał pieniądze z bankomatu. Tyle, żeby wystarczyło na bilet i przeżycie tygodnia. I nie miał ich przy sobie.

– Dziewięć dolarów – odezwał się konduktor.

Jak większość małżeństw, Charles i Deanna dostawali pensję w tygodniowych ratach,

po troszku. Portfel Charlesa leżał tam gdzie zwykle w poniedziałek – w kuchni na stole. Deanna bez wątpienia wytrząsnęła z niego ostatnie drobniaki. Był pusty.

– Dziewięć dolarów – powtórzył konduktor, tym razem niecierpliwie. Bez wątpienia zaczynał się denerwować.

Charles mimo wszystko przeszukał portfel. Zawsze można się spodziewać, że się mylił, że gdzieś pomiędzy wizytówkami i liczącymi sześć lat fotografiami kryje się wepchnięta dwudziestka. Poza tym przyjęło się zaglądać do portfela, kiedy ktoś prosi o pieniądze.

A prosił. Raz po raz.

– Wstrzymuje pan cały pociąg – powiedział konduktor. – Dziewięć dolarów.

– Chyba nie... – Szperał pomiędzy pomiętymi rachunkami, usiłując ukryć zażenowanie z powodu przyłapania bez grosza przy duszy w kolejce pełnej zamożnych podróżnych.

– Ma pan te pieniądze czy nie? – spytał konduktor.

– Jeszcze chwileczkę...

– Proszę – powiedział ktoś. – Ja zapłacę. Ona.

Trzymała dziesięćdolarowy banknot. Posłała mu uśmiech, który kompletnie zachwiał jego równowagę.

WYKOLEJONY: 3

Ze wszystkich rzeczy, o których rozmawiali – a rozmawiali o wszystkim – jedną pomijali milczeniem.

Dojeżdżanie do pracy? Tak.

Pomyślałam sobie, powiedziała, że gdyby nasz kraj był zarządzany tak jak koleje Long Island, wszyscy mielibyśmy poważne kłopoty. A potem przyszło mi do głowy, że być może jest i że faktycznie mamy kłopoty.

Pogoda? Oczywiście.

Jesień to moja ulubiona pora roku, powiedziała. Ale do czego prowadzi?

Praca? Zdecydowanie.

Pracuję w reklamie, powiedział Charles. Jestem dyrektorem kreatywnym.

Oszukuję klientów, oznajmiła. Jestem maklerem. I dodała: żartowałam.

Ulubione restauracje... studia... filmy. O wszystkich rozmawiali, dyskutowali, wspominali.

Tylko nie o małżeństwie.

O małżeństwach, liczba mnoga, bo ona też miała obrączkę.

Może małżeństwo nie należy do mile widzianych tematów podczas flirtowania. Jeśli, oczywiście, naprawdę flirtowali. Charles nie był pewien, wyszedł z wprawy, zresztą nigdy nie czuł się zbyt swobodnie w towarzystwie kobiet.

Ale kiedy ona wcisnęła banknot w dłoń konduktora, a on bez przerwy protestował – ależ nie, nie musi pani tego robić – i kiedy konduktor wydał jej dolara reszty, wciąż przy akompaniamencie protestów Charlesa – nie, naprawdę, to zupełnie zbędne – poddał się i usiadł na pustym miejscu obok niej. Dlaczego nie? Czy nie tego wymaga uprzejmość względem kogoś, kto nam pomógł? Nawet jeśli ten ktoś wyglądał, jak ona?

Jej uda przesunęły się, żeby zrobić mu miejsce. Choć nie potrafił oderwać spojrzenia od jej zapierającej dech w piersiach twarzy, kątem oka odnotował ruch nóg i to wspomnienie pozostało z nim, gdy rozmowa oscylowała wokół banałów, drobiazgów i błahostek. Banał, drobiazg i błahostka – dobre na nazwę dla kancelarii specjalizującej się w szkodach moralnych.

Na przykład spytał ją, dla którego domu maklerskiego pracuje. Morgan Stanley, odpowiedziała. A ile lat? Osiem. A gdzie pracowała przedtem?

W McDonalddie, odpowiedziała. W liceum.

Jest nieco od niego młodsza, przypominała mu w ten sposób. Na wypadek, gdyby nie zauważył.

Zauważył. Przez cały czas usiłował znaleźć odpowiednie słowo na opisanie jej oczu i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie najlepiej pasuje „światliste”. Tak, światliste. O to chodzi.

– Oddam ci pieniądze od razu na Penn Station – powiedział, nagle przypomniawszy sobie o długu.

– Możesz oddać jutro. Oczywiście dziesięć procent za zwłokę.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem lichwiarki. Miażdżysz nogi swoim dłużnikom?

– Tylko jaja.

Więc chyba jednak flirtowali. A jemu szło całkiem nieźle. Może to jest tak jak z jazdą na rowerze albo z seksem, nie można się tego oduczyć. Choć możliwe, że on i Deanna się oduczyli.

– Zwykle jeździsz kolejką o tej godzinie? – spytał.

– Bo co?

– Bo chciałbym ci zwrócić pieniądze.

– Daj spokój. To dziewięć dolarów. Jakoś sobie poradzę.

– Nie. Muszę ci oddać. W przeciwnym razie czułbym się ambiwalentny moralnie.

– Ambiwalentny? Tego bym nie chciała. Nawiasem mówiąc, jest w ogóle takie słowo? Zaczerwienił się.

– Chyba tak. Raz wyszło mi w krzyżówce, więc chyba istnieje.

I w ten sposób zaczęli rozmawiać o czym? O krzyżówkach. Ona je lubiła, on nie.

Ona mogła rozwiązać poniedziałkową krzyżówkę z zamkniętymi oczami. On potrzebował do tego szeroko otwartych oczu i tej części mózgu, której nie posiadał. Części odpowiedzialnej za koncentrację i przebojowość. Jego umysł za bardzo lubił błąkać się po manowcach, żeby skupić się nad sześcioliterowym słowem oznaczającym, powiedzmy... odwrotność radości. No dobrze, dobrze, to akurat łatwe. Smutek. To miejsce, w którym jego umysł uparł się ostatnio spędzać tak wiele czasu. Gdzie zbudował sobie domek i zdecydowanie nie zgadzał się na wyprowadzkę. Oczywiście z wyjątkiem chwil, kiedy przebywał w świecie alternatywnym lub flirtował z zielonookimi, poznanymi przed chwilą kobietami.

Wybierali błahe tematy. Rozmowa trochę przypominała pociąg: toczyła się gładko po wyznaczonych torach, od czasu do czasu przystając, żeby podjąć nowy temat i znowu nabrać szybkości. I raptem znaleźli się pod East River, prawie u celu.

– Mam szczęście, że cię dziś spotkałem – odezwał się w ciemnościach, przy błyskach światełek w tunelu. Widział tylko niewyraźny zarys jej sylwetki. Miał wrażenie, że przed chwilą wsiadł, przed chwilą poproszono go o dziewięć dolarów, których nie miał, i zaledwie przed chwilą zmieniła upozowanie ud i zapłaciła za niego.

– Coś ci powiem. Jedź jutro tym samym pociągiem, to oddam ci pieniądze.

– Więc... randka – powiedziała.

Przez resztę dnia, kiedy już uściskał jej rękę na pożegnanie i patrzył, jak znika w tłumie na stacji, po dziesięciu minutach wyczekiwania na taksówkę i powitaniu szefa, Eliota, który, zobaczywszy go, od razu kazał mu się przygotować na najgorsze, rozmyślał o tym słowie, które wybrała.

Mogła powiedzieć: dobrze, może być, do zobaczenia jutro. Mogła powiedzieć: dobry pomysł. Albo: niedobry pomysł. Albo: prześlij mi je pocztą.

Ale powiedziała: więc... randka.

Na imię miała Lucinda.

WYKOLEJONY: 4

Coś się kroilo.

Eliot poinformował go, że klient od karty kredytowej chce z nimi dziś porozmawiać. A

ściślej: nawrzeszczyć na nich.

Niedotrzymane terminy, zafałszowane badania rynku, brak porozumienia finansowego – do wyboru, do koloru.

Choć prawdziwa przyczyna była ta sama, co zwykle.

Kasa.

Interesy po prostu nie szły dobrze: za duża konkurencja, za wielu klientów ze zbyt wielką swobodą wyboru. Pora się płaszczyć, nie unosić honorem.

To będzie wizyta w gabinecie dyrektora, wezwanie na dywanik, pogadanka ze Starym. A on musi przyjąć karę i jeszcze podziękować.

Sam widok Ellen Weischler pozbawił go złudzeń.

Wyglądała, jakby zjadła cytrynę albo poczuła jakiś wstrętny zapaszek. Nawet wiedział, o co chodzi. Ostatnia reklama, którą zrobili dla jej firmy, była festiwalem przeciętności. Złe zdjęcia, zły scenariusz, złe przyjęcie. Nieważne, że zaproponowali im inną. Że prosili, błagali i tak, nawet się płaszczyli, by tamci raczyli się zdecydować na drugi scenariusz. Nieważne, że pierwszy montaż reklamy był niemal dobry – inteligentny, wręcz nowoczesny – dopóki klient, z Ellen na czele, nie zaczął się wtrącać. Zmienili montaż, zmienili ujęcia, zdecydowanie na gorsze, aż wreszcie otrzymali tego swojego psa, machającego ogonem pięć razy dziennie na wszystkich programach sprzedaży wysyłkowej w całym kraju. Ale to się nie liczyło, ponieważ to oni podpisali się pod reklamą, a kasa – konkretnie siedemnaście procent od stu trzydziestu milionów – miała przestać płynąć z jednego głupiego powodu.

Tym powodem był oczywiście Charles.

Powitał Ellen chłodnym cmoknięciem w policzek – w połowie drogi omal się nie rozmyślił, bo przyszło mu do głowy, że osobie, która ma go znokautować, powinien raczej uścisnąć rękę.

– No tak... – odezwała się Ellen, kiedy wszyscy zajęli miejsca. Wszyscy, czyli Charles, Eliot, dwaj faceci z księgowości – Mo i Lo – oraz Ellen i jej świta. „No tak...” – to samo mówiła matka Charlesa, kiedy znalazła „Playboya” pod jego łóżkiem. No tak... to wymagało wyjaśnień i z całą pewnością skruchy.

– Pewnie chcecie nam zwiększyć prowizję? – odezwał się Charles. Oczywiście miał to być żart, ale nikt się nie roześmiał. Ellen nadal siedziała z kwaśną miną. Nawet zbrzydła jeszcze bardziej.

– Mamy parę poważnych zastrzeżeń – oznajmiła.

My też mamy parę poważnych zastrzeżeń. Nie podoba nam się, że ciągle się wtrącacie w naszą pracę. Nie lubimy być poniżani, pomniejszani, ignorowani, tłamszeni. I nie lubimy

takich min.

Tak chciał powiedzieć. A naprawdę powiedział:

– Rozumiem.

I zrobił minę zbitego psa, którą opanował do perfekcji.

– Można mówić i mówić, jak grochem o ścianę – zagęgała Ellen.

– No, bo...

– Dokładnie o to mi chodzi. Najpierw mnie wysłuchaj! Potem mów.

Charles doszedł do wniosku, że Ellen przekroczyła granice złości i zmierza prosto w stronę chamstwa. Gdyby była jego znajomą, wyszedłby z pokoju. Gdyby nie była klientką, za którą stoi sto trzydzieści milionów, kazałby jej spadać na bambus.

– Oczywiście – powiedział.

– Ustaliliśmy pewną strategię. Zgodziliśmy się na nią. A wy odchodźcie w innym kierunku!

Tym kierunkiem był dowcip, humor, rozrywka i wszystko to, co mogło naprawdę przykuć uwagę widza.

– Na przykład ostatnia reklama.

No właśnie.

– Zaakceptowaliśmy scenariusz. Powiedzieliśmy, że ma być zrealizowany w pewien szczególny sposób. A wy wysyłacie nam materiał, który nie ma nic wspólnego z tym, na co się zgodziliśmy. Ten nowojorski humor!

Gdyby użyła jakiegoś wulgarnego słowa, na przykład p...a, nie mogłaby go wymówić z większą odrazą.

– Jak wiecie, zawsze się staramy...

– Powiedziałam: słuchaj.

Wyraźnie wkroczyła na teren chamstwa i zmierzała w stronę bestialstwa. Charles zaczął się zastanawiać, czy wyjdą z tego cało.

– Musieliśmy odesłać materiał, żeby was zmusić do zmontowania go w uzgodniony sposób. – Zamilkła i wbiła wzrok w blat stołu.

Ta pauza nie spodobała się Charlesowi.

Nie była to chwila milczenia, zapraszająca do odpowiedzi. Nie była to nawet przerwa na nabranie oddechu. Była to pauza, zapowiadająca coś gorszego. Takie pauzy robiły jego dziewczyny, zanim zadały ostateczny cios i rozwiały wszelkie nadzieje. I nieuczciwi sprzedawcy, kiedy mieli przejść do zastrzeżeń, zapisanych w umowie drobnym druczkiem. I lekarze z pogotowia, zanim powiedzieli mu, co konkretnie dolega jego córce.

W końcu podniosła głowę i powiedziała:

– Przyda się nam zmiana kierunku.

Co to miało znaczyć? Poza tym, że na pewno coś złego. Czyżby chciała zerwać kontrakt z agencją?

Spojrzał na Eliota, który – dziwne, dziwne – także wpatrywał się w blat stołu.

Wtedy zrozumiał.

Nie chodziło o agencję.

Chodziło o niego.

Wywalali go. Dziesięć lat pracy, czterdzieści pięć reklam, znaczna liczba branżowych nagród – wszystko to bez znaczenia.

Odpowiedź brzmiała: nie. Nie wyjdzie z tego cało. Eliot tak, a on nie. I wyglądało na to, że Eliot o tym wie. Nie robi się takiego kroku bez ostrzeżenia.

Et tu, Brute?

Nikt się nie odzywał. Ta pauza była nie tylko brzemienna – od razu urodziła mnóstwo złych, wrzeszczących dzieci. Charles się przestraszył, że sam się rozryczy – po prostu położył głowę na blacie i zacznie łkać. Nie potrzebował lustra, by wiedzieć, że oblewa się krwawym rumieńcem. Nie potrzebował psychiatry, by wiedzieć, że jego samoocena zaliczyła poważny cios.

Ellen odchrząknęła. Aha! Tyle razy mu przypominała, żeby milczał, a teraz czeka, aż coś powie. Czeka na jego pożegnalne przemówienie.

– Nie chcecie mnie w firmie.

To miało zabrzmieć beznamytnie, może nawet nieco wyzywająco, ale się nie udało. Zabrzmiało jęklonie i słabo, wręcz żałośnie.

– Na pewno doceniamy wszystkie twoje wspaniałe osiągnięcia – zaczęła. Potem Charles jakby się wyłączył. Pomyślał, że gdyby to była niepokorna agencja, niepokorny prezes, mogliby się opowiedzieć po jego stronie, oznajmić, że sami wybierają swoich współpracowników i że wybrali Charlesa. Może. Gdyby pieniądze były mniejsze, gdyby interesy szły lepiej, gdyby wszyscy nie spędzali tyle czasu na klęczkach...

Eliot nadal wpatrywał się w blat i coś gryzmolił, jakby chciał czymś zająć ręce na czas publicznego ćwiartowania Charlesa. Albo może rozwiązywał zadanie matematyczne: sto trzydzieści milionów kontra Charles Schine – i ciągle wychodziło mu to samo.

Charles nie pozwolił jej skończyć.

– Było miło – powiedział. Wreszcie znalazłem odpowiedni ton, pomyślał. Znużony cynizm z nutką szlachetności.

Wyszedł z sali konferencyjnej jakby w bańce rozpalonej mgły. Miał wrażenie, że opuszcza saunę.

I znalazł się w zupełnie innym klimacie. Plotka już się rozeszła. Widział to na ich twarzach, a oni widzieli to na jego twarzy. Ledwie skinął głową swojej sekretarce, wszedł do gabinetu, zatrzasnął drzwi.

Później, gdy wszystko się rozpadło, z trudem sobie przypomniał, że wszystko zaczęło się tego ranka.

W taki sposób.

Na razie usiadł za zamkniętymi drzwiami i zaczął się zastanawiać, czy Lucinda będzie jutro w pociągu.

WYKOLEJONY: 5

Nie było jej.

Wsiadł do pociągu o tej samej godzinie, stanął na peronie w tym samym miejscu.

Przeszedł przez wszystkie wagony – najpierw do tyłu, potem w stronę lokomotywy – przyglądając się wszystkim bacznie jak ludzie, którzy na lotnisku wypatrują krewnych z zagranicy. Twarzy znajomych, choć nieznanymi, twarzy widzianych przed wielu laty.

– Pamięta pan tę kobietę, która wczoraj za mnie zapłaciła? – spytał konduktora. – Widział ją pan?

– Co? – Konduktor nie pamiętał ani jego, ani jej, ani w ogóle całego incydentu. Może przyzwyczaił się do wrzeszczenia na pasażerów, może wczorajsza awantura w ogóle nie zasługiwała na zapamiętanie.

– Nieważne – powiedział Charles.

Nie było jej.

Trochę się zdziwił, że to ma dla niego takie znaczenie. Do tego stopnia, że wędrował po wagonach jak szukający ciepła bezdomny. W końcu była jedynie mężatką, która pozwoliła sobie na nieszkodliwy flircik w drodze do pracy. Dlatego właśnie nieszkodliwy, że mieli się więcej nie spotkać... Więc właściwie dlaczego jej szukał?

No, bo chciał porozmawiać. Chyba. O tym i o owym. Na przykład o tym, co go wczoraj spotkało w pracy.

Deannie nie potrafił powiedzieć.

A był już gotowy. Naprawdę.

– Jak ci poszło w pracy? – spytała przy kolacji.

Całkowicie naturalne pytanie – prawdę mówiąc, pytanie, na które czekał. Ale Deanna

była zmęczona i zmartwiona. Kiedy wszedł do kuchni, sprawdzała wyniki poziomu cukru we krwi Anny.

Dlatego powiedziała:

– Wszystko dobrze.

I na tym się skończyło.

Kiedy Anna zachorowała, nie rozmawiali o niczym innym. Dopóki nie stało się jasne, co ją czeka. Wtedy przestali rozmawiać, ponieważ rozmawiając, musieliby się z tym pogodzić.

Stworzyli sobie całą listę spraw, o których ze sobą nie rozmawiali. Na przykład, przyszła praca Anny. Każdy artykuł medyczny o związanej z cukrzycą amputacji kończyn. Ogólnie mówiąc, wszystkie złe wiadomości. Ponieważ rozmowa o czymś, co nie dotyczyło Anny, jakoś by ją pomniejszała.

– Dziś pani Jeffries była z wizytacją na mojej lekcji – odezwała się Deanna. Pani Jeffries była dyrektorką szkoły.

– I jak poszło?

– Dobrze. Na ogół. Wiesz, że zawsze dostaje spazmów, kiedy trochę odejdę od planu lekcji.

– Więc odeszłaś?

– Tak. Ale zadałam im wypracowanie na temat: „Dlaczego lubimy naszą panią dyrektor?”, więc chyba nie powinna narzekać, prawda?

Charles parsknął śmiechem. I pomyślał, że kiedyś to im się często zdarzało. Roześmiani Schine'owie. Spojrzał na żonę i pomyślał: tak, nadal jest piękna.

Włosy ciemnoblonde – może odrobinę rozjaśnione – bujne, kędzierzawe, ledwie dające się ujarzmić białą elastyczną opaską; ciemnobrązowe oczy, które nigdy nie spoglądały na niego bez choćby śladu miłości. Ale teraz z kącików tych oczu rozchodziły się promieniste zmarszczki zmęczenia, jakby łzy wyłobiły ślady na skórze. Jak te linie, przecinające się na fotografiach Marsa – wyschnięte koryta rzek, wyjaśniali astronomowie, wspomnienie po niegdysiejszych burzliwych wodach, które przetaczały się przez obecnie martwy krajobraz. Tak czasem myślał o Deannie – że wypłakała wszystkie łzy.

Po kolacji oboje poszli na piętro. Charles usiłował pomóc Annie w pracy domowej na temat rozdziału spraw państwowych i kościelnych – usiłowała coś napisać przy MTV z dźwiękiem podkreślonym do poziomu tortury.

– Jakie kroki podjęły Stany Zjednoczone, żeby rozdzielić Kościół i państwo? – spytał Charles, ale wymówił te słowa tak, żeby Anna zrozumiała sygnał – należy rozdzielić pracę

domową i telewizję.

Udała, że nie chwyta. Wreszcie stanął przed telewizorem, żeby nie mogła zerkać na Brittany, Mandy, czy inną Christine i zajęła się pracą. Powiedziała, żeby się ruszył.

– Proszę bardzo – odparł i zaczął podrygiwać jak tańcząca nastolatka. Widzisz? Ruszam się.

Wreszcie sprowokował ją do uśmiechu, co jest znaczącym osiągnięciem w przypadku trzynastolatki, która przez cały dzień chodzi nadęsa z krótkimi przerwami na ataki złości. Ale w końcu miała ku temu powody.

Skończył jej pomagać i pocałował ją w czubek głowy, na co mruknęła coś, co brzmiało jak „Pa, pa”, albo „Spadaj”.

Potem wszedł do sypialni, gdzie Deanna leżała pod kołdrą i symulowała sen.

Następnego ranka wpadł przy windach na Eliota.

– Mogę cię o coś spytać? – zagadnął.

– Jasne.

– Wiedziałeś, że mnie wyrzuca?

– Myślałem, że chcą wyrazić niezadowolenie z reklamy. Zwolnienie ciebie było wyrazem tego niezadowolenia.

– Ciekawi mnie, czy wiedziałeś, co się kroi.

– Dlaczego?

– Dlaczego?

– Dlaczego chcesz wiedzieć, czy wiedziałem? Co za różnica?

Otworzyły się drzwi windy; w środku stał Mo z dwoma notesami i nową dyrektorką kreatywną projektu.

– Na dół? – spytała.

WYKOLEJONY: 6

– Lucinda – powiedział. Albo zaskomlił.

Tak to zabrzmiało w jego uszach – jak głos psa, któremu ktoś nadepnął na ogon.

Znów była w pociągu.

Nie zauważył jej, kiedy usiadł; otworzył gazetę i natychmiast zatonął w sportowym świecie: „Trener Fassel ubolewa nad brakiem zaangażowania prawego skrzydłowego podczas zeszłego meczu...”.

Potem ta czarna szpilka, obcas cienki jak sztylet wycelowany w jego serce, gdy podniósł głowę i obnażył pierś, by mogła zadać cios.

– Lucinda...

Sekundę później ta idealna twarz wychyliła się, żeby na niego zerknąć, oczy ukryte za okularami w czarnych oprawkach – przedtem nie miała okularów, prawda? – i stuwatowy uśmiech. Nie, raczej taki, jak blask tych żarówek z mlecznym szkłem, nie rażący, lecz dodający urody wszystkiemu wokół.

I powiedziała: cześć. Takie słodkie „cześć”, jakby z głębi serca, jakby się cieszyła na jego widok, choć dzieliły ich cztery rzędy siedzeń i trzy dni od wyznaczonego spotkania.

– Może usiądziesz ze mną? – szepnęła.

No, może i tak.

Kiedy znalazł się obok niej, przesunęła te swoje niemożliwie długie nogi, żeby go przepuścić.

– W samą porę – powiedziała. – Już miałam dzwonić na policję i zgłosić kradzież dziewięciu dolarów.

Uśmiechnął się.

– Szukałem cię wtedy.

– Akurat.

– Nie, naprawdę.

– Żartowałam, Charles.

– Ja też – skłamał.

– No to... – Wyciągnęła rękę o nieskazitelnie wypieszczonych, krwawoczerwonych paznokciach. – Płać.

– Jasne. – Sięgnął po portfel. Otworzył mu się akurat na zdjęciu Anny; natychmiast je ukrył, jakby to było ostrzeżenie, którego nie miał ochoty słuchać. Położył na jej dłoni sztywny dziesięciodolarowy banknot, czubkami palców muskając ciało, lekko wilgotne i gorące.

– Twoja córka? – spytała.

Zarumienił się, był tego pewien.

– Aha.

– Ile ma lat?

– Za dużo.

Przemądrzały ton doświadczonego ojca. Dobrotliwe „no kocham ją, co zrobić, ale czasem mam ochotę skrócić jej kark”.

– Skąd ja to znam.

Więc też miała dzieci. No, jasne.

– Córki? – spytał.

– Jedna.

– Dobrze, ja ci pokazałem, teraz ty mi pokaz.

Roześmiała się. Punkt dla niego. Sięgnęła do torby, jednej z tych ogromniastych, z którymi można by jeździć pod namiot, gdyby nie były z tak ostentacyjnie kosztownej skóry. Wyłowiła portfel i podsunęła mu otwarty.

Bardzo fotogeniczna dziewczynka, mniej więcej pięcioletnia, jasne włosy rozwiane na wszystkie strony, zatrzymana w powietrzu na jakiejś huśtawce, możliwe, że na wsi. Piegi, kościste kolanka, słodki uśmiech.

– Urocza – powiedział szczerze.

– Dzięki. Czasami zapominam. – Naśladownictwo jego tonu zmęczonego rodziciela. – Twoja też jest śliczna... o ile zdążyłam dostrzec.

– Mały aniołek – powiedział i natychmiast pożałował, że wybrał akurat to słowo.

Konduktor poprosił o bilety. Charles miał ochotę go spytać, czy teraz przypomina sobie tę panią. Mało mu oczy nie wypadły, tak się gapił na jej nogi.

– Proszę – powiedziała do Charlesa, kiedy konduktor wreszcie zmusił się do odejścia. Włożyła mu banknot w dłoń.

– Myślałem, że jestem ci winien procent.

– Daruję ci. Tym razem.

– Nie pamiętam, żebyś nosiła okulary.

– Sprawiam sobie nowe kontakty.

– A. Nawiasem mówiąc, świetnie wyglądasz.

– Serio?

– Aha.

– Nie za poważnie?

– Lubię poważne dziewczyny.

– Dlaczego?

– Dlaczego lubię poważne dziewczyny?

– Tak, Charles. Dlaczego lubisz poważne dziewczyny?

– Nie wiem. Poważnie.

Uśmiechnęła się.

– Zabawny jesteś.

– Staram się.

Przejeżdżali właśnie koło Rockville Center; kino, do którego często zabierał Deannę, było wyraźnie widoczne. I przez jedną surrealistyczną chwilę wyobrażał sobie, że spogląda na swoją przeszłość. Że jest na dobre zadomowiony w swoim nowym świecie – w Charlesville. Lucinda i on, nowożeńcy, w drodze do pracy. Jeszcze gawędzą o minionym miesiącu miodowym... dokąd właściwie pojechali? Na Kauai, tak, dwa tygodnie w snobistycznym Hiltonie. Już zaczynają się zastanawiać, czy chcą mieć dzieci – przecież nie stają się młodszy. Chłopiec i dziewczynka, postanawiają, choć tak naprawdę to bez znaczenia. Byle były zdrowe, oczywiście...

– Dużo roboty? – spytała.

– Jasne. – Dużo roboty z prześlągiwaniem wściekłych, żądnych jego głowy klientów oraz szefów, tylko czekających, żeby go zdradzić. I przez jedną chwilę miał ochotę powiedzieć, co naprawdę dzieje się w jego pracy, po czym znaleźć wygodne miejsce na jej ramieniu i wypłakać się na nim.

– U mnie też.

– Co?

– Ja też będę miała dużo roboty.

– Pewnie ostatnio miewasz sporo nieprzyjemnych rozmów.

– No, jeśli grożenie śmiercią uznamy za nieprzyjemne...

Uśmiechnął się.

– Ty też jesteś zabawna.

– Serio?

– No. Za dobrych czasów klienci cię pewnie uwielbiali.

– Coś ty. Wtedy uważali, że zarabia się dla nich nie dość kasy. Wszyscy mieli kuzynów, szwagrów czy babki, których akcje podrożały sześćdziesiąt cztery razy. Dlaczego im nie sprzedałam takich akcji?

– No, ale przyznaj, że to było jak rzucanie strzałek.

– Jasne. Teraz oni rzucają we mnie.

Wydawało mu się, że wychwycił cię obcego akcentu? Ale jakiego?

– Urodziłaś się w Nowym Jorku? – spytał.

– Nie, w Teksasie. Dziecko pułku. Dorastałam wszędzie i nigdzie.

– Musiało ci być ciężko.

Uznał, że ten banał jest tu na miejscu.

– No wiesz, najlepsza przyjaciółka zmieniała się co pół roku. Ale z drugiej strony, było nawet dość fajnie, bo jeśli się miało ochotę, samemu też można się było zmienić. Jeśli

narozrabiałeś w Amarillo, w Sarasocie nie musieli o tym wiedzieć. Można było zacząć z czystym rejestrem.

– Dostrzegam plusy tej sytuacji – powiedział. Mężczyzna naprzeciwno udawał, że czyta gazetę, ale robił dokładnie to samo co konduktor. Czyli wpatrywał się jak zahipnotyzowany w nogi Lucindy. Charles poczuł pewnego rodzaju dumę posiadacza – nawet jeśli jego prawo własności miało wygasnąć po czterdziestu pięciu minutach na Penn Station.

– Często ci się to zdarza? – spytał.

– Co?

– Często rozrabiasz?

– Zdarzyło mi się. Zbuntowałam się przeciwko autorytetom.

– Tak to nazywasz?

– Nie. Oni tak to nazwali. Ja to nazwałam dawaniem czadu.

– Jacy oni? Rodzice?

– Tak. I wojskowy psychiatra, do którego kazali mi pójść. – I jak było?

– Znasz jakiegoś psychiatrę?

– Generała czubków? Nie.

Roześmiała się.

– Widzisz? Mówiłam, że jesteś zabawny.

Tak, można umrzeć ze śmiechu.

– Może zechciałabyś zadzwonić do moich klientów, żeby im to powiedzieć?

– Jasne. Jak naprawdę u ciebie w pracy?

– Świetnie.

– Powiedziałaś, że pracujesz w... reklamie?

– Tak.

– Więc? Jak sobie radzicie w tych czasach?

– Są dobre i złe dni.

– I...?

– I...?

– Teraz są złe?

– No, nikt mi nie grozi śmiercią.

Nie, tylko degradacją.

– Daj spokój, ja narzekam na moją robotę, ty na swoją. Ma być sprawiedliwie.

Więc co do diabła. Powiedział jej.

Początkowo nie zamierzał wyjawiać nic ponad to, że ma drobny problem z klientem,

ale kiedy zaczął, okazało się, że nie może skończyć. Słuchał z najwyższym zdumieniem, jak z jego ust płyną szczegóły zbiorowego Sturm und Drang. Jadowita Ellen Weischler. Zdrajca Eliot. Ogólna niesprawiedliwość.

Pewnie mogła mu przerwać. Mogła powiedzieć, że ma dość, albo spytać, czy naprawdę chce jej o tym opowiadać, albo nawet go wyśmiać.

Ale nie zrobiła nic z tych rzeczy. Słuchała. A kiedy skończył, powiedziała:

– A ludzie mówią, że to praca maklera jest do dupy.

– Nie wiem, dlaczego ci o tym opowiedziałem. Przepraszam.

Ale nie żałował. Był zażenowany, no tak, ale jednocześnie jakby oczyszczony. Jakby wreszcie zwymiotował wczorajszą zepsutą kolację i mógł znowu wrócić do stołu.

A potem zrobiła coś więcej. Poglaskała jego prawy bark. Takie delikatne, kojące muśnięcie, przyjacielskie, siostrzane.

– Biedactwo – powiedziała.

A Charles mimo woli pomyślał, że pewne banały są wyśmiewane chyba tylko z zazdrości. Na przykład: Od jej dotyku przeszedł go dreszcz. Banał, uważany za bzdurę przez tych pechowców, którym nie było dane przeżyć niczego takiego. Czyli przez większą część ludzkości. Bo od dotyku Lucindy naprawdę przeszedł go dreszcz, jego ciało rozwibrowało się jak linie wysokiego napięcia, które opasują wyschnięte równiny Kansas.

Wpadli w tunel pod East River – tunel miłości, przyszło mu do głowy – i przez małą chwilkę bał się, że zaraz się pochyli do niej i zrobi coś głupiego. Że za to coś głupiego zabiorą go w kajdankach prosto z peronu.

Potem coś się wydarzyło.

W wagonie panowały nieprzeniknione ciemności, światła zgasły jak zwykle, kiedy kolejka wpadała do tunelu. Miał wrażenie, że siedzi w ciemnym kinie i czeka, aż uratuje go rozjarzony ekran. Albo ktoś inny. Czuł jej zapach w tych ciemnościach. Bez i piżmo.

I raptem jej oddech, delikatny i wilgotny, owiał mu ucho. Jej wargi znalazły się bliźniutko, tak blisko, że mógłby je pocałować, gdy wyszeptały mu coś prosto do ucha.

Potem światło się zapaliło, zgasło i rozjarzyło pełnym upiornym blaskiem.

Właściwie nic się nie zmieniło.

Niepoprawny podglądacz z naprzeciwka nadal gapił się na uda Lucindy. Kobieta z żyłakami drzemała na sąsiednim siedzeniu. Był też skwaszony bankowiec, student zgarbiony nad podręcznikiem, sądowa stenotypistka, strzegąca nieufnie swojej maszyny.

Lucinda także wyglądała jak poprzednio, zwrócona twarzą do przodu jak wszyscy.

Czy zasłoni się gazetą, zacznie sprawdzać kursy akcji w kraju i za granicą?

Zaczekał chwilę, żeby sprawdzić, czy spojrzy na niego i podejmie rozmowę, po czym wyjrzał przez okno, za którym przemknęła ogromna reklama: „Zabłądź na Wyspy Dziewicze”.

Kiedy pociąg stanął na stacji, Charles spytał, czy Lucinda nie zechciałaby przypadkiem spotkać się z nim na lunchu.

Jesteś najbardziej seksownym mężczyzną, jakiego znam.

To właśnie wyszeptala mu do ucha w pociągu.

WYKOLEJONY: 7

– No dobra – powiedział Winston. – Dobra. Siedmiu graczy, którzy zaliczyli czterdzieści lub więcej baz domowych, z nazwiskiem na jedenaście liter.

– Yastrzemski – odpowiedział Charles, natychmiast przywołując lokalną sławę BoSoxów, wychowaną na ziemniaczanej fermie na Long Island.

– Dobra – zgodził się Winston. – To jeden.

Winston Boyko z działu korespondencyjnego. Fan baseballu. Nałogowy gaduła.

Zaglądał do Charlesa od czasu, kiedy zobaczył go w spłowiałej koszulce Jankesów.

Charles spytał, czy może mu w czymś pomóc, a Winston powiedział: „Tak, wymień początkowy skład Jankesów z 1978 roku”.

Charles wymienił wszystkich z wyjątkiem Jima Spencera i tak mniej więcej zaczęła się ich przyjaźń. Lub coś w jej rodzaju.

Charles nie wiedział, gdzie mieszka Winston ani jak ma na drugie imię, nie wiedział nawet, czy ma dziewczynę lub żonę. Była to przyjaźń oparta na baseballu, realizująca się przez dziesięć minut dziennie, gdy Winston przynosił mu korespondencję – raz rano, drugi raz po południu.

Było rano i Winston szczyrzył zęby, bo Charles nie potrafił wymienić nikogo oprócz wielkiego Yaza.

Killebrew – nie, dziewięć liter.

Petrocelli – prawie, dziesięć.

– Daj mi czas do popołudnia, co? – poprosił.

– Żebyś mógł wejść do internetu i potem udawać, że mówisz z głowy?

– Tak.

– Dobra.

Winston nie był typowym gościem z działu korespondencyjnego. Przede wszystkim był biały. Poza tym miał dość rozumu, żeby zostać copywriterem.

Charles nieraz się zastanawiał, dlaczego Winston wolał rozwozić pocztę – ale nigdy go nie spytał. Nie byli aż tak blisko.

Choć właściwie nie wiadomo. Czyżby Winston patrzył na niego z prawdziwą troską?

– Wszystko w porządku, szefie? – spytał.

– Pewnie. Wszystko gra.

Ale nie grało. Eliot – jego szef i zdrajca – dał mu zlecenie na środek przeciwbólowy. Z adnotacją, a jakże – „dopóki nie trafi się coś lepszego”, napisał na dole strony. Ale kiedy to nastąpi?

Zastanawiał się, co zje dziś na obiad. I z kim. Z kobietą o świetlistych oczach.

I pomyślał: jeszcze nigdy nie zdradziłem Deanny.

Ani razu.

Nie żeby od czasu do czasu nie miewał pokus. Bardzo dotkliwych, czasami z objawami jak przy ataku serca – poty, tępy ból w piersi, lekkie mdłości. Ale kiedy zastanawiał się, czy nie posunąć się dalej, doznawał podobnych symptomów.

Ale gwałtowniejszych.

Problem w tym, że do niewierności miał stosunek podobny jak – tak mu się wydawało – Deanna. To nie drobny skok w bok, lecz zdrada. A zdrada to słowo, które kojarzyło mu się z Benedictem Arnoltem i Black Soxami z 1919 roku. To czyn, za który powinno się karać wygnaniem lub egzekucją. Poza tym był pewien, że kocha żonę. Że kocha przynajmniej jej stałą, niezmienną obecność.

Ale tak było, zanim życie sprawiło mu zawód. Zanim zaczął marzyć o świecie nastawionym na ochronę Charlesa.

– Chory jesteś czy co? – odezwał się Winston. – Czy to aby nie zaraźliwe?

– Nie. – Chyba czegoś takiego nie można złapać z powietrza?

– Tak mówił Dick Lembergh.

– Dick Lembergh? Kto to?

– Teraz już nikt. Nie żyje.

– Dzięki, bardzo mnie pocieszyłeś.

– Dam ci podpowiedź.

– Podpowiedź?

– O tych sześciu zawodnikach. Trzej byli z ligi amerykańskiej.

– Czemu nie powiedziałaś, że z narodowej?

– Bo jesteś za dobry.

Winston miał mózg pracownika umysłowego, ale ciało robociarza. Wyglądał tak,

jakby mógł nakłść człowiekowi, kiedy mu się tylko spodoba. A na ramieniu miał tatuaż – BA.

Dawny błąd, wyjawiał kiedyś Charlesowi.

Ten tatuaż?

Nie. Ta dziewczyna – Barnes Amanda. Tatuaż jest spoko.

– Nawiasem mówiąc – odezwał się, idąc do drzwi – nie jestem pewien na sto procent, czy chodziło o siedmiu graczy z nazwiskiem na jedenaście liter, czy jedenastu z nazwiskiem na siedem. Usłyszałem to od jednego gościa w barze o drugiej nad ranem, więc mogło mi się pokićkać.

Spotkali się we włoskiej knajpce na roku Pięćdziesiątej Szóstej i Siódmej, gdzie podobno czasami widywano Franka Sinatrę.

Lucinda była ubrana jak kobieta sukcesu – jeśli sukcesem było doprowadzenie Charlesa do zwilgotnienia oczu z zachwytu i podniecenia. Jedwabna bluzeczka z dekoltem w szpic nie miała fałd, nie zwisała, nie okrywała – przylegała jak druga skóra.

To było jak spotkanie z zastępcą; żadne nie wiedziało, czy dorasta do wymagań drugiego.

Dlatego Charles zachował się jak każdy życzliwy znajomy. Spytał, co robi jej mąż.

– Gra w golf – odrzekła Lucinda o pięknych oczach.

– Zawodowo?

– Mam nadzieję, że nie.

– Od jak dawna jesteście...

– Małżeństwem? Zbyt długo, żeby się nad tym zastanawiać. A wy?

– Osiemnaście lat. – Nie musiał się zastanawiać. I nawet nie chciał. Ale przecież rozmowa o współmałżonkach to znak, że do niczego tu nie dojdzie, że wszystko jest bardzo niewinne.

– Osiemnaście lat temu chodziłam do podstawówki.

Spróbował odgadnąć, ile ma lat. Pewnie koło trzydziestki.

– I co – spytała – jakieś nowe ciosy w plecy?

– No, mam nowe zlecenie.

– Tak?

– Aspiryna. Ta, którą lekarze zalecają dwa razy częściej niż inne.

– To świetnie.

– Tylko że lekarze w zasadzie nie zalecają już przyjmowania aspiryny. Ale gdyby...

– Więc co zrobisz?

– Nie wiem. Głowa mnie rozboleła od tej aspiryny.

Lucinda się roześmiała. Lucinda miała szczupłe nadgarstki. Lucinda miała wypielęgnowane palce, którymi odgarniała z oczu gęste ciemne włosy – właściwie z jednego oka. Przypominała mu aktorkę Veronikę Lake.

– Jak trafiłeś do...

– Reklamy? Nikt nie wie, jak się trafia do reklamy. To tajemnica. Nagle po prostu tam jesteś.

– Całkiem jak z małżeństwem, co?

– Jak to? Nie nadążam.

– No, może mi nie uwierzysz, ale nie pamiętam, żebym naprawdę chciała wyjść za mąż. Nawet nie pamiętam, żebym powiedziała „tak”. Ale widać powiedziałam.

Obróciła na palcu pierścionek z brylantem, jakby chciała się upewnić, że tam jest i że ona naprawdę jest mężatką. Może zapomniała o tym pod wpływem uroku Charlesa?

– Męża poznałaś w Teksasie? – spytał.

– Nie. W Teksasie paliłam marychę. I zadawałam się z chłopakami.

– A, prawda, zapomniałem. Byłaś trudną młodzieżą.

– W Amarillo to się nazywa chuliganeria. A młody Charles? Jaki był?

– Pewnie małym łobuziakiem. Nastoletni Charles był mołem książkowym i zawsze oddawał wypracowania w terminie.

– A, prawda, byłeś tym gościem, z którego się nabijaliśmy. – Tak. To ja.

Charles pławił się w poobiedniej błogości.

Niestety, wpatrywał się także w dokumentację zlecenia.

Sęk w tym, że zlecenie na środek przeciwbólowy to nie jest dobry znak. Proszki przeciwbólowe, detergenty do zmywarek, dezodoranty – to drogowskazy na reklamową Syberię. „Na równię pochyłą – tędy”. Takie zlecenia tkwiły w niszy, o istnieniu której nikt nie miał pojęcia – z wyjątkiem samych klientów. A oni życzyli sobie niezliczonych poprawek oraz poprawek tych poprawek, choć i tak było wiadomo, że skończy się na gospodyni domowej, która pokazuje produkt do kamery i opowiada, jak odmienił jej życie.

Oprócz zlecenia Charles odziedziczył także reklamę w dość zaawansowanym stadium wstępnej produkcji. To znaczy, że już ją wielokrotnie poprawiono i rozesłano do trzech

studiów filmowych. Jedno – Headquarters Productions, jak zauważył – było rekomendowane przez agencję. Znał ich przedstawiciela – Toma Mooneya, staroświeckiego i wkurzającego.

Kierowniczka produkcji tego zlecenia, Mary Widger, przysłała mu scenariusz. Jak się okazało, nie chodziło o gospodynię domową, pokazującą widzom tabletkę i opowiadającą, jak odmieniła jej życie. Chodziło o gospodynię pokazującą widzom tabletkę i mówiącą do męża.

Zadzwoił do Davida Frankela, producenta, z którym nigdy przedtem nie współpracował, ponieważ David zajmował się reklamami do tej pory mu obcymi, a od dziś będącymi jego chlebem powszednim.

– Słucham – odezwał się Frankel. – Kto mówi?

– Charles Schine.

– Aha. Charles Schine.

– Zdaje się, będziemy razem pracować.

– Nareszcie – odparł David. Charles nie wiedział, czy to wyraz sympatii, czy zwykła satysfakcja z jego zesłania w krainę farmacji.

Zdecydował się na sympatię.

Zadaniem producenta było znalezienie studia filmowego, uzgodnienie ceny satysfakcjonującej obie strony oraz uczestniczenie w zdjęciach.

– Trochę wygórowana cena – powiedział Charles. Mówił o cyferkach nagryzmołonych ołówkiem na dole strony – cena zaakceptowana przez klienta uwzględniała montaż, muzykę i wszystkie koszty postprodukcji. Plus udział agencji.

Dziewięćset dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za dwa dni zdjęć.

– Zawsze tyle płacą – odparł David.

– W porządku. Ale trochę dużo za dwoje aktorów i butelkę aspiryny.

– Taka jest cena – powiadomił go David beznamiętnie.

– Świetnie. – Charles nie zamierzał się martwić pieniędzmi, pod warunkiem, że klienci też się nimi nie przejmowali. A David zapewniał, że nie.

Cena była jednak wygórowana.

– Może spotkamy się w przyszłym tygodniu i przejrzymy dokumenty – zaproponował.

– Już się nie mogę doczekać.

W tym miejscu stało się jasne, że przez Davida nie przemawiała bynajmniej sympatia.

Druga obiadowa randka była raczej obiadowym spotkaniem niż randką. Nadal dotyczyła dwojga ludzi, którzy uważali się nawzajem za interesujących, choć nieosiągalnych.

Kiedy pojawił się deser – dwa biszkopty i cappuccino – Lucinda powiedziała:

– Nigdy nie wspominasz o córce. Jaka jest?

– Normalna.

– Normalna?

– Aha. Normalna.

– To wszystko? Znam rodziców, którzy jak zaczną opowiadać...

– Niegrzeczna. Humorzysta. Na ogół się mnie wstydzi. Normalna.

Oczywiście nie powiedział, dlaczego córka tak często jest niegrzeczna i humorzysta.

Ale Lucinda patrzyła na niego jakby z naganą, więc musiał powiedzieć.

– Jest chora.

– O...

– Młodzieńcza cukrzyca. I nie wystarczy tylko brać insulinę, aby wszystko było dobrze. Nie tym razem.

– Przykro mi.

– Mnie też.

Była pierwszorzędną słuchaczką.

Zdał sobie z tego sprawę mniej więcej po dziesięciu minutach na ogół nieprzerwanego monologu o tym, jak bardzo jest mu przykro. O tym, jak osiem lat temu Deanna i on zawieźli tę małą normalną dziewczynkę na pogotowie i zostawili obcym ludziom. Dziewczynkę, której od tej pory musiał dwa razy dziennie robić zastrzyki i uważnie obserwować, żeby nie zanurkowała w szok hipoglikemiczny. Dziewczynkę, której musiał kupować specjalną insulinę ze świńskich komórek, ponieważ tylko na nią reagowała, ale i tak jej stan stopniowo się pogarszał.

Jego dziewczynkę.

Lucinda słuchała ze współczuciem i troską. Kręciła głową, wzdychała, zadawała pytania, kiedy czegoś nie rozumiała. Świńska insulina – dlaczego?

Odpowiadał najlepiej jak potrafił, a kiedy wreszcie przestał się jej żalić, nie poczęstowała go standardowym kretyńskim pocieszeniem. Docenił to.

– Nie wiem, jak sobie radzicie – powiedziała. – Naprawdę. Jak radzi sobie Anna?

– Świetnie. Wynajmuje się jako poduszczyk do igieł.

On radził sobie w taki właśnie sposób. Kulawe żarty, żalosne bon moty, śmiech nieszczęściu w twarz.

– To się sprawdza? – spytała.

– Co się sprawdza? – odpowiedział pytaniem. Udawał idiotę.

– Nic. Nieważne.

O czym się rozmawia, kiedy nie można mówić o przyszłości?

Rozmawia się o przeszłości.

Zdania rozpoczynające się od „A pamiętasz, jak...” albo „Dziś przechodziłam koło przedszkola Anny...” lub „Myślałem o tych naszych wakacjach w Vermont...”

Po kolacji pełnej wspomnień o nieogrzewanej górskiej chacie w Stowe, gdzie mleko dla Anny zamarzło w butelce, sprzątnęli ze stołu, a Charles poszedł na górę i obejrzał stopy Anny, na co pozwoliła mu bardzo niechętnie. Wreszcie on i Deanna trafili do łóżka przed włączonym telewizorem.

I jakoś tak się stało, że jej dłoń dotknęła jego ręki. Jego noga przysunęła się do jej nogi. Tak, jakby ich kończyny kierowały się własną wolą, jakby ich ciała wreszcie powiedziały: dość tego. Zimno mi. Dokucza mi samotność.

Wstał i zamknął drzwi na klucz. Ani słowa komentarza. Położył się, objął ją, serce tłukło się o żebra, pocałował ją i pomyślał, że naprawdę szczerze mu tego brakowało.

Ale gdzieś w trakcie stawania się na powrót kochankami znów stali się obcy. Dziwne, jak szybko to zaszło. Poruszał się na niej, zaczynał w nią wchodzić, szukał ustami jej ust – i raptem niezdarność. Jakby byli dwoma kawałkami układanki, które do siebie nie pasują. Obraca się je na różne strony, a one nadal nie chcą się dopasować. Pchnęła go, spadł z niej, chciał ją pocałować, odwróciła głowę niezdarne. Uśmiechnęła się zachęcająco, znowu do niej wrócił, zlodowaciała, a on skurczył się i wycofał.

Powoli rozłączyli się i skulili z dala od siebie. Nie życzyli sobie dobrej nocy.

WYKOLEJONY: 8

Jak to się stało, że z obiadu zrobił się koktajl?

Z sałatki nicejskiej i biszkoptów – chipsy i solone orzeszki?

Obiad można zjeść ze znajomym. Drinki pije się z przyjacielem. Obiad łączył się z telefonem do Lucindy, ale koktajl wymagał telefonu do Deanny. Wytłumaczenia się ze spóźnienia. Wymagał kłamstwa.

A Charles tak samo kiepsko kłamał jak żartował.

Ale w końcu wprawa czyni mistrza.

– Muszę zostać dłużej w pracy – powiedział do Deanny przez telefon w dniu pierwszej wieczornej randki.

– Znowu muszę zostać – oznajmił następnym razem.

I jeszcze raz.

Powoli zaczął sobie uświadamiać, że jego życie się zmienia. Że większość czasu spędza na wyczekiwaniu następnego spotkania z Lucindą.

Bar The Temple.

Keats.

Houlihan's. Tam po raz pierwszy wreszcie przyjęli do wiadomości, dokąd ich to doprowadzi.

Może przez te drinki. Postanowił tym razem zrezygnować z caberneta i w zamian zamówił margaritę. Może dwie. W barze, gdzie nie skąpili tequili.

Po drugim drinku zaczął mieć zwidy. Jakieś kłopoty ze wzrokiem. Na przykład, przestał dostrzegać pozostałych gości. Została tylko Lucinda.

– Chcesz, żebym się upiła, tak? – spytała.

– Nie. Chcę, żebyś upiła się bardziej.

– A, tak. Zapomniałam, że już jestem napruta.

– Bardzo ci w tym do twarzy.

– Bo ty też jesteś napruty.

– A, tak.

Naprawdę wyglądała przepięknie i szkliste oczy nie miały z tym nic wspólnego. Dziś ubrała się w coś idiotycznie krótkiego i nieprawdopodobnie obcisłego, oblepiającego lśniącego nylonowe pończochy.

– Co powiedziałaś żonie? – spytała.

– Że chcę się napić z piękną kobietą, którą poznałem dzięki państwowym kolejom.

– Ha.

– Co powiedziałaś mężowi?

– To samo. Że chcę się napić z piękną kobietą, którą poznałam dzięki państwowym kolejom. – Roześmiała się, odsuwając od siebie różowego drinka, żeby się nie oblać.

Jej mąż. Solidny, odpowiedzialny, starszy od niej o niemal dwadzieścia lat i nielitościwie nudny, jak się pozaliła. Ostatnio podnieca go tylko golf.

– Wiesz... – zaczął. – Wiesz...

– Co?

– Zapomniałem.

Miał mętne przeczucie, że będzie żałować tego, co chciał powiedzieć, ale zapomniał o wszystkim, gdy spojrział w te łagodne zielone oczy. Jeśli zazdrość jest zielonookim potworem,

to czym jest miłość? Zielonookim aniołem?

– Co robimy, Charles? – spytała, już poważniej. Może chciała powiedzieć coś, czego i ona by żałowała.

– Pijemy.

– Ale co zrobimy, kiedy wypijemy?

– Wypijemy jeszcze trochę.

– A potem?

Zastanowił się nad jakąś ewentualnością, ale nagle w barze pojawili się wszyscy inni i nie byli już jedynymi ludźmi na świecie. Jakiś mężczyzna w nieokreślonym wieku wcisnął się między nich, żeby zwrócić na siebie uwagę barmana.

Ale po chwili i on miał problemy ze skupieniem wzroku – gdy tylko zobaczył nogi Lucindy.

– Mogę pani postawić drinka? – spytał.

– Nie – powiedziała, wskazując niedopity koktajl.

– Dobrze. Mogę pani kupić cały bar?

– Proszę bardzo.

– Przepraszam – odezwał się Charles; facet prawie deptał mu po butach.

– Panu nie proponowałem drinka – warknął mężczyzna.

– Bardzo śmieszne. Naprawdę. Ale ja rozmawiam z tą panią.

– Ja też.

Trudno było poznać, czy gość stara się być zabawny, czy po prostu jest sobą, czyli kimś pomiędzy chamem i mordercą. W obecnych czasach trudno to określić.

– Wie pan, on naprawdę ze mną rozmawiał – odezwała się Lucinda. – Więc...

– Szybko chwyciłaś okazję.

– Dobrze, wychodzimy – oznajmiła.

– Ależ zostańcie.

– Przepraszam. – Wstała i usiłowała go ominąć.

– Powiedziałem coś nie tak?

– Przepraszam!

– Świetnie. Dupa się obrazila.

Charles go uderzył.

Jeśli dobrze pamiętał, jeszcze nigdy z nikim się nie bił. Zdziwiło go, że uderzenie kogoś jest tak samo bolesne, jak otrzymanie ciosu. Zdziwiło go także, że facet autentycznie upadł, z prawdziwą krwią na ustach.

– On mnie obraził – wyjaśniła Lucinda kilku kelnerom, którzy nagle się zmaterializowali.

Z głębi restauracji przybiegł zaczerwieniony mężczyzna – pewnie kierownik, odgadł Charles.

– Proszę, żeby wszyscy wyszli – powiedział, ustaliwszy przebieg wypadków. Nie było to trudne – mężczyzna, którego Charles znokautował, ciągle się nie mógł podnieść, a Charles nadal rozcierał rękę, która zadała nokautujący cios.

– Jasne – powiedział. – Czemu nie.

Przyniósł płaszcz Lucindy z szatni, czując na sobie spojrzenia wszystkich, choć jemu zależało tylko na tych zielonych, pełnych wdzięczności oczach.

Bo były pełne wdzięczności, z pewnością. Przecież właśnie dał nauczkę chamowi, uratował damę, obronił jej honor.

Na zewnątrz był zimno, oddech zamieniał się w parę.

– Pojedziemy na Penn taksówką? – spytała. Z zimna oczy zaszyły jej łzami – a może pod wpływem emocji? Ze wzruszenia?

– Co tam pociąg – powiedział. – Wrócimy taksówką. Wezwę taksówkę i odwozę cię do domu.

– Naprawdę?

– Tak.

– To chyba niezbyt dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ktoś może nas zobaczyć. – Pierwsze otwarte przyznanie się do winy.

– Ktoś może nas zobaczyć i w kolejce.

– Kolejka to kolejka. W pociągach obcy ludzie siedzą obok siebie. To co innego.

– Dobrze. Jak wolisz. – Jego dłoń leżała na jej ramieniu – nie zdawał sobie sprawy, że ją tam położył, ale położył i czuł przez płaszcz ciepło. Jak żar bijący od rozgorączkowanego ciała.

– Samochód to niezbyt dobry pomysł.

– W porządku.

– Mogłabym zrobić coś, czego nie powinnam.

– Na przykład zemdleć? – Znowu starał się żartować – z podkreśleniem „starał się” – ale chyba to nie był sprzyjający moment, bo mógłby przysiąc, że Lucinda się do niego pochyliła, że jakimś cudem znalazła się bliżej niż przed chwilą.

– Bo mogłabym cię zjeść – powiedziała.

– To załatwia sprawę. Idę po taksówkę.

Pocałowała go.

Ale to niedobre słowo. To nie był pocałunek, lecz resuscytacja „usta-usta”, ponieważ poczuł, że wraca ze świata martwych.

Kiedy się rozdzielili, a wydawało się, że do tego czasu minęło półtora dnia, oboje łapali powietrze, jakby wynurzyli się z morskich głębin.

– Oho – powiedziała.

Chciał powiedzieć to samo. Albo tylko „o”. Jęk zachwytu i niepohamowanej radości – no, może nie tak całkiem niepohamowanej, ponieważ pewne ograniczenia nie do końca znikły z horyzontu.

A jednak te ograniczenia – które miały imiona, twarze i prawo do jego miłości i lojalności – nagle zaczęły się rozpląwać, zupełnie jak przed chwilą ludzie w barze.

Wracając do domu taksówką, tulili się do siebie na tylnym siedzeniu. Ich ciała były przyjemnie znajome i niepokojąco nowe.

I znowu się całowali. A on pocałował nie tylko jej usta, ale także inne części ciała, kark, małą bliznę na wewnętrznej stronie ramienia – wypadek na boisku – ciemne, miękkie brwi. Jednym okiem zerkał na kierowcę, który od czasu do czasu spoglądał w lusterko wsteczne, drugim na nią i musiał przyznać, że wyglądają nieźle. Zarumienieni – ona na pewno, a on także czuł, że pała go policzki, choć to nie przez upał, tylko duchotę. Jakby otoczyła ich wielka deszczowa chmura, gotowa przemoczyć ich do szpiku kości. Miał ochotę tańczyć w kałużach jak Gene Kelly.

Kiedy na Van Cortland Avenue ich usta znowu się spotkały, dłonie splotły się w cieniu Shea, kiedy zaczęli się pieścić w pobliżu Grand Central Parkway, był gotów się założyć o wszystko, że tak nie czuł się jeszcze żaden człowiek na świecie – choć oczywiście wiedział, że to nieprawda. Grzech numer jeden niepoprawnego nałogowca: zaprzeczanie. A on był nałogowcem, może nie? Wyglądało na to, że bez jej pocałunków nie potrafi wytrzymać dwóch minut. Że nie odczeka nawet trzech piosenek w radio, nie dotykając jej ciała.

– Wolniej – odezwała się, kiedy zjechali z autostrady. Powiedziała to do kierowcy, ale równie dobrze mogła mieć na myśli jego, bo gdyby nie zwolnił, pewnie by dostał zawału – jeden z nieszczęśników, których znajduje się na autostradzie, w pół drogi do jakiegoś ważnego miejsca. – Nie chcę wysiąść z samochodu przed domem – dodała. – Domem mojego męża.

– A gdzie on jest?

– Parę kroków dalej. Zatrzymajmy się tutaj.

Zatrzymali się na rogu Euclid Avenue – nazwanej tak drzewa, które na Long Island już wyginęło.

I powiedziała:

– Spotkajmy się jutro w pociągu.

WYKOLEJONY: 9

Hotel nazywał się Fairfax. Jeden z tych zaniedbanych, anonimowych. Jeden z tych, które ludzie omijają, szukając czegoś lepszego.

Ale nie Charles. Nie teraz.

Charles jechał tam, by spędzić ranek z Lucindą.

Wreszcie znalazł w sobie dość odwagi, żeby to zaproponować.

Potem były jeszcze dwie kolacje i dwa powroty samochodem, kiedy pieścili się jak nabuzowani hormonami licealiści. Całowali się, tulili i wreszcie nadeszła pora, żeby ich związek wszedł w nowy etap. Naprawdę tak powiedział. Zdziwił się, że te słowa w ogóle wyszły z jego ust, a ona go nie wyśmiała. Jeszcze większą wdzięczność poczuł, kiedy po paru chwilach milczenia odrzekła: Dobrze, czemu nie.

Spytał ją o to przy kawie na Penn Station. Potem ramię w ramię wyszli na Siódmą Aleję i wsiedli do tej samej taksówki, chociaż żeby ją podwieźć, musiał nałożyć pewnie ze siedemdziesiąt przecznic – ale to było dodatkowe siedemdziesiąt przecznic w jej towarzystwie – i przez cały czas zastanawiali się nad ich nową sytuacją. Potem ona spytała: gdzie? Dobre pytanie. Gdzie właściwie zamierzają skosztować ich związek? Taksówka minęła pewien hotel. – Nie, powiedziała, za blisko Penn; potem drugi: – Nie, za dużo ludzi; a potem jeszcze jeden.

Hotel Fairfax.

Wciśnięty między koreańskie delikatesy i centrum rekreacyjne dla pań. Trochę obskurny, owszem, ale czy nie tak wyglądają hotele służące do tych spraw?

I tu powiedziała: tak, ten wygląda dobrze.

I byli umówieni.

Pociąg wjechał na Penn Station.

Oboje jesteście dziwnie cisi, pomyślał, jak bokserzy przed największą walką swojego życia.

Zabawiał się liczeniem minut między stacjami: z Merrick do Freeport, z Baldwin do Rockville Centre. W ciemnościach pod East River chwyciła go za rękę, spleli palce. Były lodowate, jakby uciekła z nich cała krew, ścięta... czym? Poczuciem winy? Wstydem? Strachem?

W tym wszystkim czuło się jakiś brak spontaniczności. Przedtem szukali się niezdarnie w ciemnościach, teraz zachowywali się jakby z chłodną premedytacją. W drodze na postój taksówek opierała się o niego nie tyle z pożądaniem, ile bezwładnie, pomyślał. Jakby ją tam zawlókł – ciężące mu martwe brzemię.

Rozumiał to. Pieszczoty w samochodzie to jedno, a wycieczka do hotelu na skok w bok to coś zupełnie innego.

Hotel Fairfax w środku wyglądał mniej więcej tak samo, jak na zewnątrz – obskurny, wypłowiały, chylący się ku upadkowi, przesiąknięty wonią kamfory.

Kiedy podszedł do recepcji, kurczowy chwyt Lucindy czuł aż gdzieś w gardle. Powiedział recepcjoniście, że płaci gotówką i otrzymał klucz do pokoju numer 1207.

Jechali windą milczeniu.

Kiedy drzwi otworzyły się na dwunastym piętrze, powiedział:

– Panie przodem.

A ona odpowiedziała:

– Starsi mają pierwszeństwo.

Więc wyszli razem. Na dwunastym piętrze brakowało paru żarówek, ponieważ światło sączyło się tylko z zasłoniętego do połowy okna na lewo od windy. Wykładzina śmierdziała pleśnią i tytoniem.

Pokój numer 1207 znajdował się na końcu korytarza, w najgłębszych ciemnościach. Charles musiał zmrużyć oczy, żeby rozróżnić cyfry na drzwiach.

Oto, co można dostać w Nowym Jorku za dziewięćdziesiąt pięć dolarów: pokój śmierdzący środkiem dezynfekującym z jednym rozłożystym łóżem, jedną przekrzywioną lampką nocną i jednym stolikiem, wszystko o dwa kroki od siebie.

W pokoju panował tropikalny upał – i nigdzie nie było widać termostatu.

Na desce klozetowej znajdował się biały papierowy ręcznik. Charles natychmiast z niego skorzystał; musiał, ledwie przekroczył próg pokoju. Nerwy.

Kiedy wyszedł z łazienki, Lucinda siedziała na łóżku i bawiła się pilotem. Na ekranie telewizora nic się nie pojawiało.

– Za to chyba trzeba zapłacić dodatkowo – powiedziała.

– Chcesz...?

– Nie.

W tej nienaturalnej rozmowie jest pewna niezręczna uprzejmość, pomyślał, jakby byli na randce w ciemno. Nerwowy dygot udający troskliwość.

– Usiądź, Charles.

– Dobrze.

Usiadł na krześle.

– Nie, tutaj.

– A, tak.

Zdjął kurtkę i powiesił w szafie obok jej płaszcza. Podeszedł do łóżka – bardzo krótki spacer, zważywszy na rozmiary pokoju – i usiadł.

Nie powinno mnie tu być. Powinienem wstać i wyjść. Powinienem...

Ale ona położyła mu głowę na ramieniu i powiedziała:

– Tak... no, to jesteśmy.

– Tak. – Pot przesiąkał mu przez koszulę.

– Dobrze. – Westchnęła. – Chcesz zostać czy wyjść?

– Tak.

– Tak? Które tak?

– Zostać. Albo wyjść. Co ty wolisz?

– Zerznąć cię – powiedziała. – Wydaje mi się, że wolę cię zerznąć.

To się zdarzyło, gdy byli gotowi do wyjścia.

Ubrali się w milczeniu, a Charles przeszukał pokój, żeby sprawdzić, czy niczego nie zostawili.

Potem podeszli do drzwi.

Otworzył je przed nią. Przeszła obok niego; poczuł perfumy, którymi musnęła się w łazience. A potem inny zapach.

Byli we dwójkę – Lucinda i on – i raptem zrobiło się ich troje.

Upadł na wznak na podłogę.

Dostał kopniaka w żebra, potem w żołądek; powietrze uszło z niego ze świstem. Lucinda została ciśnięta na niego, potem już jej nie było, potem upadła obok.

Drzwi się zatrzasnęły. Kliknął zamek.

Było ich dwoje, a teraz zrobiło się ich troje.

– Tylko piśnijcie, a łby wam rozpieprzę – zagroził ten, który nie był nim ani Lucindą.

Człowiek z pistoletem – Charles go widział, widział także broń, oleście czarną.

Zaczął dyszeć, jakby przebiegł ogromny dystans, żeby znaleźć się w tym pokoju.

– Dam ci wszystkie pieniądze – wysapał. – Weź.

– Co? – Mężczyzna miał czarną skórę, ale był Latynosem. Przynajmniej mówił z latynoskim akcentem. – Kurwa, co?

– Pieniądze... weź...

– Powiedziałem, że masz być, kurwa, cicho.

Znowu go kopnął, tym razem nie w zębra, ale niżej. Charles jęknął.

– Błagam – odezwała się Lucinda drżącym głosikiem małej dziewczynki, głosem, który nijak nie pasował do dorosłej kobiety. – Błagam... nie rób nam krzywdy.

– Nie rób nam krzywdy – przedrzeźnił ją mężczyzna. Kpina sprawiała mu przyjemność. A może raczej jej strach. Ten głosik małej dziewczynki... jakby miała się rozplakać czy co. – O, kochanie, nie zrobię ci krzywdy... wcale nie... dawać portfele.

Charles sięgnął do kieszeni, choć fałdy puchowej kurtki były przemoczone potem – sięgnął i drżącą ręką wyjął portfel.

To się zdarza tylko na filmach. Tylko w gazetach. Tylko innym.

Rzucił portfel mężczyźnie z bronią. Lucinda grzebała niezdarnie w swoim, tym ze zdjęciem pięcioletniej dziewczynki na huśtawce w sielskim krajobrazie. Gdzieś daleko od tego pokoju, tej wytartej wykładziny w pokoju numer 1207 w hotelu Fairfax.

Kiedy rzuciła go, mężczyzna przeglądał portfel Charlesa, wyciągał pieniądze – całkiem sporo, pieniądze, którymi Charles zamierzał zapłacić za pokój. Ale kiedy tamten wyjął już banknoty, dalej przyglądał się portfelowi – gapił się na coś, szczerząc zęby.

– Coś takiego – powiedział.

Patrzył na zdjęcia – Anna, Deanna i on. Rodzina Schine'ów.

– Zabawne – dodał. – Całkiem niepodobna. – Mówił to do Lucindy. – Ni cholery niepodobna.

I znowu do Charlesa.

– Ty wiesz, Charles, zupełnie niepodobna.

Kpił z nich w żywe oczy.

Potem zajął się jej portfelem i znalazł jej zdjęcie.

– No, coś takiego – powtórzył. – Ten gość wcale nie jest do ciebie podobny. O, nie. Całkiem nie taki, jak ty, Charles.

Parsknął, roześmiał się, zarechotał; coś mu przyszło do głowy.

– Zobaczmy... wiesz, co myślę? E! – Znowu kopnął Charlesa, tym razem nie tak

mocno, choć dość mocno. – Powiedziałem: wiesz, co myślę?

– Co? – spytał Charles.

– Co? Co? Myślę, że to jakiś skok w bok czy co? Zdradzasz starą, co, Charles? Znalazłeś se dupę na boku, co, Charles? Dobrze mówię?

– Proszę, weź pieniądze.

– O, od razu weź pieniądze? Weź pieniądze. Dzięki, kurwa, ale już wziąłem te wasze pieniądze. Widzisz? – Podniósł banknoty. – Pieniądze. Już wziąłem.

– Tak. Obiecuję, że nie pójdziemy na policję.

– Obiecujesz, tak? Kurwa, Charles, aleś ty miły. Mam ci uwierzyć na słowo, co? Nie pójdziecie na policję. No, skoro tak...

Bronią zataczał małe kółka, najpierw ku niemu, potem ku niej, i znowu ku niemu. Czarna jak atrament, tępo zakończona lufa...

– Skoro tak... skoro nie pójdziecie na policję ani nic...

Lucinda dygotała u jego boku, trzęsła się jak mokry zabłąkany pies.

– Cześć, lala – powiedział mężczyzna. – Cześć, lala...

– Błagam...

– Jaka jest, Charles? Lepsza od twojej starej, to na pewno. Dobra dupa, Charles? Dobra ciasna dupa?

Charles zaczął się podnosić z ziemi. Znowu był w barze, jakiś mężczyzna ją obraził i Charles musiał dać mu nauczkę, pokazać co i jak. Ale mężczyzna zdzielił go bronią w twarz i Charles ponownie runął na wznak. Zanim poczuł ból, usłyszał jakiś trzask – najpierw jedno, potem drugie, najpierw odgłos łamanego nosa, potem mdlący ból. Krew zaczęła się sączyć na podłogę.

– Co proszę, kolego? Nie słyszę, Charles. Co powiedziałeś? Powiedziałeś, że mogę ją wydymać, jeśli chcę? O, bardzo ci dziękuję, Charles. Aleś ty, kurwa, miły. Oddajesz mi swoją dupę i w ogóle.

– Nie – jęknęła Lucinda. – Nie...

– Nie? Nie słyszałaś, że mi pozwolił cię wydymać, Lucindo? – Po raz pierwszy wypowiedział jej imię w sposób, który wydawał się tak samo obrzydliwy, jak napaść na nich i kradzież pieniędzy. – Tak powiedział twój facet. Dajesz jemu, możesz dać i mnie. Kurwa to kurwa, kotku. Dobrze mówię, Charles? Dobrze?

Charles krztusił się własną krwią. Chlustała mu do gardła, zalepiała tchawicę – topił się w niej, spazmatycznie łapał powietrze.

– Usiądź sobie, Charles. – Mężczyzna podniósł go z ziemi, posadził na jedynym

krześle, z siedzenia obitego spłowiałym kwiecistym materiałem wystawała gąbka. – Lepiej ci, Charles? Odetchnij głęboko. O, tak. Wdech, wydech. Usiądź sobie wygodnie. To będzie mistrzostwo świata w dymaniu, mój drogi. Dwanaście rund. Nie chcesz tego przegapić.

Lucinda rzuciła się do ucieczki.

Zaskoczyła go, tego z bronią – przed chwilą leżała, dygocząc, aż raptem poderwała się i rzuciła do drzwi. Dobiegła do nich.

Zdołała nawet je uchylić, zanim jej dopadł i wciągnął do środka. Za włosy. Za te ciemne, jedwabiste włosy o smaku szamponu i potu, tak miękkie, że można je było czesać palcami – złapał za nie i szarpnął, gdy krzyknęła.

– Zamknij mordę, Lucindo. – Wtłoczył jej lufę do ust, aż szczęknęła o zęby. Przestała krzyczeć.

Charles ciągle dławił się krwią, oszołomiony do granic zemdlenia, z nosem płonącym z bólu. Patrzył, jak mężczyzna kładzie Lucindę na podłodze, jakby tańczyli jakiś upiorny taniec, jakieś nowoczesne pas de deux, jak ją kładzie i staje nad nią. Jak podciąga wysoko jej spódnicę. Jak parska, gwizdże z uznaniem i powoli, bardzo powoli ściąga do kolan jej majteczki z czarnej koronki.

Jak rozpina rozporek.

WYKOLEJONY: 10

Zemdlał, i to nie raz, ale za każdym razem mężczyzna cucił go, chlapiąc wodą w twarz, szepcząc mu do ucha.

Nie opuszczaj mnie, stary. Runda druga... kochanie. Runda trzecia... czwarta...

To było jak kiepski pornos... taki, którego wcale nie ma się ochoty oglądać, ale kolega akurat ma to, co trzeba. Patrzysz nawet wtedy, gdy odwracasz głowę. Kobieta z psem, wśród ekskrementów, ona to połyka, wszystko – aż się chce rzygać, nie do wiary, że to robi, ale robi, a ty patrzysz. Żołądek ci się wywraca, w ustach czujesz straszny smak, masz ochotę wymiotować, ale musisz patrzeć. Nie wiadomo dlaczego, musisz.

On i Lucinda. Piękna naga Lucinda i on.

Bo była piękna. Kiedy kazał jej stanąć na czworakach i wsadził jej w tyłek. Opowiadał Charlesowi, co robi, jak narrator zza kadru...

Widzisz, Charles – one to uwielbiają. Mówią, że nie, ale im nie wierz.

Kazał jej jęczeć. Przystawił pistolet do głowy i zmusił, żeby jęczała. Pewnie z bólu, ale brzmiało, jak jęk rozkoszy. Jęk to jęk. Trudno się zorientować, co znaczy, tylko że zaciskała powieki, tusz spływał jej po policzkach, a ona zagryzła wargę aż do krwi.

A Charles się przyglądał, siedział na krześle jak związany, choć nikt go nie związał.

Widzisz to, Charles? Urodzona obciążaczka... Tak, kochanie... possij tego wielkiego fiuta...

Scena się zmieniła, on już nie ujeżdżał jej od tyłu, ale stał przed nią, trzymał w rękach jej twarz, tę piękną twarz Lucindy. A Lucinda dławiała się, siorbała, te odgłosy podniecały go jeszcze bardziej... O, tak... o, tak... patrzysz, Charles? Charley... Zaraz będę strzelać, nie chcesz tego przegapić... Za żadne pieniądze... o, tak...

A później Lucinda na podłodze... ile czasu minęło? Charles nie wiedział, może było rano, może już po południu. Lucinda leżała, lśniąca od potu i spermy, nieruchoma jak kamień. Nie żyje? Nie, oddycha, choć ledwie dostrzegalnie. Charles spojrział na zaschniętą krew na swoich dłoniach i nie wiedział, czyja to. Zapomniał, że jego, że ma złamany nos.

A mężczyzna się onanizował, całkiem goły, tylko w skarpetkach i adidasach, patrzył na leżącą Lucindę i walił konia. Przygotowywał się do następnej rundy. Której? Piątej, szóstej?

– Ciągłe z nami, Charles? – spytał. – Trzymaj się, brachu. Teraz się zacznie.

I się zaczęło.

Mężczyzna znowu ją wziął, oparł o łóżko jak marionetkę, bezwładne ręce, bezwładne nogi, upozował ją zgodnie z własną wizją rozpusty. Nogi zadarte wysoko, aż do uszu, ręce rozrzucone – i śmiał się z niej. Nie spieszył się, ustawiał ją, jak potrafił najlepiej, centymetr w tę, centymetr w tamtą. Usta Lucindy otworzyły się bezwładnie, zwykły rekwizyt, gumowa lalka.

A Charles zdecydował się na jeszcze jedną próbę – właściwie nie on, tylko jego wewnętrzny macho, może wewnętrzny jaskiniowiec – coś wyrzuciło go z krzesła mniej więcej w stronę mężczyzny, który chciał zgwałcić Lucindę po raz piąty albo szósty.

Po pierwsze, kręciło mu się w głowie. Miotало nim na wszystkie strony, nie rozróżniał kierunków. Zataczał się, chwiał, potykał – mężczyzna wcale tego nie dostrzegł, bo za bardzo zajmowało go ustawianie Lucindy. Może nawet zapomniał, że Charles jest w pokoju. Dlatego Charles w końcu zdołał odzyskać równowagę i rzucić się na niego. Chwycił go za szyję i zacisnął palce.

Włożył w to wszystkie siły, jakby od tego zależało jego życie, jakby chciał naprawdę zabić. Ale mężczyzna wstał spokojnie, niemal od niechcienia i strzepnął z siebie Charlesa jak pyłek. Charles oprzytomniał na podłodze, z rozrzuconymi nogami, nie wiedząc, co się stało. Mężczyzna wyszczerzył zęby i pokręcił głową.

– Charles... Charles... co cię znowu napadło? Daję ci pokaz wszech czasów.

Rekordowe dymanie, w życiu czegoś takiego nie widziałeś i już nie zobaczysz. I tak mi dziękujesz? Kurde, Charles, powinienem ci skopać dupę. Powinienem wykopać z ciebie życie.

Charles coś wymamrotał w odpowiedzi. Tylko co? Nie wiedział.

– Dobrze, spokojnie. Policzę do dziesięciu. Też chciałeś się załapać, co? Stał ci od tego patrzenia, nie? Rozumiem cię, stary. Ale nie dziś. Nie twoja kolej, rozumiesz?

Lucinda nadal tkwiła w tej pornograficznej pozycji, jak znudzona modelka, która czeka na trzask migawki. Tyle tylko, że nie wyglądała na znużoną, lecz martwą. Nawet nie spojrzała na swojego niedoszłego wybawcę, który osiągnął tylko to, że jedno miejsce obserwacyjne zamienił na drugie. Balkon na fotel w pierwszym rzędzie.

Mężczyzna – z pełną erekcją, niezdarny atak widać go podniecił – ukląkł między jej białymi udami, tymi udami, między którymi Charles leżał niespełna dwie godziny temu, i zaczął od początku. Charles był tak blisko, że prawie mógłby go dotknąć, choć nie potrafił go uderzyć, powstrzymać.

– O, Charles – szepnął mężczyzna. – Jak atlas. Gładka jak atlas.

Po jego wyjściu minęło sporo czasu, nim dotarła do nich świadomość, że wyszedł.

Charles słyszał trzask drzwi, widział go nawet idącego w ich kierunku, zanim rozległ się ten trzask, nawet słyszał jego pożegnanie – żałuję, że muszę iść, ale... – i dalej siedział na podłodze, jakby ciągle widział wycelowaną w siebie broń. Jakby mężczyzna nadal jęczał we włosy Lucindy, jakby jego groteskowy tyłek nadal podrygiwał tuż przed nosem Charlesa.

A Lucinda... Wciąż leżała z rozrzuconymi nogami, jak jakaś dziwka z Amsterdamu, wystawiająca się na pokaz w oknie, rozkraczona dla zachęty. Ale te dziwki nigdy nie mają tak przerażającego wyrazu twarzy, ich włosy nie kleją się do twarzy, przemoczone potem, krwią i spermą.

Wreszcie Charles drgnął.

Ostrożnie, jakby wchodził do gorącej wody, poruszył nogą. Jakby tylko po to, by udowodnić sobie, że może się ruszać. A potem, wypróbował nogi, ręce i resztę, podniósł się z podłogi i wstał, trochę chwiejnie, lecz znowu o własnych siłach. A skoro on się poruszył, to i ona.

Bez słowa, bez jednego dźwięku, powoli zsunęła uda, zasłaniając tę obnażoną część ciała, która wyglądała jak krwawiąca rana. Powoli podniosła się z podłogi i powlokła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi.

Usłyszał szum wody, szmer ręcznika trącego o skórę, potem jakby odgłos gwałtownych wymiotów. Zaszumiała śpluczka, raz, potem drugi.

On jeszcze się nie umył. Zakrwawione ręce, bez wątpienia również twarz – nos wydawał się dwa razy większy niż zwykle, jakby ktoś mu przyczepił wielki nochal klauna. Może tak było. To by nawet pasowało. Klaun Charles, którego można bić po głowie i tyłku, żeby nie przeszkadzał właścicielowi cyrku zabawiać się z gwiazdą wieczoru. Która właśnie wyszła z łazienki. Wciąż bez słowa – bo co można powiedzieć klaunowi? Nadal oszołomiona i obolała, choć trochę czystsza. I nadal naga, jakby to już nie miało znaczenia, jakby nie mogła być bardziej naga niż piętnaście minut temu – obnażona, wystawiona na pokaz, zgwałcona. Po czymś takim co znaczy ubranie? A może chodziło o coś innego – klauni się nie liczą, są zbędni w każdej sytuacji, nie liczy się, co widzą, jeśli nie potrafią działać.

Otworzył usta, żeby spytać, czy wszystko w porządku. Prawie się już odezwał, kiedy zdał sobie sprawę, jak idiotycznie zabrzmiałoby to w tej sytuacji. Jak mogło być w porządku, kiedykolwiek?

– Zawiozę cię do szpitala.

– Nie.

To pierwsze, co do niego powiedziała od wielu, jak mu się zdawało, godzin.

– Trzeba się tobą zająć.

– Nie. Jak na jeden dzień już się mną dość zajmowano.

Mówiła martwym głosem, jak aktorki z amatorskiego teatru. Ten głos brzmiał bardziej przerażająco niż krzyk, niż łzy. Gdyby zaczęła krzyczeć, mógłby ją objąć i pocieszyć. A tak nie mógł zrobić nic.

Zaczęła się ubierać, powoli, bardzo powoli, tym razem nie odwracając się od niego z zawstyżeniem jak poprzednio. Więc poszedł do łazienki, gdzie wzdrygnął się na widok własnego odbicia w lustrze, którego najpierw w ogóle nie skojarzył ze sobą. To nie mógł być on. Ale przecież stał się klaunem Charlesem, czyżby zapomniał? Z bulwiastym czerwonym nosem i stojącymi dęba włosami.

Przycisnął do nosa mokry ręcznik, zapiekło jak po jodynie. Przygładził włosy i spróbował zmyć krew w policzków.

Gdy wrócił, była już mniej więcej ubrana. Jedna pończocha rozdarta, pęknięta spódnica, a jednak zdołała się pozbierać i stworzyć udane naśladownictwo ubranej kobiety. Jakby manekin udawał żywego człowieka – ale brakowało jej tego, po czym się poznaje, że człowiek żyje.

– Co zrobimy? – spytał Charles, choć nie zwracał się tylko do niej, lecz również do

siebie, ponieważ nie wiedział.

A ona powiedziała:

– Nic.

Nic. Brzmiało idiotycznie. Bez sensu. Przestępca był na wolności, jego ofiary krwawiły i cierpiały, a ona proponuje, żeby nic nie robić? Nic?

Ale przeciwieństwem „nic” jest „coś”, a jemu nijak nie przychodziło do głowy, czym może być to coś.

Iść na policję?

Oczywiście, to całkiem naturalne. Jeśli ktoś cię okradł, pobił i zgwałcił, idziesz na policję. Ale...

Co pan robił w hotelu Fairfax?

No, więc...

Dlaczego poszliście do hotelu Fairfax?

No, więc chodzi o to, że...

Co robiliście w hotelu Fairfax?

To nie takie proste...

Może powinni poprosić o dyskrecję, może nawet mieli do tego prawo, a policjant puściłby oko i powiedział „rozumiem”. I że to pozostanie między nimi, nie ma strachu. Ale...

Przestępca wciąż był na wolności, a przestępcy czasami wpadają – ludzie na nich donoszą, a policja czasami naprawdę ich łapie i stawia przed sądem. I są procesy, które trafiają na pierwsze strony gazet, gdzie świadkowie muszą zeznawać, „To on, Wysoki Sądzie”, i tak dalej. Tym świadkiem byłby on. On i Lucinda.

I co robiliście w hotelu Fairfax?

No, więc...

Co robiliście w hotelu Fairfax w późnych godzinach porannych?

No, więc tak naprawdę...

Proszę odpowiedzieć.

Co zrobimy? Tak brzmiało pytanie.

Nic. Może jednak odpowiedź nie była tak idiotyczna, jak się z początku wydawała.

A jednak, czy mogli po prostu zapomnieć o tym, co się im przydarzyło? Czy ona zdoła o tym zapomnieć, jak o chamskiej uwadze czy wulgarnym geście? Czy zdoła zasnąć i obudzić się jak nowo narodzona?

– Idę – powiedziała.

– Dokąd?

– Do domu.

Do domu. Do jasnowłosej pięciolatki, której wciąż podobały się wszystkie huśtawki. Do męża – golfisty, który może nawet nie zauważy jej nagłej bladości, pogryzionych do krwi warg ani oszołomienia jak po wybuchu bomby.

– Przepraszam – szepnął.

– Tak.

Chciał ją przeprosić za wszystko. Przede wszystkim, że ją tu przyprowadził. I nie zauważył mężczyzny czającego się na klatce schodowej naprzeciwko ich pokoju. Że siedział i patrzył, kiedy mężczyzna gwałcił ją raz za razem. Że nie potrafił jej obronić.

Lucinda powlokła się do drzwi – jej zadziwiająco eleganckie ruchy stały się ociężałe i niezdarne. Nie obejrzała się. Charles pomyślał, że powinien wezwać dla niej taksówkę, ale zrozumiał, że Lucinda się nie zgodzi. Nie potrafił zapewnić jej jedynej rzeczy, jakiej naprawdę potrzebowała. Teraz nie chciała od niego nic.

Otworzyła drzwi, wyszła i zamknęła je za sobą.

ATTICA

Przepraszam, tu muszę przerwać.

Powinienem coś wyjaśnić.

Wydarzyły się trzy rzeczy.

W środę przyszedł do nas jakiś człowiek, żeby obejrzeć dom. Adres otrzymał od agenta sprzedaży nieruchomości, jak wyjaśnił.

Żona otworzyła mu drzwi i powiedziała, że dom nie jest na sprzedaż. To chyba jakaś pomyłka.

Pani mąż jest nauczycielem? – zapytał.

Tak, odpowiedziała. Ale to i tak pomyłka. Dom nie jest na sprzedaż.

Mężczyzna przeprosił i odszedł.

Nie wyglądał jak ktoś, kto by mógł kupić dom, powiedziała mi później.

A jak wyglądał? – spytałem.

Jak twój uczeń.

Z liceum?

Nie. Z tego drugiego miejsca.

Potem zdarzyło się coś jeszcze.

Naczelnik więzienia, zwany Grubym Tommym, poinformował mnie, że wkrótce mnie wywalą.

To znaczy? – spytałem.

To znaczy, że wkrótce cię wywalą, powiedział.

Gruby Tommy ważył ze sto pięćdziesiąt kilo i, jak głosiła plotka, miał zwyczaj siadać na niesubordynowanych więźniach, skutych kajdankami i leżących twarzą do podłogi.

Dlaczego? – spytałem.

Cięcia w budzecie. Pewnie ktoś się wreszcie kapnął, że podatki mogą iść na coś innego niż uczenie więźniów czytania.

Spytałem, czy wie kiedy.

Nie, powiedział. Ale *Wojny i pokoju* to bym raczej z nimi nie zaczynał.

Kiedy się śmiał, trzęsły mu się wszystkie trzy podbródki. Potem zdarzyła się trzecia rzecz.

Autor napisał odręcznie notkę na końcu rozdziału 10. Najpierw myślałem, że to część tekstu, kwestia Charlesa do Lucindy albo do samego siebie. Ale nie. Zdanie było skierowane do mnie – jakby odautorski przypis.

„Podoba się na razie?”

Tyle.

Nawiasem mówiąc, odpowiedź brzmiała: nie.

Nie podobało mi się.

Przede wszystkim – w tekście brakowało zaskoczenia.

Czyli głównego składnika, budującego napięcie.

Zaskoczenie.

Zaskoczenie jest wtedy, kiedy nie wiemy, co się stanie.

A ja wiedziałem, co się stanie za drzwiami pokoju numer 1207, od pierwszej chwili, gdy je otworzyli. Wiedziałem, co ten mężczyzna będzie robił z Lucindą przez najbliższe cztery godziny.

Wszystko to pamiętałem z poprzedniego życia.

W tamtym życiu budziłem się każdego ranka, nie pamiętając, dlaczego wolę nie otwierać oczu.

Brałem prysznic, ubierałem się i próbowałem nie patrzeć na glukometr na kuchennym stole. Wsiadałem w kolejkę o 8.43 do Penn Station, i tak było zawsze z wyjątkiem jednego

listopadowego poranka, kiedy się spóźniłem. Przez córkę. Wsiadłem w pociąg o 9.05. Tego ranka podniosłem głowę znad gazety i poproszono mnie o bilet, którego nie miałem.

To moja historia.

Od tego miejsca opowiem ją sam.

WYKOLEJONY: 11

Po wyjściu Lucindy poszedłem do lekarza.

Gabinet znajdował się parę kilometrów dalej. Poszedłem piechotą, ponieważ tamten mężczyzna zabrał mi portfel z całą gotówką.

Miałem złamany nos i zakrwawioną kurtkę, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Pewnie były ciekawsze widoki ode mnie – na przykład zupełnie goły kloszard. Kobieta na rolkach, od stóp do głów ubrana na fioletowo. Czarnoskóry mężczyzna wykrzykujący coś o synach Jonasza. Mój spuchnięty nos i zakrwawiona kurtka były niewykrywalne dla radaru przeciętnego mieszkańca metropolii.

Kiedy tak szedłem, szedłem i szedłem, wydarzyło się coś śmiesznego.

Zacząłem liczyć przecznice, a skończyłem na liczeniu plusów tej sytuacji.

Bo były. Na przykład, ocalałem życie. To plus numer jeden. Byłem prawie pewien, że ten mężczyzna chce mnie zastrzelić. Dlatego ocalenie życia było plusem. Potem – moja żona i córka. Dwa wielkie plusy. Nieświadoma niczego żona, niemająca najbledszego pojęcia, że ten ranek spędziłem z inną kobietą w pokoju numer 1207 w hotelu Fairfax. Co prawda, musiałem się przyglądać, jak ta kobieta jest wielokrotnie i brutalnie gwałcona, ale fakt pozostaje faktem.

A Anna... jak mogłem jej zrobić coś takiego? Czułem się, jakbym od długiego czasu był śmiertelnie chory i właśnie przeżył przełom. Wróciła mi jasność myślenia.

Doktor Jaffe spytał, co się stało.

– Upadłem, wysiadając z taksówki.

– Aha – powiedział doktor. – Zdziwiłby się pan, ile razy to słyszałem.

– Nie wątpię.

Doktor Jaffe nastawił nos i dał mi buteleczkę kodeiny.

– Jeśli będzie bardzo boleć.

Chciałem mu powiedzieć, że już bardzo boli, ale – prawdę mówiąc – ten ból był mi w pewnym sensie na rękę. Jak parę kilometrów przemaszerowanych w lodowatym powietrzu. Dzięki temu utrzymałem kontakt z rzeczywistością.

Do biura także poszedłem piechotą. Pewnie mógłbym wrócić do domu, lecz chciałem przeżyć ten dzień jak każdy inny. Trochę późno się zaczął, o jego początku wołałem nie myśleć, ale przecież czekało mnie całe popołudnie. I następny ranek, i popołudnie, i tak dalej. Zamierzałem od razu skoczyć na głęboką wodę.

W biurze wstawiałem ten sam kit każdemu, kto zapytał. A pytał każdy, kto mnie zobaczył. Winston, Mary Widger i trzy czwarte zespołu. Taksówka, wyrwa na ulicy, niefortunny upadek. Wszyscy mi współczuli, wszyscy starali się nie patrzeć na mój nos i dwie czarne plamy wokół oczu jak u szopa pracza.

Kiedy wreszcie dotarłem do gabinetu, poczułem ulgę powrotu do własnego środowiska, może ostatnio trochę smętnego i beznadziejnego, choć teraz wydało mi się nagle ciepłe i zachęcające. Samo życie wydawało się ciepłe i zachęcające – i pełniejsze, niż do niedawna przypuszczałem. Na przykład te wszystkie przedmioty należały do mnie. Mój własny telefon, komputer, sofa i stolik do kawy. Wszystkie te brązowe nagrody, które udało mi się dostać – złote, srebrne i brązowe – kto powiedział, że pomimo niedawnych niepowodzeń nie pojawią się następne? A na moim biurku zdjęcie naszej trójki: Deanna, Anna i ja, zrobione na jakiejś karaibskiej plaży. Moja rodzina, pewna mojej miłości. Bo ich kochałem.

Ale to zdjęcie przypomniało mi o innym, tym z portfela. Tym, na które gapił się tamten mężczyzna, które skaził dotykiem swoich łap. Tym, które zabrał.

– Darlene! – zawołałem.

– Tak?

Moja sekretarka stanęła w drzwiach z miną pełną macierzyńskiej troski.

– Właśnie odkryłem, że zgubiłem portfel. Pewnie mi wypadł, kiedy zламаłem nos.

– Och.

– Możesz unieważnić moje karty?

– Nie.

– Co?

– Nie. Sam to musisz zrobić. Posłuchają tylko właściciela karty.

– A. Tak.

Pewnie powinienem o tym wiedzieć. Pewnie powinienem wiedzieć o wielu innych rzeczach. Na przykład, że podłe hotele wyglądają tak nie bez przyczyny – bo są podłe. Takie miejsca przyciągają przestępców oraz tych, którzy chcą się nimi stać. Tych, którzy zaczajają się na korytarzach i czekają na cudzołożników. Skończyłem czterdzieści lat i dalej byłem głupi.

Zadzwońiłem do American Express, Visy i MasterCard. W naszych czasach łatwo jest unieważnić kartę kredytową – trzeba podać tylko nazwisko panięskie matki – Reston – i juź. Numer twojej karty przestaje istnieć. Wyobraziłem sobie tamtego mężczyznę, któremu kasjer mówi, że jego karta jest nieważna. Ta też. I ta trzecia również.

Ale nagle przed oczami stanęła mi Deanna, która słyzy to samo. Musiałem do niej zadzwonić. Juź po trzeciej – będzie w domu.

Podniosła słuchawkę po czwartym dzwonku, a ja na jej „halo” poczułem jakby wdzięczność. Pewnie byłem wdzięczny Bogu – zakładając, że istnieje, zakładając, że obchodzi go to, iż udało mi się wyjść z hotelu Fairfax w jednym kawałku. Nie wspominając o nosie, nie wspominając o kochance, no tak, ale poza tym byłem prawie nietknięty.

– Nie uwierzysz, jaki miałem dzień – powiedziałem. I faktycznie, nie uwierzyłyby mi.

– Co się stało?

– Złamałem nos.

– Co złamałeś?

– Nos. Upadłem, wysiadając z taksówki, i po nosie.

– Och, Charles...

– Nie przejmuj się, nic mi się nie stało, wszystko dobrze. Lekarz go nastawił i dał mi tyle kodeiny, że można uśpić konia. Nic mnie nie boli. – Nieprawda, bolało, ale to była jakby kara, w dodatku złagodzona przez drugie uczucie – bezgraniczną ulgę.

– Och, Charles. Czemu nie przyjechałeś do domu?

– Mówiłem ci, nic mi nie jest. Muszę tu załatwić parę spraw. – Na przykład odmówić trzysta zdrowasiek i lizać rany.

– Na pewno?

– Tak. – Poruszyło mnie wyraźne współczucie w jej głosie, takie współczucie, jakie jest możliwe tylko po wielu latach wspólnego życia na dobre i złe. Nawet jeśli ostatnio nam się nie układało – nawet jeśli nie potrafiliśmy wyrazić tego współczucia – ono istniało. Od zawsze. I niewiele brakowało, a przyznałbym się do wszystkiego i zdał na łaskę i niełaskę najwyższego sądu. Ale przecież nie musiałem. Życie wróciło na dawne tory, którymi się toczyło, zanim podniosłem głowę znad gazety i zauważyłem białe udo i kołyszącą się czarną szpilkę.

– I jeszcze jedno.

– Co?

– Zgubiłem portfel. Wysiadając z taksówki. Mówię ci, co za dzień, nie uwierzyłybyś.

– Portfel to tylko portfel. Bardziej martwię się o ciebie.

– Już zablokowałem karty. Chciałem cię zawiadomić – potnij je i wyrzuć. Jutro przyślą nam nowe, przynajmniej tak powiedzieli.

– Dobrze. Załatwione.

Pożegnałem się, szepnąłem „Kocham cię” i już miałem odłożyć słuchawkę, gdy dodała:

– A, prawie zapomniałam.

– Tak?

– Dzwonił pan Vasquez.

– Kto?

– Pan Vasquez. Podobno miał dziś z tobą spotkanie w hotelu Fairfax i zapomniał ci coś powiedzieć. Charles...?

– Tak?

– Dlaczego nie zadzwonił do ciebie do pracy?

WYKOLEJONY: 12

Zadzwoniłem do Lucindy na numer służbowy, który mi dała.

Tu Lucinda Harris z Morgan Stanley. W tej chwili nie mogę podnieść słuchawki. Proszę zostawić nazwisko i krótką wiadomość, a oddzwonię.

Więc zostawiłem krótką wiadomość, jeśli można to tak nazwać. Ratunku! Oczywiście nie posłużyłem się tym konkretnym słowem, ale liczy się przesłanie.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziałem. – Ten... człowiek z hotelu do mnie zadzwonił.

Usiłowałem usunąć z głosu panikę, tak jak podczas rozmowy z Deanną, kiedy usłyszałem, że dzwonił do mnie pan Vasquez. W obu przypadkach poniosłem klęskę.

Wszystko w porządku? – spytała Deanna.

To ta kodeina, wyjaśniłem, kręci mi się w głowie. A chciałem powiedzieć: To ten pan Vasquez, świruję ze strachu.

Eliot zajrzał do mojego gabinetu z wyrazami współczucia z powodu nosa. Może on też usiłował załagodzić sytuację – w końcu byliśmy kiedyś przyjaciółmi, nie? Kimś więcej niż kolegami z pracy, niż szefem i pracownikiem. Eliot był przez wszystkie te lata moim guru – kto, jeśli nie on, awansował mnie, pocieszał i zasilął mój budżet nad wyraz hojnymi podwyżkami? Niesłusznie uznałem go za winnego mojej degradacji – to wszystko przez nich, nie przez niego. Przez Ellen Weischler i tych jej czterech wspaniałych. Eliot chciał zakopać topór wojenny i znowu się ze mną zakumplować.

A ja bardzo potrzebowałem przyjaciela.

Jak bardzo mnie kochasz? – pytałem kiedyś Annę, gdy była malutka.

Jak stąd do Księżyca, odpowiadała. A czasami: w nieskończoność.

I tak samo potrzebowałem teraz przyjaciela. Nieskończonej, natychmiastowej przyjaźni.

Zapraǳiałem się mu zwierzyć. Chciałbym ci opowiedzieć, co mi się przydarzyło, powiedziałbym. Wiem, trudno w to uwierzyć. Wiem, to idiotyczne. Poznałem pewną dziewczynę. A Eliot puściłby oko i się uśmiechnął, bo on też spotykał dziewczyny – trzy małżeństwa o czymś chyba świadczą, to trzecie ostatnio weszło w fazę krytyczną.

Poznałem pewną dziewczynę, powiedziałbym, mężatkę, a Eliot uśmiechnąłby się jeszcze szerzej, jeśli to możliwe, bo spotykał się i z mężatkami. Poszliśmy do hotelu – tu Eliot pochyliłby się, zamieniony w słuch, bo czy jest coś rozkoszniejszego niż gdy kumpel dzieli się smakowitymi szczegółikami, no, chyba że samemu się z nim dzieli?

Poszliśmy do hotelu, ciągnąłbym, ale kiedy weszliśmy do pokoju, dołączył do nas ktoś trzeci.

I Eliot straciłby ten uśmiech. Historia zrobiłaby okrutny zwrot i pojawiłby się człowiek, który zgwałcił kobietę i zadzwonił do mojego domu. Rozmawiał z moją żoną.

Eliot spytał, czy coś się stało.

– Nie – powiedziałem.

– Może powinieneś iść do domu. Jesteś jakiś blady.

– No, bo nos...

– Tak. Nos też nie wygląda dobrze.

– No.

– Więc idź do domu.

– Może i pójdę.

Eliot poklepał mnie po plecach – znowu się przyjaźnimy.

Poszedłem do domu.

Dlaczego nie zadzwonił do ciebie do pracy, Charles?

Żeby mi coś udowodnić, Deanno.

Pożyczyłem pieniądze z księgowości, żeby kupić bilet na pociąg – miejsce zbrodni. Zbrodni pożądania – żony innego mężczyzny, życia innego mężczyzny. Pewnego wieczoru, gdy miałem osiem lat, a nieustanne kłótnie rodziców stały się nie do wytrzymania,

spakowałem kask futbolowy i majtki, po czym oświadczyłem, że uciekam z domu. Poszedłem przed siebie: jedna ulica, druga, trzecia, aż wreszcie zrozumiałem, że nikt za mną nie pobiegł, żeby mnie zatrzymać. W końcu zatrzymałem się wśród wirujących jesiennych liści i ruszyłem z powrotem. Trzydzieści pięć lat później znowu uciekłem. Ale tym razem wracałem biegiem.

Zadzwoiła moja komórka. Przez sekundę bałem się, że to on – mój biznesowy wspólnik z hotelu Fairfax. Ale to nie mógł być on, nie znał mojego numeru. Znał go za to ktoś inny.

– Halo – odezwała się Lucinda.

Miała już inny głos niż rano. Znowu wróciły do niego uczucia, tylko takie, do jakich nie byłem przyzwyczajony. Zgroza, tak bym to określił. Najpierw martwota, teraz zgroza, a popołudnie jeszcze się nie skończyło.

– Zadzwoił do mojego domu – powiedziałem.

– Witaj w klubie.

– Co?

– Do mojego też zadzwonił – mówiła szeptem, jakby bała się, że ktoś może usłyszeć.

Czy jej mąż był w domu?

Modliłem się z całego serca, żeby pan Vasquez jednak nie zadzwonił do mojego domu. Albo żeby zadzwonił, ale żeby to był ktoś, kto znalazł mój portfel, porzucony w westybulu hotelu Fairfax i wystąpił w roli dobrego samarytanina. Albo zrobił to z myślą o nagrodzie. Może to idiotyczne, ale nadzieja umiera ostatnia, nieprawdaż?

Właśnie umarła.

– Rozmawiałaś z nim?

– Tak.

– Czego chciał? – spytałem. Oto pytanie za milion dolarów – musisz się dowiedzieć, o co chodzi temu człowiekowi, zanim postanowisz, co robić.

– Nie wiem.

– No, ale co powiedział? Czy...

– Spytał, jak go oceniam.

– Jak go oceniasz? Nie rozu...

– Czy było mi dobrze. Chciał wiedzieć, czy było mi dobrze. Spodziewał się potwierdzenia – jak wszyscy mężczyźni po... – Ale nie mogła dokończyć. Pewnie nawet fałszywa brawura ma swoje granice.

– Przepraszam, Lucindo.

Znowu ją przeproszałem. Miałem wrażenie, że powinienem ją przeproszać codziennie

do końca życia, i jeszcze po śmierci, a i to nie byłoby dosyć. Ale musiałbym też przeprosić tyle innych osób...

– Chyba chciał się dowiedzieć... – zaczęła.

Nagle zdałem sobie sprawę, że mówię głośniej, niż powinienem. Głośniej albo ciszej – bo budziłem zainteresowanie wśród nielicznych pasażerów w kolejce – kobiety siedzącej wśród toreb z zakupami i dwóch dziewczynek z kolczykami w nosie, trzymających się za rękę po drugiej stronie przejścia.

– Czego chciał się dowiedzieć? – spytałem.

– Czy coś zrobiliśmy. Czy poszliśmy na policję...

Nie pójdziemy na policję. Sam mu to obiecałem. Większość ofiar zbrodni obiecuje podobne rzeczy. Ale w tym przypadku Vasquez miał powody, żeby mi uwierzyć. Ta kobieta nie jest do ciebie podobna, powiedział do Lucindy. A ten mężczyzna nie wygląda jak ty.

Vasquez mógł tego ranka wybrać kogokolwiek. Poszczęściło mu się. Wybrał idealne ofiary. Musieliśmy ukryć fakt, że się nimi staliśmy.

– Co robimy? – spytała mnie Lucinda. To samo pytanie, jakie zadałem jej wtedy, w hotelowym pokoju. Bo nagle „nic” przestało nam wystarczać. Zupełnie.

– Nie wiem.

– Charles...

– Tak?

– A jeśli on...

– Tak?

– Nieważne.

– Jeśli co, Lucindo? – Ale chyba już wiedziałem, o co jej chodziło. Tylko nie chciałem tego usłyszeć – nie teraz, jeszcze nie.

– No dobrze, co zrobimy?

– Może to, co powinniśmy. Może pójdziemy na policję.

– Mój mąż nie może się dowiedzieć.

Wreszcie w jej głosie pojawiło się prawdziwe uczucie. Nagle i niezaprzeczalne zdecydowanie, które ucięło dalsze dyskusje.

– Jeśli ja to wytrzymam, to ty też.

To ja zostałam zgwałcona, mówiła mi. To mnie zgwałcono sześć razy, kiedy ty siedziałeś i nic nie zrobiłeś. Jeśli ja zdecyduję się na milczenie, to ty też. Musisz.

– Dobrze – powiedziałem. – Dobrze. Jeśli znowu zadzwoni, porozmawiam z nim. Dowiem się, czego chce.

Kiedy wróciłem do domu, Deanna otoczyła mnie matczyną opieką. Anna też – może jej ulżyło, że wreszcie ktoś inny potrzebuje opieki medycznej. Przyniosła mi ciepły kompres na spuchnięty nos i delikatnie pogłaskała po ramieniu, kiedy ległem ledwie żywy na łóżku.

Znowu znalazłem się na łonie rodziny – zadowolony, wdzięczny, pławiłem się w domowym cieple.

Tyle tylko, że za każdym dzwonkiem telefonu miotało mną, jakby ktoś mnie kopnął w żołądek.

Przyjaciółka Deanny. Kontrolny telefon agenta handlu nieruchomościami. Moja sekretarka z pytaniem, jak się czuję.

Ale zawsze może zadzwonić ktoś jeszcze, zgadza się?

Obie chciały się dowiedzieć, co dokładnie zaszło. Anna zapytała, jak mogłem być takim niedojdą. Przecież tylko wysiadłem z taksówki. Dziura? Jaka dziura?

Powiedziałem, że nie chcę o tym mówić. I zacząłem się zastanawiać, czy powtarzanie tego samego kłamstwa to to samo, co kłamanie wciąż od nowa. Czy jedno jest gorsze od drugiego. Żadne nie robiło specjalnie dobrego wrażenia, zwłaszcza gdy moja córka podawała mi ogrzany ręcznik, a żona otaczała bezwarunkową miłością.

Usiłowałem oglądać koszykówkę w telewizji, kibicować ciężko harującym Knicksom, ale okazało się, że nie mogę się skupić; myśli błądziły bez celu. W Indiana Pacers był na przykład jeden gracz trochę podobny do... Ciemnoskóry, ale Latynos. Lopez, tak się nazywał. Oczywiście wyższy, ale...

– Jaki wynik? – spytała Anna. Przestała oglądać ze mną koszykówkę, kiedy skończyła dziewięć lat, ale pewnie chciała być miłą dla posiniaczonego, poobijanego staruszka.

– Przegrywamy.

Ostatnio można było udzielać tej odpowiedzi w ciemno, nawet jeśli nie znało się wyników.

Właśnie wtedy wyniki pojawiły się w lewym rogu ekranu.

– Osiemdziesiąt sześć do osiemdziesięciu dwóch – przeczytała Anna.

– Blisko.

– Tato?

– No?

– Tatusiu, grałeś kiedyś w kosza?

– Pewnie.

– W drużynie?

– Nie.

– No to jak?

– Z kolegami. W parku. – Murray Miller, Brian Timinsky, Billy Seiden. Moi najlepsi kumple z czasów dorastania, choć powoli, stopniowo paczka się rozpadła. Parę lat temu widziałem Billy’ego Seidena w supermarkecie, ale nie podszedłem, żeby się przywitać.

Przytulilem Annę. Miałem ochotę powiedzieć jej coś o miłości, życiu i ich ulotności, jeśli nie przytrzyma się ich mocno – że trzeba zazdrośnie strzec tego, co jest dla nas ważne – ale nie potrafiłem odnaleźć właściwych słów.

Ponieważ znowu zadzwonił telefon.

Anna podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

– Do ciebie – powiedziała.

– Kto?

– Ktoś z hiszpańskim akcentem.

WYKOLEJONY: 13

Rozmowa:

– No cześć, Charles.

– Cześć.

Jego głos był wyrwany z kontekstu. Przynależał do śmierdzącego krwią pokoju hotelowego, nie do bezpiecznych domowych pieleszy. Ale mój dom nie był już bezpieczny.

– Jak leci, Charles?

– Czego chcesz?

– Dobrze sobie radzisz, Charles?

– Świetnie. Czego chcesz?

– Jesteś pewien, Charles?

– Tak, jestem pewien.

– Chybabyś mnie nie zrobił w wała, Charles? Nie poleciałeś na policję?

Lucinda miała rację; chciał wiedzieć, czy nie narobiliśmy hałasu.

– Nie.

– Wiem, że obiecałeś i w ogóle, ale aż tak dobrze to się nie znamy, nie?

– Nie poszedłem na policję – powiedziałem cicho. Wyprosiłem Annę z pokoju, ale to nie znaczyło, że zaraz nie wróci. A była jeszcze Deanna, która w każdej chwili mogła podnieść słuchawkę i zdziwić cię, z kim rozmawiam.

– To dobrze, Charles.

– Czego chcesz? – spytałem po raz kolejny.

– Czego chcę?

– Słuchaj...

– Ale nie robisz mnie w wała, co, Charles? Jak powiesz glinom, to swojej starej też będziesz musiał, nie, Charles? Będziesz jej musiał powiedzieć, że posuwasz Lucindę, mam rację, Charles? A to ci na jaką cholere?

Wytłumaczył mi wszystko. Całą sytuację, na wypadek gdybym się nie połapał.

– Nie pójde na policję – powtórzyłem.

– To dobrze, Charles. No to ci powiem. Potrzebuję pożyczki.

Otóż to. O to właśnie chodziło Lucindzie. A jeśli on... Nie skończyła, lecz z pewnością chciała powiedzieć: a jeśli on będzie chciał pieniędzy?

– Strasznie mi przykro, że cię proszę, no wiesz – dodał. – Ale u mnie trochę cienko z kasą.

– Słuchaj, nie wiem, co...

– Niedużo, Charles. Taka mała pożyczka. Powiedzmy, dziesięć patyków.

– Nie mam.

– Nie masz?

– Nie.

Myślałem, że na tym się skończy, ale nie.

– Cholera. To będzie problem.

– Słuchaj, nie sypiam na pieniądzech. Wszystko...

– To będzie duży problem, Charles. Bo ja bardzo potrzebuję tej pożyczki.

– Ale ja nie...

– To lepiej je skombinuj.

Nie dopowiedział, dlaczego powinienem je skombinować.

– Wszystko jest zamrożone. Nie mogę tak po prostu...

– Ty mnie nie słuchasz, Charles. Zdzieram sobie gardło, a ty nie słuchasz. Potrzebuję dziesięć patyków, jasne? Tak brzmi oferta. Jesteś cholernym dyrektorem, Charles. Tak masz napisane na wizytówce. Dyrektor kreatywny. Wiceprezes. Dobrze brzmi. Kurwa, dobrze. I ty nie masz dziesięciu patoli? Kogo chcesz zrobić w wała?

Nikogo, pomyślałem.

– Charles.

– Tak.

– Nic mnie nie obchodzi, co masz zamrożone, jasne? Chcę dziesięć patyków.

Rozumiesz?

– Tak.

– Jeśli rozumiesz, powiedz, że dasz mi dziesięć patyków.

Deanna zawołała z kuchni:

– Przynieść ci rosółu?

– Zdobęde je – powiedziałem.

– Co zdobędziesz?

– Te dziesięć tysięcy.

– Super. Bardzo dziękuję. Strasznie mi przykro, że musiałem cię prosić i, no wiesz, ale tak to już jest.

– Gdzie?

– Zadzwońię do ciebie jeszcze raz, dobrze, Charles?

– Czy mógłbyś zadzwonić do pracy? Czy...

– Iiii... lubię tu dzwonić. Zadzwońię do ciebie tutaj, dobrze, Charles?

Klik.

A jeśli będzie chciał pieniędzy? – spytała Lucinda.

Choć ukradł wszystko, co mieliśmy, choć powiedział: już wziąłem te wasze pieniądze, widzisz? – to nie zabrał nam jeszcze wszystkiego, prawda?

I dopóki nie pójdziemy na policję, on nie przestanie.

Knicksi przegrali równo z dzwonkiem.

Deanna spytała, co się dzieje, więc tak właśnie jej odpowiedziałem – moja drużyna przegrała, a stawiałem na nich.

– Biedactwo.

Dokładnie to samo powiedziała Lucinda w pociągu. Biedactwo, i poklepała mnie po ramieniu, i szepnęła mi coś do ucha. Coś o tym, że jestem seksowny.

Może i byłem, ale potem zmieniłem się w klauna.

Vasquez chciał dziesięć tysięcy dolarów.

Nie miałem tyle ot tak, pod ręką. Nie trzymałem pieniędzy w materacu, na oprocentowanym koncie w banku zresztą też nie. Miałem około stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów w akcjach, złożonych w szafce w moim gabinecie na strychu domu. Akcje firmy, co roku trafiające w moje ręce dzięki wspaniałomyślności Eliota.

Deanna i ja znaleźliśmy dla nich nazwę, niepozostawiającą wątpliwości co do ich przeznaczenia. Nie fundusz wakacyjny, nie emerytura, nawet nie na czarną godzinę. Fundusz

Anny. Tak to nazwaliśmy. Fundusz Anny, na wypadek tego wszystkiego, co może się wydarzyć. Można to nazwać samoobroną przed nadciągającą katastrofą.

Na przykład operacją.

Albo dziesięcioma operacjami. Albo innymi rzeczami, nad którymi niekoniecznie mam ochotę się zastanawiać.

Fundusz Anny. Do ostatniego papierowego grosika.

Ale czy mogłem nie zapłacić?

Leżałem obok Deanny, Deanna już przysypiała, choć dopiero minęła dziewiąta. Tych dwudziestu sześciu trzecioklasistów wiele ją kosztowało – a teraz to. Ile by ją kosztowało to, co się stało? Oczywiście, gdyby wiedziała, gdyby się dowiedziała. Gdybym się złamał i jej powiedział, dotrzymując obietnicy danej przecież Lucindzie, bo nie pisnąłbym ani słowa policji. Tylko Deannie.

Wtedy nie musiałbym dawać pieniędzy Vasquezowi, zgadza się? Ale...

Ale Vasquez mógłby zagrozić komuś innemu. Mógłby powiedzieć: dobra, twoja żona już wie, no, świetnie. Ale mąż Lucindy... Mąż Lucindy, któremu przysięgała wierność, nie mógł się dowiedzieć bez względu na wszystko, nie mógł się dowiedzieć, że poszła do hotelu, by uprawiać seks z obcym mężczyzną, a dostała więcej seksu, niż się spodziewała.

Jeśli ja to wytrzymam, to ty też, powiedziała Lucinda.

Byłem jej to winny, prawda? Pozwoliłem, żeby ją zgwałcił – siedziałem i patrzyłem, jak ją gwałci. Jechaliśmy na jednym wózku.

Poza tym mogłem sobie pomarzyć, jak to opowiadam Deannie o wszystkim, ale to było tak samo niewyobrażalne, jak opowiedzenie o wszystkim Annie. Mogłem przepowiedzieć w myślach te słowa, mogłem sobie wyobrazić, jak z serca spada mi ciężar – widzisz? I po wszystkim! – ale to było tylko takie udawanie. To się nie mogło zdarzyć naprawdę.

Kiedy Deanna zasnęła na dobre, poszedłem na strych, żeby poszperać w szafce z dokumentami. Pod F, jak Fundusz Anny.

Ale żeby do niej dojść, musiałem najpierw minąć parę innych przedmiotów; w ciągu minionych lat szafkę otoczył chaos i bałagan. Dyplomy z liceum, dyplomy ze studiów, metryki – dowody na nasze istnienie. Schine'owie. Kamienie milowe, osiągnięcia, wydarzenia zmieniające życie. Odciski maleńkich stópek, wykonane dzięki uprzejmości Anny Elizabeth Schine. Świadectwo z przedszkola. A wcześniej – akt ślubu. „Charles Schine i Deanna Williams”. Przysięgli sobie miłość i szacunek – przysięga, którą złamałem w pewnym podłym hotelu.

Kiedy wyjmowałem akcje, żeby zapłacić gwałcielowi, nie mogłem się pozbyć uczucia absurdu. Nigdzie nie sprzedają samouczków, jak sobie radzić w takich sytuacjach, poradników, które obiecują, że wszystko będzie dobrze.

Wracając, minąłem pokój Anny – spała skąpana w świetle księżycy czy po prostu nocnej lampki? Zaczęła ją zostawiać zapaloną na noc tuż po tym, jak zachorowała. Nagle zaczęła się bać ciemności. Bała się, że obudzi się z hipoglikemią i nie zdoła odnaleźć tabletek – a może, że nie obudzi się wcale.

We śnie wyglądała, jakby opuścił ją cały gniew i smutek.

Wszedłem na palcach i pochyliłem się nad łóżkiem. Jej oddech muskał mój policzek jak skrzydełka motyla (przypomniałem sobie, jak kiedyś rozpostarłem skrzydła pazia królowej, żeby pokazać je czteroletniej Annie. Potem ostrożnie włożyłem go do umytego słoika). Pocałowałem chłodny policzek. Poruszyła się, cicho jęknęła, i przekręciła się na bok.

Zszedłem na parter i schowałem akcje do aktówki.

WYKOLEJONY: 14

Spotkałem się z Lucindą przy fontannie na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej i Szóstej.

Kiedy zadzwoniłem i opowiedziałem, czego chce Vasquez, zamilkła na długo. Potem poprosiła o spotkanie.

Siedziałem tam przez dziesięć minut, zanim zobaczyłem, jak przechodzi przez Pięćdziesiątą Pierwszą.

Wstałem i chciałem podnieść rękę w powitaniu, ale znieruchomiałem – była z innym mężczyzną. Szła ku mnie i przez chwilę zastygłem pomiędzy siadaniem i wstawaniem, pomiędzy powitaniem i milczeniem. Usiadłem; coś mi kazało nie rzucać się w oczy.

Zostałem na cembrowinie fontanny, a Lucinda przeszła z mężczyzną tuż obok bez jednego spojrzenia.

Mężczyzna był ubrany w budzący szacunek granatowy garnitur i świeżo wypastowane buty. Pod pięćdziesiątkę, lekko łysiejący, z wydętymi w zamyśleniu ustami. Lucinda wyglądała niemal normalnie, pomyślałem, czyli olśniewająco, jeśli nie wnikać w szczegóły. Jeśli nie przyglądać się zbyt uważnie bladym siniakom pod oczami – nie takim jak moje, które wyglądały jak czarne łaty na piłce futbolowej, lecz i tak wyraźnym. Wyglądała jak ktoś, kto nie może spać i rzuca się w pościeli mimo dwóch valium i kieliszka wina.

Rozmawiała z mężczyzną, ale jej słowa ginęły w kakofonii Nowego Jorku – klaksony, rowerowe dzwonki, muzyka ze sklepów, warkot autobusów. Przeszli dwa metry ode mnie, a nie usłyszałem ani słowa.

Czekałem, poszli w stronę bocznej uliczki. Otoczył mnie codzienny tłum turystów z zadartymi głowami, zdesperowanych palaczy, którzy musieli wyskoczyć na dymka oraz mamroczących do siebie bezdomnych.

Wbiłem wzrok w udekorowany świątecznie budynek Radio City Music Hall po drugiej stronie ulicy. „Spektakularny pokaz świąteczny”, głosił napis otoczony girlandą ostrokrzewu. Przed drzwiami stał święty Mikołaj, potrząsał dzwonkiem i wołał „Wesołych Świąt!”. Przy fontannie było cholernie zimno.

Odsiedziałem następne pięć, potem dziesięć minut.

Wreszcie zobaczyłem powracającą Lucindę. Wybiegła zza rogu, patrząc prosto na mnie. Więc jednak mnie zauważyła.

– Dziękuję – powiedziała.

– Proszę. A za co?

– Że się nie przywitałeś. Że nic nie powiedziałaś. To był mój mąż.

To był mój mąż. Golfista. Ten, który się nie dowie.

– No cóż – powiedziałem.

– Zaskoczył mnie, przyszedł do pracy. Z kwiatami. Uparł się, żeby pojechać ze mną do centrum. Przepraszam.

– Nie szkodzi. Jak sobie radzisz?

– Cudownie. Lepiej być nie może. – Ton jej głosu wskazywał, że zadałem kretyńskie pytanie, tak jak ci telewizyjni dziennikarze, którzy na miejscu niewyobrażalnej tragedii pytają bliskich ofiary, jak się czują.

– Zadzwoił znowu? – spytała.

– Odkąd zażądał dziesięciu tysięcy? Nie. Jakoś nie.

– I? Dasz mu?

– Tak.

Spojrzała na swoje dłonie.

– Dziękuję.

– Nie ma o czym mówić.

I nie chciałem o tym mówić, bo za każdym razem, kiedy wspominałem, sytuacja stawała się coraz bardziej realna, coraz bardziej w nią wierzyłem.

– Słuchaj – powiedziała – mam tu tysiąc dolarów. Zaskórniak, mój mąż o nim nie wie.
– Sięgnęła do torebki.

– Nie, nie. Nie trzeba.

– Weź. – Zachowywała się, jakby usiłowała zapłacić za ciastko i oranżadę wbrew

moim dżentelmeńskim naleganiom, że sam uiszczę rachunek.

– Nie. Ja się tym zajmę.

– Weź – powtórzyła i wcisnęła mi banknoty w dłoń. Po krótkiej przepychance poddałem się. Włożyłem pieniądze do kieszeni.

– Myślisz, że teraz da nam spokój? – spytała.

Oto prawdziwy dylemat. Da czy nie da?

– Nie wiem, Lucindo.

Skinęła głową i westchnęła.

– A jeśli nie? Jeśli będzie chciał więcej? Co wtedy?

– Także nie wiem. – Wtedy będziemy zgubieni.

– Jak to się stało? – odezwała się, tak cicho, że z początku nie byłem pewien, czy naprawdę ją słyszę.

– Co?

– Jak to się stało? Jak? Czasami mam wrażenie, że to sen. Wydaje się niemożliwe, prawda? Czy to naprawdę nam się przydarzyło? Akurat nam? Czasami...

Otarła oczy – zwiłgotniały, a ja przypomniałem sobie, że tamtego pierwszego ranka zaraz po nogach zauważyłem jej oczy. Najpierw uda, potem oczy. Zobaczyłem w nich czułość i powiedziałem sobie: tak, to mi się przyda. Wykorzystam to.

– Może tak powinniśmy o tym myśleć – odparłem. – Że to zły sen.

– Ale to nie sen. Nie bądźmy głupi.

– Tak. Nie bądźmy.

– Gdyby się dowiedział, to by go zabiło.

Mąż – znowu mówiła o mężu.

– Nie dowie się. Jesteśmy w tym razem – zapewniłem ją. – Może zdradziliśmy współmałżonków, ale siebie nawzajem nie zdradzimy.

– Co powiedziałeś żonie? – spytała. – O nosie?

– Że upadłem.

– Tak. – Zabrzmiało to tak, jakby sama o tym także pomyślała.

– Słuchaj, chcę ci powiedzieć... – Właściwie co? Pewnie, że ją zawiodłem, ale więcej tego nie zrobię.

– Tak?

– Powinienem... wiesz, przeszkodzić mu.

– Tak.

– Staralem się. Ale nie dość.

– Miał broń.

Tak, miał broń. Miał broń, z której czasem do mnie celował, a czasem nie. Na przykład, kiedy ją gwałcił. Wtedy broń leżała na podłodze, może ze trzy kroki ode mnie.

– Daj spokój – powiedziała, ale widziałem, że tak nie myśli. Uważała, że powinienem się postarać bardziej, że powinienem ją uratować. A ja pamiętałem, że w barze potrafiłem ją obronić, i jak mnie za to pocałowała. Oczywiście, cham z baru to jedno, a uzbrojony gwałciciel to coś zupełnie innego.

– Nie powinniśmy więcej ze sobą rozmawiać – dodała. – Do widzenia.

– Zadowolony? – spytał David Frankel.

– Co?

– Zadowolony? Z reklamy?

Wreszcie przeszliśmy do etapu zdjęć. Scena numer dziesięć w Silvercup Studios.

– Tak. Świetnie.

– Właśnie. Corinth to stary wyga.

Tak, jest stary, miałem ochotę powiedzieć. Robert Corinth był reżyserem reklamówki aspiryny. Niski i łysiejący, z idiotycznym kucykiem za łysym półksiężycem opalonej skóry na ciemieniu. Ten kucyk był przesłaniem: może i poddaję się upokarzającym objawom upływu czasu, ale ciągle jestem na fali, ciągle walczę. Byliśmy przy scenie dwudziestej drugiej.

– Kto komponuje muzykę? – spytałem go.

– Muzykę?

– Tak, ścieżkę dźwiękową. Kto to robi?

– T&D Music House.

– Nie znam.

– Świetni goście. Są dobrzy.

– W porządku.

– Robili muzykę do wszystkich moich reklamówek.

– Świetnie.

– Spodobają ci się. Nie są drodzy.

Miałem go już zapytać, dlaczego się tak dziwnie uśmiecha, ale przeszkodziła mi Mary Widger.

– Charles – szepnęła mi na ucho – mogę z tobą pomówić?

– Pewnie.

– Pan Duben uważa, że butelka aspiryny powinna być wyżej.

– Wyżej? – Pan Duben był obecnie moim klientem. Powitał mnie słowami: aaa, nowa krew!

Tak. Grupa 0, odpowiedziałem, a on się roześmiał i oznajmił: świetnie, właśnie takiej nam trzeba.

– Wyżej. W kadrze.

– Jasne. David, powiesz Robertowi, żeby butelka była wyżej w kadrze?

– Nie ma sprawy – odparł David. – Po to się urodziłem.

Późnym popołudniem, gdzieś pomiędzy czterdziestą ósmą i czterdziestą dziewiątą sceną, Tom Mooney zapędził mnie w kąt za stołem z przekąskami.

– Hej, kolego.

Tom nie był moim kolegą. Był reprezentantem Headquarters Production, a jego życiowym celem było naprzykrzać się klientom tak długo, aż dla świętego spokoju dadzą mu zlecenie. I bardzo dobrze się sprawdzał.

– Jak leci, Tom?

– Mnie? Świetnie. Pytanie, co z tobą? – Przyglądał się mojej twarzy.

– Upadłem – powtórzyłem po raz setny.

– Pytałem o robotę.

Doskonale wiedział, co się dzieje u mnie w pracy. Wiedział na przykład, że do niedawna kierowałem prestiżowym zleceniem na reklamę karty kredytowej, a teraz została mi tylko reklama aspiryny. Wiedział to wszystko, ponieważ środowisko reklamy jest małe i jak to bywa w małych społecznościach, wieści rozchodzą się w nim szybko – a złe wieści dwa razy szybciej.

– Świetnie – oznajmiłem.

Spytał, czy dostałem od niego kartkę na Gwiazdkę.

– Nie.

– Wysłałem.

– Ale nie dostałem.

– Nie?

– Nie.

– No, to Wesołych Świąt! Spodziewaj się prezentu.

– To nie jest konieczne.

– Nie bądź niemądry, wujcio Tommy nigdy nie zapomina o klientach.

– Jeśli to czapka z waszym logo, to jedną już mam.

- Kto mówi o czapce? Czy ja coś wspomniałem o czapce?
- Koszulkę też mam.
- Hej, jesteś naszym klientem.
- Tak, to ja.
- Więc uważaj mnie za takiego jakby świętego Mikołaja.
- Zabawne. Nie wyglądasz jak święty Mikołaj. – Z przylizanymi czarnymi włosami i nadmiernie gwałtownymi ruchami Tom przypominał toreadora, który się nałykał amfetaminy.
- Skąd wiesz? Widziałeś kiedyś świętego Mikołaja?
- Kiedy Anna była malutka, miała jakieś pięć i pół roku, spytała mnie, jak to możliwe, że święty Mikołaj robi zakupy w amerykańskich sklepach, skoro mieszka na biegunie północnym. Niechcący zostawiłem na kucyku nalepkę z „Toys R Us”.
- Cieszę się, że cię poznałem, święty Mikołaju.
- Co chcesz dostać pod choinkę, chłopczyku?
- Gdyby miał wolny dzień, powiedziałbym mu.
- Nic, Tom. Mam wszystko.
- Hej, jesteś moim kumplem, tak?
- Tak.
- Pracujesz z Frankelem, tak?
- Z Frankelem? Owszem.
- Dobrze. To go spytaj, co dostanie na Gwiazdkę.
- Co to miało znaczyć?
- Ja chciałbym tylko dobrą reklamę.
- To dlaczego przyszedłeś do nas?
- Ale kiedy się nie roześmiałem, dodał:
- Tylko żartowałem.

Tego wieczoru Vasquez zadzwonił do mojego domu i wyznaczył spotkanie w Alphabet City na roku Ósmej i Alei C.

WYKOLEJONY: 15

Tę dzielnicę dolnego Manhattanu nazywają Alphabet City, ponieważ ciągnie się od Alei A do D. Kiedyś był to teren należący do latynoskich gangów, dopóki nie wyparła ich bohema; od tego czasu zrobiło się tu jednocześnie artystycznie i niebezpiecznie. Mordownie i

galerie koegzystują zgodnie obok siebie, serwując empanady i op-art.

Nie zaglądałem tu od czasu, gdy skończyłem dwadzieścia parę lat. Zachowałem mgliste wspomnienia bezcelowych podróży taksówką, które kończyły się zawsze tutaj – siedmiu w jednej taksówce, w poszukiwaniu dobrej zabawy. Zakończenia takich wieczorów nigdy nie pamiętałem.

Dziś nie szukałem rozrywki.

Szukałem Vasqueza.

Kiedy zadzwonił, odebrała Deanna. Jak się pani miewa, spytał. Oddała mi słuchawkę z nieco zdziwioną miną.

Praca, wyjaśniłem jej później.

Vasquez spytał, czy mam pieniądze: tak. Spytał, czy nadal jestem grzeczny (czytaj: nie poszedłem na policję): tak. Kazał mi przyjechać do Alphabet City.

Gdy Deanna opuściła pokój, powiedziałem, że więcej nie dostanie, czy to jasne? To już koniec.

Vasquez zapewnił, że rozumie. Spoko.

O jedenastej rano róg Alei C i Ósmej stanowił wierną reprezentację całej okolicy. Pięcioro śniadych dzieciaków zabijało czas, siedząc na masce samochodu, uliczny artysta rozstawiał szyld informujący o tatuażach henną. Na razie nie było widać Vasqueza.

Potrącił mnie jakiś czarny facet.

– Co się tu, kurwa, płaczesz? – spytał.

Nigdzie się nie płątałem, po prostu stałem.

– Przepraszam.

– Przepraszasz? – Facet był ode mnie większy, mniej więcej rozmiarów małego czołgu.

– Właśnie.

– A jak mi to nie wystarczy?

– Ja nie chciałem...

Facet zaczął się śmiać.

– Nic nie szkodzi. W porządku. Charles, tak?

Znał moje imię – facet, który miał do mnie pretensję, że się płaczę, znał moje imię.

– Charles – powtórzył. – Tak?

– A ty kto?

– Chyba zadałem ci pytanie? Jesteś Charles czy nie?

– Tak, jestem Charles.

– Mówią do ciebie „Chuck”? Jakbyś był stąd, toby mówili.

– Nie. Gdzie Vasquez?

– Zaprowadzę cię. A myślałeś, że co tu robię?

Nie chciałem, żeby mnie gdzieś prowadził.

– Może dam ci pieniądze i...

– Niczego mi nie będziesz dawał, jasne? Przejdziemy się kawałek.

– Dokąd?

– Dokąd? – przedrzeźnił mnie. – Na drugą stronę ulicy.

Ruszył i obejrzał się, czy za nim idę. Przypomniałem sobie, że tak samo robiłem, kiedy Anna była mała, a ja sprawdzałem, czy nie powędrowała gdzieś, gdzie grozi jej niebezpieczeństwo. Ale tym razem to ja szedłem w niebezpiecznym kierunku.

W pobliżu wąskiego zaułka między dwiema odnowionymi kamienicami facet przystanął, zaczekał na mnie i zaczął mnie popychać w stronę uliczki. Usiłowałem stawiać opór, ale poddałem się, kiedy chwyt nabrał mocy zdolnej kruszyć kości.

Rzucił mną o ścianę. To normalne w takich zaułkach, pomyślałem. Bójki, napady i morderstwa. Czasami w pokojach hotelowych, ale głównie w zaułkach. Przygotowałem się na nieuniknione – szybkie, brutalne i ostateczne.

Ale cios nie padł.

– Sprawdźmy – powiedział mężczyzna. I zaczął mnie obmacywać, przesuwał rękami po moich nogach, piersiach, plecach... Szukał podsłuchu.

– Fajnie, jesteś czysty, Charles.

– Powiedziałem mu, że nie pójdę na policję.

– Aha. A on ci uwierzył.

– Naprawdę muszę już wracać – mruknąłem, słysząc panikę we własnym głosie. Spróbowałem się oderwać od ściany.

– Czekaj, jeszcze tylko parę kroków.

Kiedy po raz pierwszy usiadłem przy Lucindzie, także zrobiłem tylko parę kroków, i parę następnych, które zaprowadziły nas do hotelu Fairfax. Teraz znowu mam zrobić parę kroków, a chcę już tylko wrócić w miejsce zwane Wczoraj.

Poszedłem za facetem przez zaułek i dalej w głąb dzielnicy śmierdzącej kiszoną kapustą i pomadą do włosów. Minęliśmy salon fryzjerski specjalizujący się w dreadach i tatuażach. Facet skręcił w lewo i wszedł do częściowo odnowionej kamienicy.

Nacisnął guzik przy domofonie, a guzik zabzyczał.

– Chodź – powiedział, przytrzymując oszklone drzwi. Znowu to „chodź”. Ostatnio

wszyscy wydawali mi rozkazy, jak nowemu rekrutowi w armii wyrzutków. Świadom, że z każdym krokiem bardziej zagłębam się na terytorium wroga, szedłem, nie mogąc odmówić. W tej armii dezerterów karze się śmiercią.

Vasquez czekał w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Stał tuż za drzwiami, otworzył je i wpuścił nas do środka.

Wzdrygnąłem się, gdy wyciągnął rękę. Widziałem, jak ta ręka robi inne rzeczy – Lucindzie i mnie. Ale Vasquez nie chciał wymieniać uścisków.

– Kasa – powiedział.

Był ubrany z gangsterską elegancją – spodnie biodrówki z wyglądającym rąbkiem bokserek Calvina Kleina, rozciągnięty, zwisający z ramion zielony sweter. Po raz pierwszy mogłem mu się naprawdę przyjrzeć. I zdziwiło mnie, jak odmienny się wydawał od obrazu, który zapamiętałem, przynajmniej jeśli chodzi o ogólne wrażenie. Był mniej imponujący fizycznie, szczuplejszy i wyraźnie kościsty. Aż zacząłem się zastanawiać, ilu przestępców poszło na krzesło elektryczne z powodu pomyłki świadka – pewnie bardzo wielu. Trudno jest się dobrze komuś przyjrzeć, kiedy rozbija ci głowę albo gwałci twoją dziewczynę.

Podąłem mu dziesięć tysięcy dolarów w szeleszczących nowiutkich banknotach. Czuję się, jakbym kupował coś do domu, pralkę, duży telewizor, jakieś ogrodowe meble – ale oczywiście w tym wypadku kupowałem spokój dla domu. Pięć tysięcy za Annę i drugie pięć za Deannę. Ale bez gwarancji. Układ oparty wyłącznie na dobrej woli kogoś, kto tą wolą nie dysponuje.

– Dziewięć tysięcy dziewięćset... – Vasquez odliczał sumiennie do ostatniego banknotu, po czym podniósł głowę z tym okropnym uśmiechem, który zapamiętałem z hotelowego pokoju.

– Bym zapomniał – powiedział i walnął mnie w żołądek.

Upadłem.

Nie mogłem oddychać; zacząłem spazmatycznie łapać powietrze.

– To za to, że unieważniłeś karty, Charles. Sprawiałeś mi kłopot, bo właśnie byłem w trakcie transakcji.

Ten drugi uznał, że to śmieszne – zaczął rechotać.

Potem Vasquez dodał:

– Będziemy spadać, Charles.

Minęło pięć minut, nim zdołałem normalnie złapać oddech. I następne pięć, zanim się podniosłem, podtrzymując się ściany. Przez te pięć minut, które spędziłem na podłodze, usiłując złapać oddech, zdarzyło mi się także rozplakać, częściowo dlatego, że otrzymałem

cios w splot słoneczny, częściowo dlatego, że zdałem sobie sprawę, gdzie leżę.

Na podłodze koło pojemnika z dwudniowym chińskim żarciem, w którym zagnieździły się karaluchy.

WYKOLEJONY: 16

Następnego dnia zostałem w pracy do późna.

W domu ostatnio bywałem nerwowy i zawstydzony – niekoniecznie w tej kolejności. Za każdym razem, gdy spoglądałem na Annę, przypominałem sobie te dziesięć tysięcy, z których ją okradłem; przy każdym dzwonku telefonu przeżywałem straszne męki, dopóki ktoś go nie odebrał – a potem wyobrażałem sobie dialog, po którym Deanna wpadnie do sypialni, mojego gabinetu albo piwnicy i oskarży mnie, że zrujnowałem jej życie i odebrałem jej córcę.

Wolałem, żeby to się stało przez telefon – chyba nie potrafiłbym jej spojrzeć w oczy, kiedy recytowałaby długą listę moich przestępstw. W biurze mogłem zamknąć drzwi, zgasić światło i spojrzeć na swoje odbicie w ekranie komputera, który już na stałe zapadł w stan hibernacji – sam chciałbym się w nim znaleźć. Mogłem się zastanawiać, jak uwolnić się od tej okropności, która groziła całkowitym wykolejeniem mojego życia. W domu mogłem jedynie znosić jej konsekwencje.

Na razie usiłowałem znaleźć namiary na T&D Music House.

Chciałem do nich zadzwonić w sprawie muzyki do reklamówki aspiryny. Coś wzruszającego, ale nie cikliwego. Coś, co zdołałoby zatuszować banalne dialogi i drewnianą grę aktorów.

Ale nie mogłem znaleźć ich na żadnej liście. T&D – chyba tak powiedział Frankel? A może chodziło o inne litery? Nie, byłem pewien, że T&D.

Usłyszałem głośnie łupnięcie.

Było po ósmej, sprzątacze właśnie skończyli obchód. Myślałem, że nikt oprócz mnie nie haruje do późna.

Hałas znowu się rozległ.

Jakieś szuranie, parę chrobotów, trzask. Za ścianą – chyba w gabinecie Tima Warda, a przecież na własne oczy widziałem, jak Tim wylatuje jak oparzony, żeby zdążyć na kolejkę o 18.38 do Westchester.

I coś jeszcze.

Ktoś pogwizdywał *My Girl. Temptations*, 1965 rok.

Może to jednak jakiś sprzątacznik – podobnie jak skrzaty, pojawiali się głównie w nocy, by jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniać otoczenie. Nowa wykładzina,

odmalowane ściany, naprawiona klimatyzacja. Tak, to na pewno któryś z tych elfów.

Klik. Łup. Trzask.

Wstałem i brodząc w papierach, podszedłem do drzwi. Otworzyłem; hałas ustał. Pogwizdywanie też. Wydawało mi się, że słyszę gwałtowny wdech.

Światło paliło się w gabinecie Tima Warda – lampka na biurku, jak sądzę. Zimny żółty kolor promieniował przez mrożone szkło jak słońce przefiltrowane przez poranną mgłę. Przez chwilę nie wiedziałem, co robić. Chyba niekoniecznie trzeba interweniować, kiedy słyszy się czyjeś pogwizdywanie w środku nocy? Można, ale nie trzeba.

Mimo to otworzyłem drzwi do gabinetu Tima.

Ktoś robił coś przy komputerze Tima – Mackintoshu G4, takim samym, jak mój.

– Cześć – powiedział Winston Boyko. – Kazali mi go naprawić.

Ale nie wyglądał, jakby go naprawiał.

Wyglądał, jakby go kradł.

– Tim powiedział, że ekran miga – dodał; był zaczerwieniony, a głos mu drżał. Komputer był przytwierdzony do ściany cienkim metalowym drutem, który Winston właśnie przecinał. Domyśliłem się, bo trzymał coś, co wyglądało jak przecinak.

– Tim cię prosił, żebyś go naprawił? – spytałem.

– Aha. Jestem dobry w te klocki, nie wiedziałeś?

Ano nie.

– W firmie jest dział techniczny. Do naprawy komputerów.

– Coś takiego. To nie muszę się wysilać?

– Winston?

– Tak?

– Tim cię nie poprosił, żebyś mu naprawił komputer.

– Może nie aż tak oficjalnie.

– Wcale się nie znasz na komputerach, prawda?

– Pewnie, że się znam.

– Winston...

– Wiem, za ile można je sprzedać. – I wzruszył ramionami. No, koniec udawania, chciał powiedzieć. Chyba mogłem spróbować?

– Dlaczego kradniesz komputery? – Może w tej sytuacji to było trochę dziwne pytanie. No bo dlaczego się kradnie? Dla pieniędzy, ma się rozumieć. Ale dlaczego Winston, żywa encyklopedia wiedzy o baseballu i ulubieniec wszystkich? Dlaczego akurat on?

– Nie wiem. Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

– Jezu. Winston!

– Wiesz, ile jest wart taki G4? Powiem ci. Używany trzy tysiące. I co?

– Tak się składa, że to nielegalne.

– A, i tu mnie masz.

– I widziałem, jak kradniesz. Co mam teraz zrobić?

– Powiedzieć, żeby to było ostatni raz?

– Winston... Nie wiem, czy...

– Słuchaj, przecież nie ukradłem, zgadza się? Widzisz? Wciąż jest na miejscu. Nikomu nic się nie stało.

– To pierwszy raz?

– Jasne.

Ale teraz przypomniałem sobie, że ktoś wspominał mi o kradzieżach komputerów w firmie. To dlatego przykuli je do ścian metalowymi linkami.

– Słuchaj, byłoby mi naprawdę nie na rękę, gdybyś coś komuś powiedział.

I po raz pierwszy poczułem się trochę dziwnie. Trochę nerwowo. Oto Winston, mój kumpel i współkibic. Ale także złodziej, stojący z przecinakiem w ręku w ciemnym, zupełnie pustym biurze. Ciekawe, czy to dobra broń. Chyba dobra.

– Możemy o tym zapomnieć? Co, Charles? Obiecuję, że więcej nie będę.

– Mogę się sekundę zastanowić?

– Jasne. – I kiedy sekunda minęła, a po niej druga, dodał: – Coś ci powiem. Powiem ci, dlaczego by mnie to załatwiło. Poza tym, oczywiście, że by mnie wywalili, co nie jest jeszcze najgorszym nieszczęściem na świecie. Będę z tobą szczerzy, dobrze?

– Dobrze.

– To słuchaj. – Usiadł na krześle Tima. – No usiądź, wyglądasz, jakbyś miał wyskoczyć przez okno.

Usiadłem.

– Jest tak...

Winston siedział.

– Za nic wielkiego – zapewnił. – Trochę brałem dla zabawy. – I to wszystko?

– E, no i trochę dla zabawy sprzedawałem.

– O!

– Nie patrz tak na mnie. Nie chodziło o H. Głównie o E.

Kiedy narkotyki zaczęto nazywać samymi literami? Nie zauważyłem. Czy na każdą literę przypada jeden?

– To było w liceum – dodał Winston. Podrapał się po ramieniu nad tatuażem. – Pewnie mógłbym pracować w szkolnej kawiarni. Byłoby łatwiej.

– Na ile cię...

– Na dziesięć. Odsiedziałem pięć. Pięć i pół roku w Sing Sing. To to samo, co sto lat na wolności.

– Przykro mi.

Ale nie byłem pewien, czy chodzi mi o pobyt Winstona w więzieniu, czy o to, że go przyłapałem na gorącym uczynku, za który mógłby znowu trafić do więzienia. Może oba wyjaśnienia były prawdziwe.

– Tobie jest przykro? A wiesz, jak ja się czuję? Wyszędłem i jestem sześć lat za wszystkimi. Nie mam matury. Nie mam żadnego doświadczenia zawodowego z wyjątkiem układania książek w więziennej bibliotece, a to się chyba nie liczy. Nawet gdybym miał tę maturę, w żadnej dobrej robocie nikt by na mnie nie czekał z otwartymi ramionami. Miałem średnią trzy przecinek siedem. A teraz roznoszę pocztę.

– Wiedzą, że siedziałeś?

– Co, tutaj?

– Tak.

– Jasne. Powinieneś kiedyś wpaść do działu korespondencji. Liberał by się posikał ze szczęścia. Dwóch po odsiadce, dwóch opóźnionych, były narkoman i jeden sparaliżowany. Kontroluje jakość.

– A po więzieniu nie wróciłeś do liceum?

– Chcesz mi zafundować korepetycje?

Tu miał rację.

– Słuchaj, jestem na warunkowym. Jak się jest na warunkowym, trzeba przestrzegać trzech zasad. Nie można opuścić granic stanu bez zezwolenia. Trzeba się dwa razy w miesiącu zgłaszać do kuratora. Nie wolno się kolegować z innymi karanymi. Aha, i nie wolno kraść komputerów. Ten warunek chyba spieprzyłem. Ale jest też inna zasada, o której nic mi nie mówili. Gość na warunkowym za chińskiego boga nie zarobi na życie tyle, żeby nie umrzeć z głodu. Wiesz, ile dostaję za rozwożenie poczty?

Mogliśmy rozmawiać o sporcie do woli, ale znajdowaliśmy się po dwóch różnych stronach spektrum społeczno-ekonomicznego. To mi chciał przekazać. Byłem dyrektorem, a on facetem roznoszącym pocztę.

– Ile było tych komputerów, Winston?

– Jak powiedziałem, to pierwszy...

– ...na którym wpadłeś. Wiem. Na ilu nie wpadłeś?

Winston odchylił się i uśmiechnął. Poruszył ręką – tą z przecinakiem. Wzruszył ramionami.

– Parę.

– Dobrze. Parę. – Nagle ogarnęło mnie zmęczenie. Potarłem czoło i spojrzałem na własne buty. – Nie wiem, co robić – powiedziałem na głos. Wyraziłem tylko to, co było jasne dla nas obu.

– Na pewno wiesz. Otworzyłem przed tobą serce. Byłem głupi, przyznaję. Więcej nie będę. Słowo.

– Dobrze. Świetnie. Nikomu nie powiem. – I kiedy to mówiłem, zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że podjąłem taką decyzję. Może czułem się takim samym złodziejem jak Winston. Czy nie ukradłem pieniędzy z Funduszu Anny? W dodatku w środku nocy, gdy nikt mnie nie widział – całkiem jak Winston. Czy przestępców nie obowiązuje taka zasada: nigdy nie donosić na innego bandytę? On zrobiłby to samo dla mnie, prawda?

– Dzięki – powiedział Winston.

– Jeśli usłyszę, że zniknął kolejny komputer...

– Hej, jestem złodziejem, nie idiotą.

Zgadza się, pomyślałem. Idiotą jestem ja.

WYKOLEJONY: 17

– Tatusiu...

Słowo, którego za dnia nigdy nie dość, staje się koszmarem, gdy budzi cię w środku nocy. Jest jak alarm pożarowy w czarnej sali kinowej, w samym środku filmu. W tym wypadku wyświetlali dramat obyczajowy ze mną, Deanną i zielonooką kobietą w rolach głównych.

– Tatusiu!

Znowu to usłyszałem i tym razem obudziłem się na dobre, omal nie spadając z łóżka.

Wspomnienia takich nocy domagały się uwagi, choć starałem się je odepchnąć, skoncentrować na samym fizycznym akcie podnoszenia się z łóżka i przejścia boso przez ciemny, lodowaty korytarz.

Do pokoju Anny.

Włączyłem światło od razu przy wejściu – jedna ręka na włączniku, druga już

wyciągająca się w stronę Anny. Nawet ze zmrużonymi przed rażącym światłem oczami zobaczyłem, że Anna wygląda jakoś wyjątkowo i przerażająco dziwnie. Byłem pewien, że to wstrząs hipoglikemiczny.

Oczy wywrócone białkami, ciałem wstrząsał nieustający dreszcz. Gdy ją objąłem, czułem się, jakbym tulił przerażonego szczeniaczka, drżącego i dygoczącego. Ale jeśli była przerażona, nie mogła mi tego powiedzieć.

Kiedy na nią krzyknąłem, nie odpowiedziała. Potrząsnąłem nią i szepnąłem coś do ucha, delikatnie uderzyłem – nie zareagowała.

Nauczyłem się, co robić w takich przypadkach. Przeszedłem cały kurs, przypominano mi i ostrzegano. Tyle tylko, że nie pamiętałem z tych nauk ani słowa.

Wiedziałem, że w czerwonym jak wóz strażacki plastikowym etui spoczywa strzykawka. Wydawało mi się, że jest na dole, w kuchennej szafce. Sądziłem, że należy otworzyć etui i wyjąć strzykawkę z brązowym proszkiem, który znajdował się obok niej. I woda – trzeba dodać trochę wody.

Wszystko to przelatywało mi przez mózg jak dyslektyczne zdanie. Nie potrafiłem go dokładnie zrozumieć. Ale mniej więcej chwytałem, o co idzie, a była to świadomość straszna i bezlitosna.

Moja córka umiera.

Nagle Deanna znalazła się tuż obok.

– Strzykawka – rzuciłem, może nawet wrzasnąłem.

Ale ona już ją trzymała. Przez ułamek chwili, w środku przerażenia, przeszył mnie przyływ czystej miłości do niej, do tej kobiety, którą poślubiłem i z którą stworzyłem Annę. Miałem ochotę upaść na kolana i ją przytulić. Otworzyła etui, spokojnie wyłuskała z niego strzykawkę i w drodze do łazienki Anny przeczytała wskazówki wypisane drukowanymi literami. Tuliłem Annę, szeptałem, że wszystko będzie dobrze, Anno, tak, wszystko będzie, wszystko będzie z tobą dobrze, Anno, tak, kochanie, a z łazienki dobiegał szum wody. Potem Deanna wróciła, potrząsając strzykawką.

– Głęboko – powiedziała, wręczając mi ją. – Przez tłuszcz prosto w mięsień.

Bąłem się tej chwili – ciągle sobie wyobrażałem, jak będzie wyglądać. Kiedy po raz pierwszy szkoliliem się w sztuce podawania insuliny, wbijając cienkie, półcentymetrowe igły w tkankę tłuszczową na biodrze, ramieniu i pośladku – wspomniano mi o tym. Kiedyś nadejdzie pora, gdy będę musiał to zrobić naprawdę. Nie każdy rodzic przez to przechodzi, ale zważywszy na to, że Anna ma szczególnie ostrą postać choroby i że zapadła na nią tak młodo... Ta igła nie mierzyła pięciu centymetrów, prędzej dziesięć i była tak gruba, że

spojrzenie samo od niej uciekało. Wszystko po to, żeby czysty cukier dotarł do komórek mózgu na tyle szybko, by nie obumarły z głodu.

Teraz ta strzykawka znajdowała się w mojej dłoni, a moja dłoń dygotała tak samo jak Anna, bo to było tak, jakbym miał wbić w nią nóż, nawet jeśli był to cios ratujący życie. Zbliżyłem strzykawkę do jej ramienia, ale ponieważ oboje się trzęśliśmy, bałem się wbić igłę, bałem się, że nie trafię, stępię ją, zmarnuję płyn.

– Daj.

Deanna wyjęła mi strzykawkę z ręki.

Przystawiła ją do biodra Anny, spokojnie i pewnie, i wbiła całą igłę aż do końca. Potem powoli naciskała tłok, aż brązowy płyn zniknął.

Zadziało niemal w ułamku sekundy.

Przed chwilą moja córka była nieprzytomna. Nagle jej oczy spojrzały rozumnie, ciało się rozluźniło i osunęło na łóżko.

Zaczęła płakać.

Płakała gwałtowniej niż tego ranka, kiedy ją zdiagnozowano i powiedzieliśmy jej mniej więcej, co przygotował dla niej los. Naprawdę, o wiele gwałtowniej.

– Tatusiu... tatusiu... tatusiu...

Więc ja też się rozplakałem.

Zawiozłem ją do szpitala – na wydział pediatriczny na Long Island, tak dla pewności. Od tamtych pierwszych strasznych tygodni nigdy tu nie wróciłem, a sam szpitalny zapach cofał mnie do czasów, gdy o czwartej rano krążyłem po korytarzu, wiedząc, że najlepsze lata mojego życia przeszły do historii. Anna także to czuła; w ciągu dwudziestominutowego przejazdu do szpitala zdołała się uspokoić, ale ledwie weszliśmy do poczekalni, wtuliła się we mnie i prawie musiałem ją wnieść.

Była druga nad ranem; dostaliśmy młodego stażystę, Hindusa, przepracowanego i półprzytomnego. Przed naszym wyjazdem Deanna zadzwoniła do lekarza Anny.

– Co się stało?

– Nocna hipoglikemia – powiedziałem. – Gwałtowna.

Anna siedziała na stole, właściwie leżąc na mnie.

– Podał jej pan zastrzyk?

– Tak.

– Aha... – Badał ją, jednocześnie rozmawiając ze mną, wszystko tak, jak każdy lekarz

– serce, tętno, oczy, uszy – więc może jednak był kompetentny. – Może zmierzmy jej poziom cukru, co?

Nie wiedziałem, czy pyta mnie o zdanie, czy też jest to pytanie retoryczne.

– Zmierzyliśmy przed przyjazdem. Sto czterdzieści trzy. Nie wiem, jaki był, zanim... – Chciałem powiedzieć: zemdląca, straciła przytomność, ale nie potrafiłem wymówić tych słów w obecności Anny. Zauważyłem, że w miejscu, gdzie Deanna wbiła igłę, już zaczął się pojawiać siniak, i pomyślałem, że inni rodzice, którzy robią swoim dzieciom siniaki, trafiają do więzienia.

– Sto czterdzieści trzy, tak?

– Tak.

– Hm, zobaczmy...

Poprosił, żeby Anna wyciągnęła rękę, ale moja córka po prostu odmówiła.

– Nie – oświadczyła kategorycznie.

– Pan doktor musi ci zmierzyć poziom cukru, żebyśmy wiedzieli, czy wszystko w porządku. Robisz to cztery razy dziennie – to nic wielkiego.

Ale to było coś wielkiego. Właśnie dlatego, że robiła to cztery razy dziennie, a teraz chcieliśmy, żeby pozwoliła na piąty raz – właściwie szósty, bo zmierzyłem jej cukier przed przyjazdem do szpitala. Dlatego, że znowu znalazła się w szpitalu, gdzie po raz pierwszy usłyszała, że nie jest taka, jak inne dzieci, że jej ciało ma pewną straszną wadę, która może ją zabić. Dla lekarza to nic wielkiego, może nawet dla mnie, ale dla niej – tak.

A jednak znalazła się w szpitalu o drugiej nad ranem, ponieważ omal nie umarła, a lekarz chciał pobrać jej krew.

– Daj spokój, córeczko, bądź grzeczna... – Przypomniałem sobie te pierwsze dni w domu, kiedy musiałem ją błagać, żeby dała mi rękę, a czasem odginać ją przemocą, brutalną przemoc, a po niej ból, za każdym razem ze świadomością, że to najgorszy akt agresji.

– Ja sama – odezwała się.

Lekarz zaczął się niecierpliwić; miał za dużo pacjentów i za mało czasu.

– Dziewczynko, musimy...

– Powiedziała, że sama to zrobi – powtórzyłem i przypomniało mi się coś jeszcze. Po diagnozie Anna przez dwa tygodnie uczyła się, jak się obchodzić z tym nowym zjawiskiem nazywanym cukrzycą. Szpitalne przepisy wymagały, by pacjent przed wypisaniem samodzielnie zrobił sobie jeden zastrzyk z insuliny. A Anna, która bała się igieł tak, jak inni ludzie boją się węży, pajaków czy ciemnych piwnic, kazała mi przysiąc, że nigdy więcej nie będzie musiała tego zrobić. I powiedziałem: daję słowo. W dniu wypisania Anny ze szpitala

zjawiła się pielęgniarka, która poprosiła ją, żeby napełniła strzykawkę dwoma rodzajami insuliny i wstrzyknęła to sobie w i tak już posiniaczone ramię. Z początku oboje, Deanna i ja, nie odzywaliśmy się. Słuchaliśmy, jak pielęgniarka łagodnie, a potem nieco mniej łagodnie namawia małą pacjentkę do zrobienia tego, co ją w tak oczywisty sposób przerażało. I wreszcie, gdy milczenie jedynych sprzymierzeńców stało się aż ogłuszające, Anna spojrzała na mnie z żarliwym błaganiem w oczach. I choć wiedziałem, że prawdopodobnie samodzielne zrobienie zastrzyku wyszłoby jej na dobre, powiedziałem: nie. Ona nie musi tego robić. Dałem jej słowo, którego dotrzymałem. Jej ciało ją zdradziło, ale ojciec nie. Czułem się, jakbym dostał medal – taki, który wyjmuję się z szafki i ogląda wtedy, gdy zdradziło się wszystkich innych.

– Sama to zrobi – powtórzyłem.

– Dobrze, dobrze. Więc niech się pośpieszy.

Dałem jej nakłuwacz, który zbliżyła drżącą ręką do środkowego palca i nacisnęła jego opuszek; jaskrawy bąbelek krwi pojawił się w chwili, gdy odjęła przyrząd. Chciałem jej potrzymać glukometr, ale odebrała mi go i zdołała wszystko zrobić sama. Mała Anna, już nie taka mała, dzielna wojowniczką.

Poziom cukru był dobry – 122.

Powiedziałem stażystce, że endokrynolog mojej córki, doktor Baron, powinien przyjechać lada chwila.

Ale nie przyjechał. Rozdzwonił się pager stażysty, ten wybiegł z gabinetu jak oparzony, a kiedy wrócił, powiedział:

– Doktor Baron mówi, że pańska córka może wracać do domu.

– Nie przyjedzie?

– Nie ma takiej potrzeby. Przekazałem mu wyniki. Powiedział, że można ją odesłać do domu.

– Myślałem, że będzie chciał ją obejrzeć.

Stażysta wzruszył ramionami. Lekarze tacy już są i nie ma na to rady.

– No, świetnie – powiedziałem.

– Czy mogę z panem zamienić parę słów? – spytał.

– Oczywiście.

Poszedłem za nim na drugą stronę oddziału, w poblize Chińczyka, przyglądającego się swojej zakrwawionej ręce.

– Jak jej rok?

– Jej co?

– Jej rok?

Jej wzrok.

– Wszystko w porządku. Do czytania wkłada okulary. Przynajmniej powinna. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem ją w okularach. – Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Są pewne zmiany. Nie było pogorszenia?

– Nie wiem. Nie sędzę. – Znowu ten znany ból w żołądku, jakby zagnieździło się w nim coś, czego nie usunie się nawet chirurgicznie.

– W porządku. – Stażysta poklepał mnie po ramieniu. Przepracowany, może trochę niecierpliwy, ale jednak życzliwy.

– Jeśli powinienem coś powiedzieć doktorowi...

– Nie, nie. – Pokręcił głową. – Tylko się upewniałem.

Podpisałem parę dokumentów, wyjąłem swoją nową kartę kredytową i mogliśmy odejść.

W zimowym powietrzu nasze oddechy zmieszały się w jedną chmurkę, ciągnącą się za nami przez parking. Powinna być czarna, pomyślałem – czy nie tak przedstawia się pecha?

– Jak tam, mała – odezwałem się. – Dobrze widzisz?

– Nie, tato, ośleplam.

Poziom cukru w jej krwi skakał jak dziki, ale sarkazm był cały i zdrowy.

– Pytałem tylko, czy zauważyłaś jakąś zmianę. We wzroku.

– Wszystko w porządku.

Ale w drodze do domu tuliła się do mnie tak jak kiedyś, gdy była mała i chciała się zdrzemnąć.

– Pamiętasz tę bajkę, tato? – spytała po pewnym czasie.

– Jaką?

– Opowiadałeś mi ją, gdy byłem mała. Sam ją wymyśliłeś. O pszczołku.

– Tak. – Wymyśliłem tę bajkę w ułamku chwili, kiedy pszczoła uządliła Annę, więc powiedziałem, że po tym uządleniu owad umarł. Chciałem ją pocieszyć, ale mi się nie udało; przeraziła się, że pszczoła musi umrzeć, nawet jeśli była to pszczoła, która ją uządliła.

– Opowiedz – poprosiła.

– Nie pamiętam – skłamałem. – Może tę o koniach. Wiesz, o staruszku, który szukał przygód?

– Nie. Chcę o pszczołku.

– Kurczę, nie pamiętam, jak się zaczynała.

– Był sobie mały pszczołek, który nie wiedział, dlaczego ma żądło.

– A, tak. Rzeczywiście.

– Dalej.

Dlaczego akurat ta bajka?

– Nie wiedział, dlaczego ma żądło – zacząłem.

– Ponieważ... – ponagliła mnie.

– Ponieważ wiedział, że wszystkie pszczoły, które kogoś użądliły, umarły.

– Jego najlepszy przyjaciel... – trąciła mnie – i...

– Jego najlepszy pszczołkowy przyjaciel – poprawiłem ją – i ciocia pszczołka, i wujcio bączek, i wszyscy inni umarli, kiedy kogoś użądli.

– Więc pszczołek bardzo się martwił – powiedziała Anna cicho.

– Tak, bardzo, bo nie rozumiał, jaki w tym sens. Po co ma żądło, po co jest pszczołkiem.

– I dlatego...

– I dlatego latał tu i tam i wszystkich o to pytał. Wszystkie zwierzęta w lesie.

– W ogrodzie.

– W ogrodzie. Ale nikt nie mógł mu pomóc.

– Z wyjątkiem sowy.

– Mądrej sowy. Sowa powiedziała: „Dowiesz się, kiedy się nim posłużysz”.

– I...

– Pewnego dnia pszczołek latał po lesie – ogrodzie – i zobaczył pawia. Oczywiście nie wiedział, że to paw. Nie wiedział, co to właściwie za ptak, bo paw wyglądał zupełnie zwyczajnie. Ewidentnie.

– Kiedy byłam mała, nie mówiłeś „ewidentnie”.

– Ale już nie jesteś mała. Ewidentnie.

– Tak.

– Więc to był zwyczajny ptak. Tak mu się wydawało. Usiadł na nim i zadał mu to samo pytanie, co innym zwierzętom. Po co mi żądło?

– Po co? – spytała Anna, jakby naprawdę chciała poznać odpowiedź, jakby zapomniała i chciała znowu ją usłyszeć.

– A paw powiedział: „Bzykaj stąd”. Czym bardzo rozgniewał pszczołka.

– Który użądlił pawia – dokończyła Anna. – Wtedy paw krzyknął: au! I rozłożył ogon, puf! Jak wielki wachlarz. We wszystkich kolorach tęczy. I mały pszczołek pomyślał, że to najpiękniejsza rzecz, jaką widział w życiu. I umarł.

Kiedy skręciliśmy w Yale Road, zobaczyłem Vasqueza. Stał pod latarnią jak strażnik.

Minąłem go i omal nie wjechałem na chodnik.

– Tato! – Anna oderwała się ode mnie, zaniepokojona, może nawet przestraszona.

Jakoś udało mi się ominąć krawężnik i wrócić na pas.

– Co się stało?

– Nic. – Najbardziej nieszczerze „nic”, jakie kiedykolwiek padło z czyichś ust. A już na pewno z moich. Ale Anna była zbyt grzeczna, żeby dalej mnie wypytywać, choć chwyciłem ją za ramię i prawie powlokłem do domu.

Deanna czekała na nas. Zaparzyła kawę, zapaliła światło, włączyła telewizor w kuchni, czekając, aż jej najbliżsi wrócą bezpiecznie do domu.

Wróciliśmy.

Możliwe, że wyraz mojej twarzy przypisała wypadkom tej nocy. Co innego mogłoby wywołać taką bladłość na twarzy, skłonić mnie do nerwowego krążenia po kuchni?

– Wszystko w porządku? – spytała. Najpierw zwróciła się z tym samym pytaniem do Anny, która – znów naburmuszona jak każda normalna nastolatka – przemaszerowała koło niej i wbiegła po schodach do swojego pokoju.

– Tak – powiedziałem. – Dobrze. Poziom cukru spadł do stu dwudziestu dwóch.

– Co z nią? Przestraszyła się?

– Nie. – Ja się przestraszyłem.

Anna była dzielnym żołnierzkiem, Annie nic nie będzie. Ale był tu także Vasquez – a to już inna para kaloszy. Usiłowałem odwrócić uwagę żony od drzwi, w których w każdej chwili mógł stanąć mój prywatny szantażysta.

Vasquez znajdował się najwyżej czterdzieści metrów od mojej żony i dziecka.

Podszedłem do okna i wyjrzałem w ciemność na zewnątrz.

– Na co patrzysz? – spytała Deanna.

– Na nic. Wydawało mi się, że coś słyszałem...

Stanąła za moimi plecami. Oparła głowę o mój kark i przytuliła się; jedno z nas sądziło, że niebezpieczeństwo minęło, drugie wiedziało, że nie.

– Naprawdę wszystko z nią dobrze? – spytała.

– Co? – Ciepło jej ciała natychmiast mnie uspokoiło.

– Może powinnam z nią dzisiaj spać.

– Nie pozwoli ci.

– Wśliznę się, kiedy zaśnie.

– Myślę, że dziś wszystko będzie już w porządku. – Słowem kluczowym było oczywiście to „dziś”. Za jutro nie dałbym głowy. Naturalnie możliwe, że jeśli chodzi o nas, nic nie będzie w porządku nawet dziś.

Dlaczego Vasquez tu przyszedł? Czego chciał?

– Czym się tak martwisz? Myślałam, że to moja specjalność.

– No, wiesz... szpital i to wszystko...

– Idę spać. Przynajmniej spróbuję.

– Przyjdę później.

Ale kiedy zaczęła wchodzić po schodach, policzyłem do dziesięciu, podszedłem do kominka i wziąłem pogrzebacz. Machnąłem nim parę razy.

Otworzyłem frontowe drzwi i wyszedłem.

Od drzwi do końca podjazdu było dwadzieścia pięć kroków. Wiem, bo policzyłem. Żeby się czymś zająć, nie panikować. Oczywiście możliwe, że i tak spanikowałem. Przecież szedłem własnym podjazdem z pogrzebaczem w ręku.

Na chodniku odetchnąłem głęboko trzy razy i przekonałem się, że Vasqueza już nie ma.

Latarnia oświetlała pusty zaułek.

Czy to możliwe, że go sobie wyobraziłem? Czy zaczynam mieć zwidy?

Z całego serca chciałem w to uwierzyć – nawet pragnąłem. Ale dopiero, gdy z obowiązku wyjrzałem za róg ulicy i zawołałem Vasqueza – niezbyt głośno, choć psy zaczęły szczekać – a potem wróciłem, zajrzałem za następny róg ulicy i nadal go nie zobaczyłem, pozwoliłem sobie uwierzyć, że naprawdę mam halucynacje.

Może rzeczywiście widzę zjawy. Otarłem się dziś o śmierć – śmierć mojej córki, ale w końcu co za różnica. Przeraziłem się nie na żarty. Jeden zero dla mojego starego kumpla – strachu. Albo mojego nowego kumpla – ostatnio byliśmy nierozłączni.

O parę kroków od dębu na skraju mojej posesji zauważyłem ciemny ślad na jego kostropatym pniu. I poczułem jakiś zapach.

Kwaśny, cierpki – to samo czuć na stadionie Gigantów. Tyle litrów piwa pochłoniętych i oddanych, że stadion cuchnie jak wielki nocnik. I tak samo cuchnęło tutaj.

Pamiętka po jakimś psie? To by się zgadzało, gdyby nie prawa fizyki. Pies nie sięgnie tak wysoko – żaden pudel, żaden seter, nawet dog. Psy bardzo poważnie traktują obsikiwanie drzew. To cały rytuał oznaczania swojego terytorium.

To samo zrobił Vasquez.

Nic mi się nie przywidziało. O, nie.

Vasquez zjawił się z wizytą i zostawił swoją wizytówkę. Widzisz, przekazał mi, to moje terytorium: twój dom, twoje życie, twoja rodzina.

Teraz są moje.

WYKOLEJONY: 18

– Cześć, Charles.

Była 10.15, środa wieczorem. Siedziałem w swoim gabinecie, gdzie pełniłem straż przy telefonie. To mnie dobijało – przy każdym dzwonku podnosiłem słuchawkę i czekałem na głos, który się odezwie. Najszybsza automatyczna sekretarka na świecie – jeden dzwonek i już odbieram. Wiedziałem, że zadzwoni. Nie chciałem, żeby Deanna mnie uprzedziła.

– Dlaczego stałeś pod moim domem? – spytałem.

– To byłem ja?

– Pytam, co tam robiłeś.

– Pewnie się wybrałem na spacer.

– Czego chcesz? No?

– A ty czego chcesz?

To mnie trochę ruszyło – to odpowiadanie pytaniem na pytanie.

– Ja?

– Właśnie. Powiedz.

Hm. Przede wszystkim chciałem, żeby Vasquez przestał przychodzić pod mój dom. Następnie chciałem, żeby przestał dzwonić. Byłoby miło.

– Chcę, żebyś mi dał spokój.

– W porządku.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Że w porządku, czego nie rozumiesz? Powiedziałeś, że chcesz, żebym ci dał spokój, a ja powiedziałem: w porządku.

– Świetnie. – Jak idiota pozwoliłem, żeby do mojego głosu przedostała się jaśniejsza nutka nadziei, choć wiedziałem, wiedziałem...

– Tylko musisz mi dać trochę kasy.

Trochę kasy.

– Już ci dałem. Mówiłem...

– Wtedy to było wtedy. A teraz jest teraz.

– Nie. – Kuferek się opróżnił. Raz wziąłem pieniądze z Funduszu Anny. To się nie

powtórzy.

– Ocipiałeś?

Tak. Prawdopodobnie.

– Nie mam dla ciebie więcej pieniędzy.

– Słuchaj, Charles. Posłuchaj bardzo uważnie. Obaj wiemy, że masz pieniądze. Obaj wiemy, że mi je dasz, bo obaj wiemy, co będzie, jeśli nie dasz.

Nie, tego nie wiedziałem. Ale mogłem się domyślić.

Więc spytałem, o jakiej kwocie mówimy. Tak naprawdę mnie to nie obchodziło, bo i tak już przesadził.

A on powiedział:

– Sto patyków.

Powinienem się zdziwić, ale nie.

Spora inflacja – dziesięć tysięcy zmieniło się w sto w ułamku chwili. Ale właściwie, ile kosztuje życie? A życie trzech osób? Jakie są aktualne stawki za żonę i córkę? Za to, że będzie można spojrzeć im w oczy i nie zobaczyć obrzydzenia? Może sto tysięcy to jeszcze mało. Może to była okazja.

– Czekam – powiedział Vasquez.

Mógł sobie czekać. Na tę okazję zwyczajnie nie było mnie stać.

Zresztą, i tak by się na tym nie skończyło. Przecież na tym polega szantaż. Szantaż rządzi się własnymi niezmiennymi prawami, jak sam wszechświat i, podobnie jak on, nigdy się nie kończy. Vasquez mógł mi obiecywać, co chciał, ale wiedziałem, że kłamie. To wszystko miało się skończyć dopiero wtedy, gdy powstrzymam Vasqueza. Prosta prawda, którą zrozumiałby nawet idiota – nawet taki, który ocipiał. Problem w tym, że nie mogłem powstrzymać Vasqueza. Nie wiedziałem jak. Chyba że bym odmówił i zobaczył, co będzie.

– Nie mam – powiedziałem.

I odłożyłem słuchawkę.

Następnego ranka Winston przyniósł mi pocztę i znalazł mnie zgarbionego nad biurkiem.

– Nie żyjesz – spytał – czy tylko udajesz?

– Nie wiem. Czuję się, jakbym nie żył. To możliwe.

– To mogę sobie wziąć twój komputer?

Podniosłem głowę, a on uniósł obie ręce.

– Tylko żartowałem!

Od tamtej nocy zachowywał się dokładnie tak, jak dawny Winston. Nie snuł się pod ścianami, nie schodził nikomu z drogi, nie podlizywał się. Jeśli go przestraszyłem, trudno to było po nim poznać. Z drugiej strony, nie słyszałem ostatnio o żadnych zaginionych komputerach, więc może Winston przeżył pozytywny przełom.

– Nie, ale poważnie – odezwał się. – Coś niedobrze?

Od czego miałem zacząć? Zresztą, choć bardzo chciałem, nie mogłbym pisać ani słowa.

– Jak było? – spytałem w zamian.

– Co jak było?

– W więzieniu?

Jego twarz spochmurniała – o tak, wyraźna zmiana od czystego nieba do pełnego zachmurzenia z możliwością burzy z piorunami.

– Dlaczego pytasz?

– Nie wiem. Z ciekawości.

– Trudno opisać, jeśli tam nie byłeś – oznajmił sucho, może w nadziei, że dam mu spokój.

Ale nie dałem. I choć nie miał obowiązku mi niczego mówić, może sam sobie ten obowiązek narzucił. Bo jednak odpowiedział.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, jak było w więzieniu?

– Tak.

– Jakby... jakby się chodziło po linie. – Dał mi chwilę na przyjęcie tego prostego zdania do wiadomości. – Jakby się chodziło po linie, ale nie mogło się zejść. Trzeba się bardzo skupić, żeby nie spaść i się nie zabić. Ciągle, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, rozumiesz? Starasz się nie mieszać do niczego – to zasada numer jeden, bo jak się zaczniesz mieszać, na sto procent narobisz sobie kłopotów. Więc usiłujesz nikogo nie zauważać, chodzić ze spuszczoną głową, ale to wymaga ogromnej koncentracji. Żeby się zachowywać, jakbyś oślepl. Bo wokół ciebie dzieją się różne draństwa – najgorsze. Gwałty, bójki, morderstwa – wszystko, co lubią chłopcy z gangów. A ty usiłujesz stać się niewidzialny. Wiesz, jak to trudno?

– Wyobrażam sobie.

– Nie, nie możesz sobie tego wyobrazić. To najtrudniejsza rzecz na świecie. Niewykonalna. Prędzej czy później musisz się w coś wmieszać, bo ktoś już o to zadba.

– Ciebie też ktoś wmieszał?

– No jasne. Byłem świeżym mięsem. Nikt za mną nie stał.

– Więc cię...

– Przecwelili? Nie. Ale tylko dlatego, że zacząłem się bić z tym, co spróbował i na dwa miesiące wylądowałem w izolatce. Nie mogłem wychodzić z celi, jedynie pod prysznic. Żadnej siłowni, nic zupełnie. I fajnie, bo wiedziałem, że jak tylko wyjdę, będę miał kłopoty, bo tamten gość miał kogoś za sobą.

– Więc co zrobiłeś?

– Też się z kimś spiknąłem.

– Z kim?

– Z gangiem, a myślisz, że kto tam rządzi?

– Tak zwyczajnie?

– Nie. Najpierw musiałem sobie zasłużyć – tam nie ma nic za darmo, Charles. Zawsze jest jakaś cena.

– I jaka była?

– Cena? Cena była taka, że musiałem komuś wsadzić kosę. To jak inicjacja, tylko że trzeba wytoczyć krew z kogoś innego. W taki sposób dostajesz się do gangu. Musisz z kogoś wytoczyć krew.

– Jaki był?

– Kto?

– Ten gang.

– A, takie chłopaki. Fajne, naprawdę, polubiłbyś ich. Ale w paru sprawach mieli ustalone poglądy. Na przykład uważali, że wszyscy czarni to podludzie. I Latynosi. Żydów też nie za bardzo lubią. A poza tym są świetni.

Teraz dostrzegłem w tatuażu Winstona coś nowego. BA mogło jednak nie stanowić pamiątki po Barnes Amandzie.

– Ten tatuaż też sobie zrobiłeś w więzieniu, co?

Uśmiechnął się.

– Nic się przed tobą nie ukryje. Dumny członek Bractwa Aryjskiego. Mamy tajny uścisk dłoni i w ogóle.

Trudno go nie podziwiać, pomyślałem. Znalazł się w strasznej sytuacji i zrobił to, co musiał. Może z tego płynie jakaś nauka dla mnie.

– Do zobaczenia po południu – powiedział Winston. – Ale o więzieniu już koniec, dobra? To mi psuje humor.

WYKOLEJONY: 19

Wysiadłem na stacji Merrick i zadzwoniłem do Deanny, żeby po mnie przyjechała. Chciałem iść piechotą, ale od oceanu wiał silny wiatr i kiedy stanąłem na peronie, omal nie zdmuchnął mnie pod pociąg.

Ale Deanna spytała, czy mogę poczekać dziesięć minut. Przyszedł kominiarz, którego zamówiłem, i nie chciała go zostawiać samego z Anną.

Więc powiedziałem, że jednak się przejdę.

Boże Narodzenie sprawiło, że na ogół spokojna, dystygowana uliczka zmieniła się w kawałek Las Vegas. Migoczące światełka, plastikowe renifery z plastikowymi świętymi Mikołajami na plastikowych saniach. Tu i tam plastikowy żłóbek. Parę gwiazd betlejemskich, chwiejących się na szczycie niegdyś statecznych tuj.

Powietrze było dziwnie ciężkie, przesycone wilgocią.

I, nagle, wybawienie.

Odezwał się klakson, potem znowu.

Odwróciłem się i ujrzałem lexusa mojego sąsiada.

Podszedłem do niego od strony pasażera, podczas gdy Joe, mój sąsiad, uchylił okna.

– Wskakuj – powiedział.

Nie musiał mnie długo namawiać. Otworzyłem drzwi i zanurzyłem się w ciepło, które w jakimś sensie wydawało się pierwotne. Tak musieli się czuć jaskiniowcy, kiedy udało im się wykrzesać pierwsze płomyki ognia i wreszcie, o cudzie, przestali dygotać.

– Dzięki.

– Zimno, co? – spytał Joe, któremu nie można odmówić spostrzegawczości.

– Aha.

Joe był kręgarzem, co albo jest, albo nie jest legalnym zawodem. Jeszcze nikt mi nie wyjaśnił tego w satysfakcjonujący sposób.

– Jak córka? – spytał Joe.

– Dobrze – odparłem i pomyślałem, że mówię jak Anna. Monosylabowe odpowiedzi. –

A twoje?

Joe miał troje dzieci, w tym dziewczynkę w wieku Anny, uzdolnioną, wysportowaną i obrzydliwie zdrową.

Powiedział, że też w porządku.

– Jak tam praca?

– Świetnie. – Ludzie pytają z uprzejmości o sprawy, o których tak naprawdę nie chcą

wiedzieć. Co by było, gdybym powiedział mu prawdę? Gdybym powiedział: dobrze, że pytasz, Joe, po czym rozpocząłbym długą opowieść o Eliocie i Ellen Weischler. Pozbawili mnie zlecenia, na które pracowałem dziesięć lat, a teraz każą mi pracować nad jakąś głównianą reklamówką, która wszystkim zwisa. Przy okazji wspomniałbym też o Vasquezie i Lucindzie. Co by powiedział?

Ale ja mruknąłem tylko:

– A co u ciebie?

– Ludzie zawsze mają chore kręgosłupy.

Nawet kiedy wychodzą od ciebie. Omal tego nie powiedziałem. Ale jednak wyhamowałem.

– Planujesz coś na święta? – spytał Joe. Zatrzymaliśmy się na światłach, które zmieniały się najwolniej w całym Merrick. Na czerwonym świetle stało się tu całe wieki. Mocarstwa powstawały i upadały, prezydenci się zmieniali, a człowiek ciągle sterczał na czerwonym.

– Nie. Jak co roku pojedziemy do mamy Deanny.

– A.

Potem zrewanżowałem się tym samym pytaniem i Joe wyjawiał, że na parę dni jedzie na Florydę, po czym w samochodzie zapadła cisza – wyczerpaliśmy wszystkie tematy.

– Kurczę, ale zimno. – Joe powrócił do pierwszej uwagi.

– Przejedź na czerwonym – powiedziałem.

– Co?

– Przejedź na czerwonym. – Coś właśnie zaczęło mi świtać.

– Ale dlaczego...

Deanna prosiła, żebym zaczekał na stacji, bo przyszedł kominiarz, którego wynająłem, i nie chciała go zostawiać samego z Anną.

– Jedź, do kurwy nędzy!

Nie wynajmowałem żadnego kominiarza.

– Słuchaj, Charles, nie chcę zarobić mandatu i nie rozumiem, po co ten pośpiech...

– Jedź!

Więc pojechał. Ewidentna panika w moim głosie pchnęła go wreszcie do działania; wdepnął gaz do dechy i przejechaliśmy na czerwonym. Wpadliśmy w Kirkwood Road o dwie przecznice od naszych domów.

– Jak mi wlepią mandat, ty go zapłacisz – zagroził Joe, usiłując odzyskać resztki godności, nadszarpniętej po tym akcie ślepego posłuszeństwa. Co to ma znaczyć, żeby tak na

mnie naskoczyć! Co on się tak rządzi?

– Stań tutaj – rozkazałem.

Najwyraźniej chciał wjechać na własny podjazd, żeby musiał pójść do siebie piechotą. Nie mogłem czekać. Po raz drugi w ciągu dwóch minut Joe posłusznie zrobił to, co mu kazałem. Zatrzymał samochód przed numerem 1823, a ja wyskoczyłem.

Otworzyłem drzwi wejściowe i od razu ujrzałem Deannę opartą o balustradę schodów i tłumaczącą komuś, że Curry nie traktuje wszystkich w ten sposób, że nie każdego darzy taką sympatią.

A potem zobaczyłem człowieka, do którego się zwracała.

– Pan Ramirez powiedział, że dostaniemy zniżkę – mówiła Deanna.

Siedzieliśmy w salonie – wszyscy troje.

– Ale tylko dlatego, że polubił Curry’ego i vice versa – ciągnęła Deanna. Mówiła o cenie za oczyszczenie komina. Deanna zawsze umiała rozmawiać z fachowcami najrozmaitszych profesji; zaprzyjaźniała się z nimi i potem raczyła mnie opowieściami o ich żonach i dzieciach.

– Aha – powiedział Vasquez. – Lubię psy.

Uśmiechał się, tak samo jak wtedy, gdy opierał Lucindę o łóżko, żeby ją zgwałcić po raz ostatni.

– Pan Ramirez... – zaczęła Deanna, ale jej przerwał.

– Raul.

– Raul powiedział, że nasz komin ma pęknięty... jak to się nazywa?

– Przewód.

– Tak, pęknięty przewód.

– Aha. To stary komin – powiedział Vasquez. – Z którego roku?

– Z tysiąc dziewięćset dwunastego. Chyba.

– No właśnie. Pewnie nikt go nawet nie dotykał.

– Więc najwyższy czas.

– No właśnie.

Do tej pory jeszcze się nie odezwałem, ale czekali, aż to zrobię, w jakiś sposób odniosę się do zaistniałego problemu i wyjaśnię, co zamierzam. A ja się nie odzywałem, bo nie miałem najlepszego pojęcia, co powiedzieć.

– No tak – powiedziała Deanna. – Raul może to naprawić i oczyścić komin. Ale

wszystko zależy od ciebie.

– Chyba nie chcecie mieć pękniętego przewodu w kominie – dodał Vasquez. – To może być niebezpieczne. Dwutlenek węgla może was zabić w nocy, gdy będziecie spali, rozumie pan?

O tak, doskonale rozumiałem.

– Znałem jedną taką rodzinę, która nie naprawiła komina – dodał Vasquez. – Pewnego razu poszli spać i rano już się nie obudzili. Wszyscy umarli. Cała rodzina.

– I co powiesz? – spytała Deanna niespokojnie. – Co zamierzasz?

Anna weszła do salonu, ubrana w piżamę.

– Stolica Dakoty Północnej? – spytała mnie.

Teraz musiałem odpowiedzieć już na dwa pytania. Znałem odpowiedź tylko na jedno.

Alex, poproszę stolice stanów za sto.

– Bismarck – powiedziałem.

– Anno, to Raul – odezwała się Deanna, wzorowa gospodyni.

– Dzień dobry – powiedziała Anna i posłała mu swój najuprzejmniejszy uśmiech, ten zarezerwowany dla dalekich krewnych, starych przyjaciół rodziców i, jak widać, robotników.

– Dzień dobry – przywitał się Vasquez i zmierzwił jej włosy. Ta ręka dotknęła głowy mojego dziecka.

– Ile masz lat? – spytał.

– Trzyście.

– Ach, tak?

Nie cofnął ręki. Została na jej włosach, przez pięć, dziesięć, piętnaście sekund. Anna zaczęła się denerwować.

– Jesteś bardzo podobna do mamy – powiedział Vasquez.

– Dziękuję.

– Lubisz szkołę?

Anna skinęła głową. Moja córka, która zasadniczo starała się nikogo nie obrażać, najwyraźniej chciała uniknąć tego dotyku, ale nie miała pojęcia jak. Spojrzała na mnie błagalnie.

– Przepraszam... – odezwałem się.

– Tak? – Vasquez spojrzał mi prosto w oczy. – Pan coś powiedział?

– Idź na górę i dokończ lekcje – zwróciłem się do Anny.

– Dobrze.

I chciała to zrobić, problem w tym, że Vasquez nie cofnął ręki. Więc stała i prosiła

mnie wzrokiem o pomoc.

– Idź już, kochanie.

– Dobrze.

Ale Vasquez nadal nie cofał ręki, nadal stał i uśmiechał się do mnie, i w pokoju wreszcie zrobiło się cicho. Jedną z tych niezręcznych chwil – jak wtedy, gdy na imprezie przyjaciel domu całuje twoją żonę nieco zbyt intymnie, a ty nie wiesz, czy się przyglądać, czy wyzwąć go na pojedynek.

– Muszę odrobić lekcje – powiedziała Anna.

– Lekcje? Eee... takie ładne dziewczynki nie muszą się uczyć. Chłopcy chętnie wszystko zrobią za ciebie.

Tu powinienem wkroczyć. Tu powinienem powiedzieć: bądź tak uprzejmy, skurwielu, i zabieraj łapę z głowy mojej córki, bo ją krępujesz, skurwielu, a ona chce wracać do swojego pokoju, czy to jest dla ciebie jasne, skurwielu?

Cisza była tak przejmująca, że aż raniła uszy.

I wreszcie:

– Ona lubi odrabiać lekcje sama – odezwała się Deanna. Położyła kres sytuacji. I litościwie rozdzieliła Vasqueza i Annę, fizycznie i ostatecznie usuwając naszą córkę poza strefę niebezpieczeństwa.

Anna wyszła z salonu; po drodze obejrzała się na mnie karcąco. Jej mina mówiła: widzę, że zwróciłam się o pomoc do niewłaściwej osoby.

Usłyszałem jej szybki tupot na schodach.

I znowu cisza.

– Więc... – Deanna odchrząknęła. – Może chcesz się jeszcze zastanowić, kochanie? – Wyraźnie straciła ochotę na pogaduszki z panem kominiarzem.

– To nie potrwa długo – zapewnił Vasquez, nadal z uśmiechem. – Chyba nie chcecie narażać bezpieczeństwa rodziny, no nie?

Poczułem, że głęboko w trzewiach coś mnie pali, gorącego i jednocześnie lodowatego. Pomyślałem, że chyba zwymiotuję.

– Nie – powiedziałem. – Wkrótce się do pana odezwiemy.

– Dobrze, no to czekam.

– Tak.

– Może odprowadzisz Raula do drzwi? – zagadnęła Deanna, chcąc się go jak najszybciej pozbyć.

Więc odprowadziłem go do drzwi, gdzie Vasquez odwrócił się i wyciągnął rękę jak

każdy przyjaźnie nastawiony kominiarz.

– Wiesz, czego nauczyli nas w wojsku, Charles? – szepnął. – Zanim mnie wypieprzyli?

– Czego?

Pokazał mi.

Jedną rękę zostawił dokładnie tam, gdzie była, przyjaźnie wyciągnięta, za to drugą chwycił mnie za jądra. Zmiażdżył je.

Kolana ugięły się pode mną.

– Złap ich za jaja. Od razu oddadzą ci serce i umysł.

Usiłowałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Chciałem krzyknąć, lecz nie mogłem. Deanna stała pięć metrów dalej i kompletnie nie zdawała sobie sprawy, że wzdłuż moich nóg promieniuje przeszywający ból, od którego krzyk więźnie mi w gardle.

– Daj mi te pieniądze, Charles.

Do oczu napłynęły mi łzy.

– Nnn...

– Co? Nie słyszę...

– Nnn...

– Nigdy więcej nie odłożysz słuchawki, kiedy rozmawiamy? To świetnie. Przebaczam ci. Ale chcę tę kasę.

– Nie mogę oddychać...

– Sto tysięcy dolarów, dobrze?

– Pro...

– Co?

– Ppprosz...

– Sto tysięcy i puszcę twoje jaja.

– Prosz...

I puścił.

Przynajmniej na razie. Rozchylił palce, a ja oparłem się bezwładnie o framugę drzwi.

– Kochanie – odezwała się Deanna – mógłbyś wynieść śmieci?

WYKOLEJONY: 20

Przeglądałem kosztorys reklamówki aspiryny.

Rodzaj terapii. Jeśli przeglądam kosztorys, nie mogę sobie zadać pytania: co dalej? Jak mam przeżyć?

Dlatego się tym zająłem.

Drobiazgowo sprawdzałem wszystkie pozycje; coś tu było nie tak, ale nie wiedziałem co. O co chodzi?

Terapia była skuteczna tylko do pewnego stopnia.

W połowie szeregu liczb ujrzałem rękę Vasqueza na głowie mojej córki.

Jeśli nie dostanie stu tysięcy dolarów, wróci.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie powiedzieć Deannie.

Ale choć wmawiałem sobie, że mi wybaczy, na pewno, bo mnie kocha, i nasza miłość przetrwa ten cios, że w każdym małżeństwie są przecież dobre i złe dni i że ten konkretny zły dzień można zakwalifikować jako dzień Sądu Ostatecznego, a po zrozumiałym okresie dąsów i pokuty nastąpią nowe, lepsze – choć przekonywałem sam siebie, uzasadniałem, upewniałem i namawiałem, nie potrafiłem sobie wmówić, że zdołam wytrzymać spojrzenie Deanny choć przez minutę. To spojrzenie, które spocznie na mnie natychmiast, gdy powiem, co się stało.

Już raz widziałem to spojrzenie. Tego ranka, kiedy zdiagnozowano chorobę Anny. Spojrzenie kogoś potwornie zdradzonego. Musiałem patrzeć jej w oczy, gdy prawda powoli do niej docierała, a ona trzymała się mnie kurczowo, jak gdyby tonęła.

Chyba nie zniósłbym tego spojrzenia po raz drugi.

Więc wróciłem do kosztorysu. Przedstawiał wszystkie koszty reklamy.

Na przykład honorarium dla reżysera. Piętnaście tysięcy dolarów. Czyli przeciętna płaca dla reżysera filmów klasy B. Lepszy dostawali od dwudziestu do dwudziestu pięciu tysięcy. Następnie scenografia. Czterdzieści pięć tysięcy – całkiem sporo jak na dekoracje przedstawiające przeciętną kuchnię.

Wszystkie te tysiące dolarów przypominały mi, że sam tyle nie mam. Dlaczego właściwie przyglądam się tym liczbom? Bo coś jest z nimi nie tak. Ale co? Nie wiedziałem.

Koszta montażu. Przegrania. Korekcji barw. Lektora. I muzyki. Tak, T&D Music House, fajna nazwa. Czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Orkiestra, studio, zgranie. Wszystko w porządku.

Zadzwoniłem do Davida Frankela.

– No?

– Mówi Charles.

– Wiem. Wyświetliłeś mi się.

– Aha. Usiłowałem się dodzwonić do tego studia, ale nie mogłem znaleźć numeru.

– Jakiego studia?

– T&D Music House.

- A. Po co do nich dzwonisz?
- Po co dzwonię? Bo chcę pogadać o reklamie.
- Pogadaj ze mną. Ja jestem producentem.
- Nigdy o nich nie słyszałem.
- Nigdy?
- Nigdy.
- Właściwie po co rozmawiamy? – David westchnął. – Rozmawiałeś z Tomem?
- Tak w ogóle?
- Słuchaj, jaką chcesz muzykę? Opowiedz mi.
- Wolałbym pogadać z kompozytorem.
- Dlaczego?
- Bo chcę mu bezpośrednio przekazać moje uwagi.
- Dobra. Świetnie.
- I co dalej?
- Przekazuj te uwagi. Proszę bardzo.
- Nie znam ich numeru.

Kolejne westchnięcie, oznaczające, że David nie lubi się użerać z idiotami, zwłaszcza tak skretyniałymi.

- Oddzwonię do ciebie.

Chciałem spytać, dlaczego David musi do mnie aż oddzwaniać, skoro pytam go tylko o numer. Chciałem spytać, dlaczego traktuje mnie jak półgłówka. Chciałem mu przypomnieć, że producent ma się zajmować organizacją produkcji, a to czasem oznacza zorganizowanie czegoś tak podstawowego jak numer telefonu.

Ale David odłożył słuchawkę.

Dopiero wtedy, gdy znowu usłyszałem znajome szepty: – Co zamierzasz teraz zrobić, Charles? – zdałem sobie sprawę, że faktycznie jestem półgłówkiem. Że wykazałem się popisową tępotą.

T&D Music House.

Tom i David.

Oczywiście.

Szedłem za Winstonem na mrozie przez całą dzielnicę.

Winston palił papierosa. Oglądał wystawę zreformowanej przez Giulianiego

wypożyczalni wideo, niegdyś oklejonej reklamami filmów dla dorosłych, przedstawiającymi najrozmaitsze metody upokarzania ludzkiego ciała, obecnie zaś oklejonej reklamami filmów kung-fu, przedstawiającymi najrozmaitsze metody masakrowania ludzkiego ciała. Winston gapił się obłeśnie na dwie uczennice w minispódniczkach i wełnianych legginsach.

Nie zamierzałem go śledzić. Zamierzałem podejść do niego tuż po godzinach pracy i zaprosić na piwo. Ale jakoś nie potrafiłem się zmusić.

Co innego żartować z kimś dwa razy dziennie, pytać o leworęcznych baseballistów, wymieniać się dowcipami i wynikami meczy, a co innego z nim pić. Nie byłem pewien, czy Winston ma na to ochotę.

Ale przecież zwierzyliśmy się sobie, no nie? A przynajmniej jeden z nas to zrobił, a teraz drugi był gotów zrobić to samo. I właśnie to był ten drugi powód, który nie pozwalał mi do niego podejść i zaproponować drinka.

Winston rozcierał dłonie. Wymijał slalomem samochody na ulicy, omal nie wpadłszy pod koła taksówki prowadzonej chyba przez mordercę. Zatrzymał się przy sprzedawcy precli i spytał o cenę.

Byłem na tyle blisko, że słyszałem, co powiedział. Modliłem się, żeby się odwrócił i mnie zauważył. Jeszcze parę ulic i zamarzlłbym na śmierć.

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się misja katolicka, nad drzwiami widniał cytat z Biblii. Pamiętałem go ze szkoły niedzielnej: „O Panie, morze jest tak wielkie, a moja łódź tak mała”. Święta racja, pomyślałem.

Obejrzałem się na Winstona, ale jego już nie było. Podbiegłem do sprzedawcy precli i spytałem, w którą stronę poszedł ostatni klient.

– He? – spytał sprzedawca.

– Taki wysoki, właśnie kupił precla. W którą stronę poszedł?

– He?

To był chyba Libańczyk. Albo Irańczyk. Albo Irakijczyk. W każdym razie nie mówił po angielsku.

– Jeden dolla – powiedział.

Machnąłem ręką. Pomyślałem sobie: pogadam z Winstonem jutro. Ale jutro mogę zmienić zdanie i już nie będę chciał z nim rozmawiać.

Ktoś chwycił mnie za ramię.

Nie chcę precla, chciałem powiedzieć. Ale to nie był sprzedawca.

– Dobra, Charles – syknął Winston. – Czego za mną łazisz?

WYKOLEJONY: 21

W Wigilię się upiłem.

Wszystko dlatego, że moja teściowa zrobiła domowy ajerkoniak, w dwóch trzecich składający się z koniaku.

– Chodź do tatusia – powiedziałem do Anny, kiedy chlapnąłem sobie parę szklaneczek. Pomysł się jej nie spodobał.

– Chwiejesz się.

– Upiłeś się, Charles? – spytała Deanna.

– Ależ skąd.

Pani Williams miała pianino liczące pewnie z siedemdziesiąt lat. Deanna uczyła się na nim grać, dopóki jako dziesięciolatka nie zbuntowała się i odmówiła dalszej zabawy. Precz z *Dla Elizy!* Pani Williams nigdy jej tego do końca nie wybaczyła; za karę musiała w każdą Wigilię łomotać kolędy, które reszta musiała śpiewać. Deanna i ja nie jesteśmy zbyt religijni, ale też żadni z nas ateści. Wyłem *Cichą noc*, jakby od tego zależało moje życie, trochę wypadając z rytmu, ale to przez ajerkoniak.

– Ty się naprawdę upiłeś, tato – zauważyła Anna zgryźliwie. Lubiała śpiewać kolędy z babcią mniej więcej tak samo, jak robić sobie zastrzyki.

– Nie odzywaj się do ojca tym tonem – powiedziała Deanna, urywając w pół taktu. Deanna, moja obrończyni.

– Nie jestem pijany, drogie panie – zapewniłem. – Chcecie, żebym się przeszedł w linii prostej?

Nie chciały.

Anna parsknęła i spytała:

– Musimy śpiewać dalej te głupoty?

–”...nad Dzieciątka snem...” – zafałszowałem, wbijając wzrok w gwiazdę na szczycie choinki. Spłowiła ze starości i już nie iskrzyła się jak dawniej, kiedy podczas wspólnego śpiewania musiałem trzymać Annę na rękach. Teraz widać było, że to wcale nie gwiazda, tylko karton, obsypany starym brokatem.

– Jak miło – oznajmiła pani Williams, kiedy skończyliśmy. Nikt jej nie odpowiedział. – Prawda?

– No – przyświadczyłem. – Zaśpiewajmy coś jeszcze.

– Pogięło cię? – syknęła Anna.

– Co to znaczy?

- To znaczy: nie – wyjaśniła Deanna.
- Też mi się tak zdawało. Tylko się upewniałem.
- Nie dostaniesz więcej ajerkoniaku – powiedziała pani Williams.
- Ale ja go uwielbiam.
- Chyba za bardzo. Kto będzie prowadził?
- Ja – mruknęła Deanna.
- Kiedy wracamy do domu? – spytała Anna.

Po kolacji otworzyliśmy prezenty od pani Williams. Anna miała dostać swoje jutro rano: dwie płyty CD, w tym jedna Eminema. Dwie bluzeczki z Banana Republic. I telefon komórkowy. W obecnych czasach bez telefonu jest się ostatnim cieniem. W końcu nigdy nie wiadomo, do kogo będzie trzeba zadzwonić: do chłopaka, dziewczyny, na pogotowie.

Pani Williams dostała śliczny nowy sweter od Saksa. Podziękowała nam uprzejmie – nawet mnie, choć oczywiście nie miałem bladego pojęcia, co się znajduje w pudełku.

- Chciałbym wznieść toast.
- Zabrałam ci ajerkoniak – powiedziała Deanna.
- Wiem. Właśnie dlatego chciałem wznieść toast.
- Jezusie, Charles, co w ciebie wstąpiło?
- Wiem co – powiedziała pani Williams. – Mój ajerkoniak.
- Cholernie dobry – podliziałem się.
- Charles! – Deanna się wściekła.

Anna zaczęła chichotać.

- Jejku, tatuś powiedział „cholerny”! Dzwońcie na policję!
- O, nie – zaprotestowałem. – O, nie. Tylko nie na policję.
- Co?
- Żartowałem.

Pani Williams przyniosła kawę.

- Kto ma ochotę?
- Charles – warknęła Deanna. Ale ja nie byłem taki głupi. Zorientowałem się, że to podstęp. Chciały, żebym wytrzeźwiał.

Tymczasem Anna szeptała coś do Deanny. Miała jakieś pretensje.

- Wcale nie jestem niegrzeczna – usłyszałem.
- Osunąłem się na sofę i zacząłem przemyśliwać, czy starczy mi sił, żeby wstać i wyjść.
- Jak twój nos? – spytała mnie pani Williams.
 - Wciąż na swoim miejscu. No nie?

– Och, Charles...

Pani Williams włączyła telewizor, na ekranie zapłonął kominek. Wpatrzyłem się w płomień i poczułem, że odpływam. Było mi ciepło i miło – dopóki nie zniosło mnie na niebezpieczne wody, bo wtedy zrobiło się nieprzyjemnie. Ta lodowata ulica...

Charles, który zabalsamował się w świątecznego trupa, zaczął się na mnie drzeć, żebym o tym nie myślał.

Ale byłem bezradny.

Wtedy na ulicy miałem powiedzieć: nie chcę precla. Pamiętacie?

Chciałem czegoś innego.

Dobra, Charles, czego za mną łązisz?

Winston położył mi od niechcenia rękę na ramieniu, ale czułem jej siłę i, co więcej, wydaje mi się, że chciał, bym ją poczuł.

– Nie łążę za tobą. – Nauczyłem się kłamać na zawołanie – poza tym nie tyle za nim łążiłem, ile zmuszałem się, żeby to robić.

– Nieprawda. W Sing Sing wyrosły mi oczy z tyłu głowy, nie pamiętasz?

– Chciałem cię zaprosić na piwo. Serio.

– Po co? Wreszcie wymyśliłeś tych siedmiu graczy z nazwiskiem na jedenaście liter?

– Nad tym jeszcze pracuję. – Nie byłem pewien, jak zacząć.

– Więc dlaczego nie podejdiesz i nie spytasz? Skoro aż tak bardzo chce ci się piwa?

– Widziałem cię z daleka. Chciałem cię dogonić.

– W porządku. Chodźmy na to piwo.

I uśmiechnął się.

Poszliśmy do knajpy U O'Malleya, która wyglądała dokładnie tak, jak można się spodziewać po takiej nazwie. W głębi sali stół bilardowy, w kącie tarcza do rzucania strzałkami, a w telewizji australijski mecz piłki nożnej. Przy barze dwóch pijaczków, wydawało mi się, że to stali klienci, ponieważ jeden spał z głową na blacie, a barman go nie niepokoił. Drugi był znajomym Winstona, który powiedział do niego „Heja” i klepnął po plecach, kiedy go mijaliśmy.

– Co sobie życzysz? – spytał Winston, gdy usiedliśmy przy barze.

– Ja stawiam.

– Hej, wyświadczyłeś mi przysługę, pamiętasz? – warknął.

Tak, pamiętałem. I nawet doszedłem do wniosku, że może mi się zrewanżować.

– Jasne piwo – poprosiłem.

Winston zamówił dwa. Potem odwrócił się do mnie.

– I co, wszystko w porządku? Wyglądałeś dość kiepsko. Chodzi o córkę? Chyba jest chora, tak?

Nie wspominałem mu o Annie, ale plotki się rozchodzą.

– Nie, to nie to.

Skinął głową i zaczekał, aż barman postawi przed nami dwa piwa.

– Mam jeden problem – zacząłem. To słowo sprawiło mi pewną ulgę. Problemy dają się rozwiązywać. Jak się ma problem, trzeba znaleźć sposób, żeby go usunąć.

– Słuchaj, jeśli dręczy cię sumienie, daj sobie spokój. Słyszałeś, żeby ostatnio zniknęły jakieś komputery? Mówiłem ci, że z tym koniec, i tak jest.

– Tak, wiem.

– Więc o co chodzi?

Pociągnął długi łyk piwa. Ja swojego jeszcze nie tknąłem. Pod szklanką zrobiła się mokra plama. Błat pod nią wyglądał jak zakrwawiony.

– Zrobiłem coś głupiego – powiedziałem. – Ześwirowałem. Chodzi o kobietę.

Winston trochę się zdziwił. Rozumiałem go – pewnie się zastanawiał, dlaczego ktoś, kto nie jest jego przyjacielem, mówi mu o czymś, co można wyjawiać tylko najlepszemu przyjacielowi.

– Miałeś romans czy coś w tym stylu?

– Coś w tym stylu.

– Dobra. Ale już koniec, tak?

– Tak, koniec.

– Więc o co chodzi? Masz wyrzuty sumienia? Chcesz zrzucić ciężar z serca? Fajnie. Nie przejmuj się. Wszyscy w pracy mają romanse. Nawet ze sobą nawzajem. Jak myślisz, o czym się mówi w dziale korespondencji? O tym, kto się z kim bzyka.

Westchnąłem.

– Nie o to chodzi.

– Dobra – powtórzył. – To o co?

– Coś się wydarzyło.

– Co? Zaszła?

– Nie. Ktoś nas przyłapał.

– Co?

– W hotelu.

- Aaa – powiedział Winston. „Żona”, pomyślał.
- Zjawił się jakiś mężczyzna, który nas zaatakował.
- Co?

– Skoczył na nas, kiedy wychodziliśmy. Okradł nas, a ją... zgwałcił.

Teraz Winston słuchał mnie bardzo uważnie. Może nadal zadawał sobie pytanie, dlaczego w ogóle mu to mówię, ale przynajmniej go zainteresowałem.

– Zgwałcił ją. W hotelu?

– Tak.

– W jakim?

– Zwyczajnym. W mieście.

– O kurwa. Co dalej? Uciekł? Nie złapali go?

Nie, nie złapali. Żeby go złapać, musieliby wiedzieć, że zrobił coś, co go kwalifikuje jako obiekt do łapania.

– Nie zgłosiliśmy tego.

– Nie zgłosiliście. – Winston nabrał nieprzyjemnego nawyku powtarzania każdej mojej kwestii. Może dlatego, że trudno mu było uwierzyć w to, co mu klarowałem.

– Nie mogliśmy. Nie rozumiesz?

– Aaa – przeciągnął, wreszcie obejmując całość sytuacji. – Tak. No jasne. Więc wziął pieniądze i zniknął?

– Nie. Właśnie nie zniknął. – Wreszcie pociągnąłem łyk piwa, było mdle i ciepło. – W tym problem.

Winston znowu się zdziwił.

– Szantażuje nas – wyjaśniłem. – Tak to się chyba nazywa. Żąda pieniędzy za to, że nie powie Deannie. Mojej żonie. Oraz mężowi tamtej.

Winston westchnął i pokręcił głową. Czasem na człowieka spadają takie nieszczęścia, oznaczało to westchnienie. Cierpię wraz z tobą.

Chciałem od niego czegoś więcej niż współczucia. Chciałem, żeby coś dla mnie zrobił. A do tego trzeba więcej niż współczucia. Coś za coś, inny rodzaj szantażu.

– Więc... dałeś mu te pieniądze?

– Tak i nie.

– Tak czy nie?

– Dałem. A teraz chce więcej.

– Aha. – Winston pociągnął kolejny łyk piwa. – To chyba zwykle tak bywa. Zawsze chcą więcej, no nie?

– Nie wiem. To mój pierwszy raz.

Winston prawie się roześmiał. Opanował się w ostatniej chwili.

– Wybacz. Nie, to nie śmieszne, wiem. Tylko tak trudno to sobie wyobrazić... no, wiesz, ty i takie gównno...

Podniósł szklankę i wciągnął pianę.

– Więc... co dalej?

Otóż i pytanie za milion dolarów.

– Nie wiem – powiedziałem. – Niewiele mogę zrobić. Nie mogę mu zapłacić. Nie mam takich pieniędzy.

– Hm. Więc pozwolisz, żeby powiedział twojej żonie. – Winston pododawał do siebie różne zmienne, ale wyszedł mu zły wynik. – Jasne, niech spada. Ona cię kocha, nie? Zdradziłeś ją, no dobrze, ale kto nie zdradza? Wybaczy ci.

– Nie sądzę, Winston. Ona mi nie wybaczy. Na pewno nie. Ze względu na naszą córkę i w ogóle.

Wyjaśniłem mu do końca. Lucinda nie zgadzała się powiedzieć mężowi. A ja jestem jej coś winien.

– Cholera – mruknął. I, po długim milczeniu: – Czarna seria, co, Charles?

Pewnie mówił o tej reklamówce karty kredytowej. Taka wieść musiała dotrzeć nawet do działu korespondencji.

– Tak – powiedział cicho. – To co teraz? – Jakby zadawał to pytanie sam sobie, stawiał się na moim miejscu i zastanawiał, co on by zrobił. Możliwe, że właśnie wtedy, dokładnie w tej chwili, wreszcie zrozumiał, dlaczego go zaprosiłem, czemu szedłem za nim na mrozie przez pół miasta, żeby go zaprosić na piwo. Może właśnie dlatego powiedział sobie: gdyby padło na mnie, zabrałbym się do tego szantażysty. Zabiłbym go. Na pewno. Odrzucił tę możliwość jako alternatywę dla mnie, bo przecież nie byłem typem brutala. Nie, do czegoś takiego trzeba mieć trochę kondycji, trochę doświadczenia w tych sprawach, trochę zaprawy. Trzeba mieć krew na rękach.

Odstawił szklankę – odstawił ją w pół łyku – i spojrzał na mnie.

– O co ty mnie właściwie prosisz? – spytał. Wreszcie dodał dwa do dwóch. Wreszcie się zorientował.

– Miałem nadzieję...

– Że co?

– Że mi pomożesz.

– Miałeś nadzieję, że ci pomogę. – I proszę, znowu powtarzał po mnie, ale tym razem

nie dlatego, że nie wierzył w to, co mówiłem, ale że właśnie wierzył.

– ...Sydney Black przejmując piłkę... – W telewizorze ciągle leciał ten australijski mecz i wyraźnie osiągnął moment, w którym walczy się o życie, bo tłum ryczał.

– Słuchaj, Charles – powiedział Winston. – Lubię cię. Jesteś w porządku. Kiepska sprawa z tą twoją córką. I z tym szantażem. Naprawdę ci współczuję. Ale nie jesteś moim bratem, zgadza się? Nie jesteś nawet moim przyjacielem. Już mam przyjaciela i zrobię dla niego prawie wszystko, ale gdyby mi zaproponował to co ty, powiedziałbym mu, żeby spieprzał. Rozumiemy się?

– Pomyślałem, że mógłbyś się z nim... spotkać.

– Spotkać. Co to, kurwa, znaczy? A jak się z nim spotkam, to co mam mu powiedzieć? No co? Bądź tak miły i przestań niepokoić mojego kolegę? Przed czy po tym, jak mu skopię tyłek?

Winston nie był głupi, a choć miał w zyciorysie narkotyki, jego szare komórki były mniej więcej nietknięte.

– Dam ci pieniądze – powiedziałem.

– Dasz mi pieniądze. Jakiś ty miły. To świetnie.

– Dziesięć tysięcy dolarów. – Tę sumę wziąłem chyba z sufitu. Już zapłaciłem dziesięć tysięcy Vasquezowi. Jakoś mi się zdawało, że to dobra cena. Znowu z Funduszu Anny, ale może znajdę jakiś sposób, żeby uzupełnić straty.

– Dziesięć tysięcy. Albo co?

– Jak to? – spytałem, choć doskonale wiedziałem, o co mu chodzi. Tę część umowy usiłowałem pominąć milczeniem.

– Albo co? – powtórzył Winston. – Jeśli nie przyjmę tych dziesięciu tysięcy. A to dla mnie straszna kupa kasy, przyznaję. Ale gdybym mimo to odmówił, to co wtedy?

– Słuchaj, Winston... Proszę cię tylko...

– Prosisz mnie tylko, żebym popełnił przestępstwo. A ja się tylko zastanawiam, dlaczego uważałeś, że się zgodzę.

I kiedy mu nie odpowiedziałem, spytał:

– Jak to ujął tamten gość? Ten gwałciciel. Szantażysta.

– Co?

– Kiedy powiedział, że chce pieniędzy, pewnie dodał: zapłać, bo jak nie...? Nie tak było? Mniej więcej? Więc o to cię właśnie pytam, Charles. Co jest po „bo jak nie...”

– Nie, chyba nie zrozumiałeś...

– Zrozumiałem cię doskonale. Nie prosisz mnie o pieniądze, ty mi je dajesz, a ja to

rozumiem. Jesteś bardzo szczodry. Ale jeśli odmówię, jeśli powiem „dzięki, ale nie”, co będzie wtedy? Jaka jest moja alternatywa?

Chciał, żebym to powiedział na głos. To wszystko.

Przyłapałem cię na kradzieży i mogę na ciebie donieść. Roznoszenie poczty to żadna frajda, ale więzienie jest o wiele gorsze. Zgadza się?

Mogłem mu postawić piwo jak od dawna niewidziany kumpel, lecz w tej transakcji nie na przyjaźni się opierałem.

Nie mogłem się zmusić, żeby to powiedzieć.

Miałem nadzieję, że Winston potraktuje to jak spłatę długu – ja wybawiłem go z kłopotów, teraz on powinien się zrewanżować. Te dziesięć tysięcy dolarów mogło przeważać szalę. Ale Winston zmuszał mnie do wyartykułowania groźby, a ja poczułem, że nie mogę tego zrobić.

I pomyślałem: nie jestem Vasquezem.

– Dziesięć tysięcy dolarów, hm – odezwał się Winston. Odwrócił się w stronę biegających po boisku piłkarzy. Rzut różny dla Dover... Musnął wzrokiem śpiącego pijaka, który ocknął się na moment, po czym znowu oparł głowę na barze. Zabębnił palcami o szklankę – dzyń, dzyń, dzyń, jakby nagły powiew wiatru zakołysał dzwonekami.

A potem odwrócił się i powiedział:

– Dobra.

Tak po prostu.

– Dobra – powiedział. – Zrobię to.

WYKOLEJONY: 22

Zadzwoniłem do Toma Mooneya i powiedziałem, że chcę z nim o czymś porozmawiać.

O muzyce.

Z tego tygodnia pomiędzy Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem zostały trzy dni robocze. O tej porze roku ludzie usiłują uporządkować swoje sprawy i złożyć noworoczne postanowienia. Na przykład, że się zrzuci parę kilo. Ja też planowałem akcję odchudzającą. Miałem na karku jakieś dziewięć zbędnych kilogramów. Usiłowałem się ich pozbyć.

Tom zjawił się pięć minut przed czasem i odegrał wielką scenę zdejmowania płaszcza i zamykania drzwi.

– No – powiedział, zajmąwszy miejsce – to o czym chcesz porozmawiać?

– O udziale.

Może jednak byłem zbyt szczery, bo Mooney nagle się cofnął. Czyżby w tych sprawach obowiązywał jakiś kod, specjalny język wtajemniczonych?

– Udział – jak to? Gramy na giełdzie czy co? Wydawało mi się, że robimy reklamy.

– T&D Music House – powiedziałem. – Więc piszecie również muzykę.

– Hej, zapewniamy pełną obsługę. Niezależnie od tego, ile to kosztuje.

– No właśnie, ile to kosztuje?

– Widziałeś najnowszy wóz Roberta? – Chyba usiłował żartować, bo wyraźnie czekał, aż się roześmieję.

Dziś nie byłem w nastroju.

– Od kiedy to się ciągnie? – spytałem. – Ty i David?

– Cóż to, wezwałeś mnie na przesłuchanie? Może czegoś nie zrozumiałem, ale wydawało mi się, że chodziło o coś innego. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Oblałem się rumieńcem. Może to jednak naprawdę obcy język, albo może go znam, ale nie potrafię się nim posługiwać. Najpierw z Winstonem w barze, teraz tutaj. Wezwałem Mooneya z innego powodu, nie żeby go zawstydzić, nawet nie po to, żeby wydusić z niego wszystkie paskudne szczegóły, lecz żeby podnieść rękę i powiedzieć: wpuscicie mnie do tego układu.

Więc może jednak pora porzucić pozę autorytetu moralnego – to chciał mi powiedzieć Tom. Co więcej, miał rację.

– Dwadzieścia tysięcy – oznajmiłem.

Zdumiało mnie, że naprawdę udało mi się to powiedzieć. „Dwadzieścia tysięcy”, jak suche stwierdzenie faktu – bez jednej fałszywej nuty, bez błagalnego tonu. Dwadzieścia tysięcy – za te dziesięć, które byłem winien Winstonowi i te drugie, które już wydałem. I zastanowiłem się, czy dobrze to zrobiłem, czy może powinienem podsunąć Tomowi skrawek papieru z nagryzmołą ceną.

Ale Tom znowu się uśmiechnął – i był to uśmiech mówiący: jesteś jednym z nas, no nie?

Zrobiło mi się trochę niedobrze – ale mniej, niż się spodziewałem. Czy to tak się dzieje? Człowiek traci siebie po troszku i raptem nic mu już nie zostaje? Jest tylko ktoś, kto używa jego nazwiska, śpi z jego żoną, przytula jego dziecko, ale nie jest już nim?

– Hej – odezwał się Tom. – Przecież ci powiedziałem, że jestem świętym Mikołajem, nie?

Następnego dnia spotkałem się z Winstonem w pobliżu torów metra na zazwyczaj pustym parkingu przed Dunkin' Donuts w Queens.

To był pomysł Winstona. Chyba powinniśmy się spotykać gdzieś na uboczu, powiedział, kiedy już mnie spytał, czy wiem, jak się nazywa jedyny miotacz, który zdobył pięć Cy Young Awards.

Roger Clemens, powiedziałem.

Winston czekał na mnie w białej mazdzie z niedopasowanymi kołpakami i zbitym tylnym reflektorem. Przednia szyba była pokryta pajęczą siecią pęknięć.

Ja przyjechałem srebrnym mercedesem sedanem i czułem się z tego powodu winny. Zaparkowałem na dalekim krańcu parkingu w nadziei, że Winston mnie nie zauważy. Ale zauważył.

– Tutaj! – wrzasnął.

Podszedłem, a on otworzył drzwi od strony pasażera.

– Wskakuj, bracie.

Brat wskoczył.

– Wiesz, jaka jest moja ulubiona piosenka?

– Nie.

– *Pieniądze* Pink Floydów. A mój ulubiony piosenkarz?

Pokręciłem głową.

– Eddie Money¹.

– Tak, jest dobry – przyznałem.

– Mój ulubiony film? *Kolor pieniędzy*. Ulubiony baseballista wszech czasów – Norm Cash². Drugi ulubiony – Brad Penny³.

– Mam twoje pieniądze.

– A kto tu mówi o pieniądzach? Ja tylko rozmawiam.

Pociąg linii numer siedem przewalił się przez wiadukt, obsypując szosę deszczem iskier.

– Ale skoro już o tym wspomniałeś – dodał Winston – to gdzie je masz?

Sięgnąłem do kieszeni. Czy nie mówi się czasem, że pieniądze palą przez kieszeń? Wczoraj posłaniec z Headquarters Productions rzucił na moje biurko dużą kopertę.

– Pięć tysięcy – powiedziałem. – Druga połowa po.

¹ Money (ang.) – pieniądze (przp. tłum.).]

² Cash (ang.) – gotówka (przp. tłum.).

³ Penny (ang.) – pens (przp. tłum.).

– Widziałeś to w kinie? – spytał Winston, wciąż z uśmiechem.

– Co?

– To z drugą połową? Wziąłeś to z jakiegoś filmu czy jak?

– Myślałem, że...

– O co ci chodzi, bracie? Wydaje mi się, że kiedy zgodziłem się to zrobić – zresztą z dobroci serca, bo jesteś moim kumplem i masz kłopoty – powiedziałeś dziesięć tysięcy.

– Wiem, że jesteśmy...

– Umowa to umowa, tak?

– Rozumiem.

– Jak się umawialiśmy?

– Wydaje mi się, że połowa...

– Powiedz, jak się umawialiśmy.

– Dziesięć tysięcy.

– Dziesięć tysięcy. Właśnie. Dziesięć tysięcy za co?

– Jak to?

– Za co dajesz mi te dziesięć tysięcy? Bo mnie lubisz? Bo chcesz mi opłacić studia?

– Winston, słuchaj... – Nagle zapragnąłem być gdzie indziej.

– Charles, słuchaj: może to jakieś nieporozumienie. Chciałbym z tobą na nowo omówić warunki. Jak kogoś prosisz o coś takiego, musisz wiedzieć, jakie są warunki.

– Znam warunki.

– Tak? To mi je wymień, żeby nie było nieporozumień. Za co dajesz mi te dziesięć tysięcy?

– Daję ci dziesięć tysięcy za to, żebyś... spławił Vasqueza.

– Aha. Tak mi się właśnie wydawało. Dziesięć tysięcy za spławienie Vasqueza. – Wyjął coś z kieszeni. – A to mój argument. Jak sądzisz? Przekonujący?

– Pistolet. – Wzdrygnąłem się wewnętrznie; poczułem, że moje ciało się wycofuje.

– Hej, dobry jesteś – pochwalił Winston. – Na pewno nie robiłeś tego wcześniej?

– Winston, nie chcę...

– Co? Nie chcesz na to patrzeć? On też nie będzie chciał. A co myślałeś, że jak to załatwię? Ładnie go poproszę?

– Ja tylko... jeśli to możliwe...

– No, jasne. To tak na wypadek, gdyby nie było możliwe.

– Dobrze. Dobrze. – Przez cały czas posługiwałem się eufemizmami. „Spławić Vasqueza”. „Coś z nim zrobić”. „Zająć się nim”. I właśnie tak należy się nim zająć, dawał mi

do zrozumienia Winston. Czasami można tylko tak.

– Co, dobrze? – spytał Winston.

– Hm?

– Dobrze, Winston, oto twoje dziesięć tysięcy?

– Tak. – Podałem się.

– Świetnie. A przez chwilę wydawało mi się, że dasz mi połowę.

Wyjąłem z kieszeni kopertę i podałem mu ją.

– Za miękki jesteś, Charles. Zgodziłbym się na trzy czwarte sumy.

I kiedy przeliczył banknoty, spytał:

– Gdzie?

WYKOLEJONY: 23

Pod autostradą West Side.

W pierwszym tygodniu nowego roku.

Siedziałem obok Winstona w wynajętym metaliczno niebieskim sable'u ze skórzanymi fotelami. Winston miał zamknięte oczy.

Przez Hudson ciągnął samotny holownik, tak czarny, jakby go wcale nie było. Tylko czarna dziura w miejscu, gdzie powinna być rzeka. Było zimno, mżyło; przez otwarte okno na moją twarz padały lodowate igiełki.

Drżałem.

Usiłowałem o czymś nie myśleć. Usiłowałem zachować spokój.

Na rogu ulicy stała prostytutka. Stała tam od chwili, gdy wsiadłem do samochodu.

Patrzyłem na nią i zastanawiałem się, gdzie są jej klienci.

Dobre pytanie, bo było parę minut po dziesiątej, a ona miała na sobie tylko przezroczystą czerwoną koszulkę i lśniące czarne kozaki. Wysiadła z dżipa z rejestracją z New Jersey i czekała na jakiś inny samochód. Ale minęło dziesięć minut, a ona ciągle stała na lodowatej mżawce. Nie miała nic do roboty, więc przyglądała się niebieskiemu samochodowi, który także się nie ruszał z miejsca.

Na pewno było jej bardzo zimno. Na ramionach miała skąpą etolę ze sztucznego futra, ale poza tym nic więcej. Dużo bladego ciała, żeby klienci mogli je obejrzyć i wycenić.

Ale gdzie są jej klienci?

Agent ubezpieczeniowy z Teaneck, makler z Picataway, kierowca TIR-a?

Stałem pod autostradą na West Side, ponieważ Vasquez wyznaczył mi tu spotkanie.

Masz pieniądze? – spytał.

Miałem.

Więc spotkamy się o dziesiątej nad rzeką przy Trzydziestej Siódmej.

Dobrze.

Nikommu ani słowa, rozumiesz?

Rozumiałem (no, tylko jednej osobie).

Będziesz sam.

Dobrze. (No, może nie całkiem sam).

Jak długo czeka na klienta? – pomyślałem znowu. Ile dokładnie minęło czasu?

Wtedy ruszyła w moją stronę.

Była już na środku szosy, bliżej niż dalej, więc zrozumiałem, że już nie zawróci. Obcasy jej kozaków stuknęły głośno, a ona szła szybko do niebieskiego sable'a, który przez cały ten czas nawet nie drgnął.

– Chcesz się umówić? – spytała, zbliżywszy się do mojego okna. Widziałem gęsią skórkę na jej piersiach i nogach, ponieważ biust miała zakryty tylko do połowy, a nogi prawie całkiem odsłonięte, jeśli nie liczyć kozaczków do połowy łydki.

Nie, nie chciałem. Chciałem, żeby sobie poszła.

– Nie.

– Aha. – Twarz miała młodą, ale jakby starą, więc określenie jej wieku było praktycznie niemożliwe. Gdzieś od dwudziestu do trzydziestu pięciu lat. – Masz papierosa?

– Nie.

Ale pomiędzy Winstonem i mną leżała paczka papierosów – papierosów Winstona. Widziała je, parę nawet wypadło na siedzenie.

– A to co? – spytała.

– Chwileczkę. – Sięgnąłem po paczkę, ale kiedy ją ująłem, zabrudziłem ręce mózgiem Winstona – cała była nim umazana. Mimo to wyjąłem jednego papierosa i podałem jej przez okno.

– Dzięki – powiedziała, ale bez szczególnej wdzięczności.

Potem poprosiła o ogień.

– Nie mam.

– A on? – Miała na myśli Winstona, który nadal nie otwierał oczu.

– Nie.

– Może on chce się umówić?

– Nie wydaje mi się.

– Co z nim? Pijany?

– Tak. Słuchaj, masz już tego papierosa, więc...

– Na co mi papieros, skoro nie mam ognia? Co mam z nim zrobić, zjeść?

– Nie mamy zapalniczki, jasne?

Najpierw zobaczyłem poświatę – migoczącą kałużę czerwieni na środku ulicy – a potem zgrzyt szkła pod oponami.

Radiowóz.

– Uciekaj – powiedziałem.

– Co?

– Zostaw mnie w spokoju.

– Pieprz się. Nie będziesz mi mówić, co mam robić. Jasne?

– Tak, jasne... nie chcę się z tobą umówić, w porządku? – Usiłowałem być miły, uprzejmy, żeby sobie wreszcie poszła. Bo Winston nadal nie otwierał oczu, a radiowóz był już blisko. A prostytutka nie chciała odejść, skoro się na mnie wściekła.

– Będę robić, co mi się podoba – oznajmiła.

Radiowóz zatrzymał się tuż przy nas, okno otworzyło się powoli.

Spodziewałem się, że policjant na mnie nawrzeszczy. Może każe mi wysiąść – mnie i Winstonowi. Spodziewałem się, że policjant też wysiądzie i zaświeci latarką na przednie siedzenie, gdzie zauważy Winstona, wciąż z zamkniętymi oczami, a jeśli przyjrzy się uważniej, to dojrzy coś jeszcze. Że Winston nie ma połowy głowy.

– Cześć – odezwał się policjant.

– No cześć – odpowiedziała prostytutka. Jak starzy przyjaciele.

– Jak leci, Candy?

– A jak myślisz?

– Fajna noc, no nie?

– Jasne.

Gawędzili sobie sympatycznie, jak dobrzy znajomi.

Siedziałem i słuchałem, ale tak naprawdę ich nie słyszałem.

Wspominałem.

Kiedy przybyłem na wybrzeże, dostrzegłem Winstona w wynajętym niebieskim sable'u, tak jak się spodziewałem. Przyglądałem mu się przez dziesięć, potem piętnaście minut i dopiero wtedy zauważyłem, że ma otwarte okno. I że się nie rusza – głowa nawet mu nie drgnęła przez tyle czasu. Nie zapalił papierosa, nie odkaslnął, nie ziewnął, nie podrapał się w nos. Siedział nieruchomo jak posąg. Albo raczej obraz: mężczyzna w niebieskim samochodzie. Coś było nie tak. Na przykład, to otwarte okno – zimna mżawka wpadała do

środka. Dlaczego?

W końcu przeszedłem przez ulicę, żeby szybko do niego zajrzeć, szybko, ponieważ w każdej chwili spodziewałem się Vasqueza, a miałem tu być sam. Winston miał zamknięte oczy, jakby spał. Ale coś mi się nie wydawało, żeby oddychał. A okno nie było otwarte, tylko wybite.

Wsiadłem do samochodu i klepnałem Winstona w ramię. Zignorował mnie. A kiedy przechyliłem się, żeby spojrzeć na jego czapkę zrozumiałem, że to nie żadna czapka. To była miazga. Winston nie miał połowy głowy. Zwymiotowałem – moje wymiociny zmieszały się ze szczątkami jego głowy. I właśnie miałem uciec, kiedy przyjechał dżip, a z dżipa wysiadła prostytutka. Więc zostałem.

Widziałas, czy ktoś wysiadł z samochodu? – spytałiby ją.

A ona by zaprzeczyła.

Chyba żeby postanowiła podejść i poprosić o papierosa.

W samochodzie zaczęło śmierdzieć. Nawet przy wybitym oknie i lodowatym przeciągu.

– Uważasz na siebie, no nie? – spytał policjant.

– Przecież mnie znasz.

Na razie nikt nie raczył mnie zauważyć.

Miałem ochotę przekręcić kluczyk w stacyjce i odjechać. Tyle że na przeszkodzie stały dwa drobiazgi: po pierwsze, za kierownicą nadal siedział Winston, po drugie policjanci, którzy do tej pory wciąż mnie ignorowali, musieliby zwrócić na mnie uwagę, gdybym nagle ruszył z piskiem opon.

Aż w końcu jeden z nich spojrzał.

– E – powiedział.

– Tak?

– Zawierasz z Candy transakcję?

– Nie. Dawałem jej papierosa.

– Coś z nią nie tak?

– Co? Nie... jest piękna.

– Właśnie. Candy to cacuszko.

– Ja tylko... chciałem zapalić.

– Żonaty?

– Tak.

– Twoja kobieta wie, że się rozglądasz za dziwkami?

– Mówiłem, ja tylko...

– A twój kolega? Też żonaty?

– Nie. Kawaler. – Oraz trup.

– Obaj szukacie dziwek, a z Candy nie chcecie? Dlaczego?

– Przepraszam, to nieporozu...

– Za co przepraszasz? Ją przeproś. Odmraża tu sobie tyłek, a wy nie dajecie jej zarobić. Co jest twojemu koledze?

– Jest... – Martwy, panie władzo.

– Powinniście pokazać Candy, że ją docenicie.

– Jasne.

– Więc...?

– Och. – Sięgnąłem po portfel. Ręce trzęsły mi się tak, że nie mogłem trafić do kieszeni. Wreszcie udało mi się wydobyć zwitek banknotów o nieznanym nominale i podałem go prostytutce.

– Dzięki – powiedziała bezdźwięcznie. Wetknęła go w stanik.

– A on? – spytał policjant. – Jak się nazywasz?

Winston nie odpowiedział.

– Spytałem: jak się nazywasz?

Winston nadal nie odpowiadał.

Zobaczyłem siebie na tylnym siedzeniu radiowozu, w drodze na dołek – tak to się nazywa? Już widziałem, jak pobierają mi odciski palców i pozwalają wykonać jeden telefon. Nawet nie znam żadnego prawnika, przebiegło mi przez głowę. Wyobraziłem sobie, że widzę Deannę i Annę przez porysowane plastikowe przepierzenie i zastanawiam się, jak im to, na litość boską, wytłumaczyć.

– No, ostatni raz pytam – powiedział policjant. – Jak się nazywasz?

I wtedy...

Nagły trzask i przerywany głos wdarły się w dręczące milczenie jak grzmot w męcząco duszne popołudnie.

– ...mamy... e... dziesięć – cztery... rogu Czterdziestej Ósmej i Piątej...

I policjant przestał pytać Winstona o nazwisko. Rzucił coś Candy, jakby „złapię cię później”. A po chwili nie było już radiowozu – brrrrrum i odjechał. Na parę sekund przed odkryciem, że w samochodzie jest mężczyzna z połową głowy i drugi, siedzący spokojnie na siedzeniu zabrudzonym wymiocinami i mózgiem. Nagle, w niepojęty sposób, było po wszystkim.

A ja mogłem to wreszcie zrobić.
Mogłem zapłakać nad Winstonem.

WYKOLEJONY: 24

Przyszło mi to do głowy jakby przez przypadek. Jechałem bez celu, przez autostradę West Side i usiłowałem powstrzymać dygot.

Winston nie żyje.

Winston nie żyje i to ja go zabiłem.

Czy to nie ja zaciągnąłem go tamtego wieczoru do baru i mniej lub bardziej zmusiłem, żeby to zrobił?

Usiłowałem odgadnąć, co się właściwie stało? Vasquez powiedział, żebym przyszedł sam, ale może mi nie ufał i zjawił się wcześniej, żeby się rozejrzeć. Czy tak to wyglądało? Winston siedział w niebieskim sable'u, Vasquez nabrał podejrzeń i podszedł do niego, a Winston zaczął się zachowywać agresywnie – w końcu był w więzieniu, przyzwyczał się atakować, zanim zostanie zaatakowany. Ale nie tym razem. Tym razem skończyło się na rozwalonej głowie.

To chyba dość sensowne? Trudno mi było ocenić, czy naprawdę, bo wystraszyłem się do nieprzytomności.

Od tego smrodu prawie się udusiłem. I wtedy przypomniałem sobie inny straszny smród, który poczułem z przedniego siedzenia jadącego samochodu. Mózg czasami tak działa, gra z tobą w zgadywanki: „smród” plus „samochód” równa się...?

Wspomnienie niedzielnych popołudniowych podróży do domu ciotki Kate w południowej części New Jersey. Żeby się tam dostać, musieliśmy pojechać przez Belt Parkway do mostu Verrazano, a potem prosto przez Staten Island. Po drodze nie było nic szczególnego, tylko ogromne centrum handlowe z kinem typu multipleks, wyświetlającym siedemnaście różnych filmów jednocześnie. I raptem, na środku odludzia, ten potworny smród, który zaatakował nas przez uchylone okna, wentylatory i szyberdach. Cuchnące wyziewy śmietnika, nawozu. Ogromne kopce burej ziemi po obu stronach autostrady, a nad nimi chmary wrzeszczących mew. Rybie wnętrzności.

Zamknąłem okna, Deanna zatkała nos, Anna rozwrzeszczała się na tylnym siedzeniu. Zamknąłem wentylatory i szyberdach, ale smród pozostał. Jakby do nas przylgnął na podobieństwo brudnej szmaty i choć jechałem szybko, wciskając gaz do dechy, nie potrafiłem przed nim uciec. Nie mogłem go prześcignąć, choć pędziłem tak jakieś piętnaście minut i wjechaliśmy w okolicę sielskich podmiejskich domków.

Godzinę później, siedząc z drinkiem w ręce na werandzie cioci Kate, nadal czułem ten odór na ubraniu.

Tam właśnie jechałem.

Przez most na Manhattanie do Verazzano. O tej porze nie było dużego ruchu – i dobrze, bo Winston zaczynał się rozkładać tuż obok mnie. Co za półgłówek, krzychałem, kiedy Anna mnie czymś zdenerwowała. Teraz Winston też był półgłówkiem. Druga połowa jego głowy wałała się w kawałkach w samochodzie.

A co się stanie, gdy będę musiał zapłacić za autostradę, jeśli zbierający opłaty zajrzy do samochodu. Jeśli poczuje ten zapach. Trzeba się zajmować tylko jedną przeszkodą na raz – tak jak Edwin Moses, który kiedyś wyjaśnił, jaką zasadą kieruje się podczas skoku przez płotki: jeden płotek na raz i nigdy nie patrzeć na metę.

Metą było dla mnie pozbycie się Winstona i powrót do łóżka. I spłacenie Vasqueza – o tak, sto tysięcy wydało mi się nagle całkiem niewygórowaną ceną – może będę musiał wziąć wszystko z Funduszu Anny, ale to i tak mało, zważywszy obecną sytuację.

Kobieta w budce podśpiewywała starą piosenkę Jamesa Browna *I Feel Good*. Nie byłoby jej tak wesoło, gdyby poczuła zapach wydobywający się z samochodu. Albo rzuciła okiem na mojego towarzysza podróży i dostrzegła strzępki mózgu na jego ramionach. Miałem przygotowaną odliczoną kwotę, wyciągnąłem rękę przez okno. Kobieta wypracowała sobie pewien rytm – ręka za okno, pieniądze, reszta, do widzenia. Ale kiedy podjechałem do jej okienka z monetami w wyciągniętej ręce, poprosiła, żebym poczekał. Zaczęła przeliczać pieniądze w budce, a moje zostawiła tam, gdzie leżały – na mojej spoconej dłoni.

Omal nie oszalałem. Zacząłem się już niepokoić następnym przystankiem przy budce opłat, która znajdowała się po mojej prawej stronie, blisko trupa. Zastanawiałem się, czy ludzie zbierający opłaty za autostradę są uzbrojeni. Właściwie to i tak bez znaczenia, bo wiedziałem, że mają radiostacje. Wystarczy się połączyć z posterunkiem policji i jestem ugotowany.

Wreszcie, w połowie następnej piosenki – Stevie Wonder, około 1965 roku – wyciągnęła rękę i wzięła pieniądze.

A ja znowu mogłem oddychać – oczywiście bardzo płytko, z głową zwróconą w stronę okna, bo ten smród otaczał mnie jak gęsta chmura. Winston był drugim trupem w moim życiu. Jako czternastolatek brałem udział w nabożeństwie żałobnym z otwartą trumną – przyjaciel rodziny, którego zabrał rak – i przesiedziałem je z oczami wbitymi w buty. Tylko raz zerknąłem na tę dziwnie uszczęśliwioną twarz. Z Winstonem tak nie było. Usta miał rozchylone jakby w pół krzyku, oczy zaciśnięte. Pożegnał się z tym światem, protestując

przeciwko takiemu obrotowi sprawy.

To ja go zabiłem, pomyślałem znowu.

Dokładnie tak, jakbym sam pociągnął za spust. Zdrada, kradzież, a teraz morderstwo? Wydawało mi się, że od czasu, gdy mogłem się uważać za jednego z bezimiennych przyzwoitych ludzi, minęło strasznie dużo czasu. I trudno było skojarzyć tamtego Charlesa z obecnym – z tym, który jechał z trupem przez Staten Island w kierunku wysypiska śmieci. Trochę trudno było to przyswoić. A jednak gdybym tylko zdołał dotrzeć do wysypiska bez spotkania z policją, gdybym zdołał się pozbyć ciała Winstona i zalanego krwią samochodu, gdybym zdołał splawić Vasqueza za pomocą stu tysięcy dolarów...

Jeden płotek na raz.

Najpierw musiałem znaleźć tamto wysypisko. Chyba było już blisko, ze smrodem w samochodzie mieszał się drugi, nawet chyba gorszy.

Dotarłem do zjazdu z autostrady. Tędy mogłem dojechać do wysypiska, przynajmniej tak mi się wydawało. Znalazłem się na pustej, nieoświetlonej dwupasmówce. Kiedy skręciłem w prawo, Winston osunął się na okno.

Przez jakieś pięć minut jechałem przed siebie, nie widząc w okolicy żadnego samochodu. Podejrzywałem, że tą drogą jeździ się wyłącznie na wysypisko, a o tej porze nikt nie wywozi śmieci. Nikt oprócz mnie.

Wyteżyłem wzrok, wpatrzyłem się w ciemność, szukając bramy wjazdowej. Zwolniłem, żeby jej nie przegapić.

Jest.

Tuż przede mną, brama jak się patrzy – ogrodzenie z drutu kolczastego, dwuskrzydłowa brama, stróżówka. I pewnie bym się rozplakał z radości, zaczął wykrzykiwać podziękowania albo przynajmniej westchnął z ulgi, gdyby nie była zamknięta.

A czego się właściwie spodziewałem? Wysypisko jest własnością miasta, nie jakimś publicznym śmietnikiem, do którego każdy może przywlec zwłoki.

Wysiadłem ze śmierdzącego samochodu i przekonałem się, że na zewnątrz cuchnie jeszcze gorzej. Tak, jakby powietrze także było odpadkiem, jakby wyrzucano tu wszystkie odory Nowego Jorku. Mewy, które żywią się wszelkimi śmieciami, krzyczały o więcej. Skrzydlate szczury, czy nie tak je nazywają? Teraz zrozumiałem dlaczego.

U moich stóp usiadło całe stado – trzepotały skrzydłami i darły się na mnie, jakbym chciał je okraść z pożywienia. Jakby to mnie uważały za pożywienie. Ostre żółte dzioby celowały we mnie, aż zacząłem się zastanawiać, czy czują ode mnie krew Winstona, jak sępy, które wyczuwają z daleka trupy i umierających.

Byłem otoczony przez mewy i smród. Zacząłem krzyczeć i machać rękami w nadziei, że je wystraszę; ale jedynym przestraszonym byłem ja, mewy nawet nie drgnęły. Ze dwie zatrzepotały skrzydłami i uniosły się jakieś pięć centymetrów nad ziemię. Wróciłem do samochodu, usiadłem za kierownicą i wbiłem wzrok w zamkniętą bramę.

Wrzuciłem wsteczny i ruszyłem wzdłuż ogrodzenia, szukając jakiegokolwiek wejścia.

– No, spraw mi niespodziankę – powiedziałem na głos. Życie ostatnio robiło mi same brzydkie kawały, pomyślałem, że należy mi się jakaś rekompensata. Choćby niewielka, byle tutaj, w tym odbycie Staten Island, gdzie docierają i gniją wszystkie odpadki.

Wtedy w świetle reflektorów ujrzałem rozdarcie w ogrodzeniu. Akurat wystarczające, żeby zmieścił się jeden człowiek – nawet jeśli będzie ciągnął za sobą drugiego.

Pewnie miał matkę, pomyślałem niespodziewanie. Wyobraziłem ją sobie jako typową kobiecinę z przedmieścia. Nie wiedziałem, gdzie się urodził, więc może się myliłem, ale tak ją sobie wyobraziłem. Rozwódka, rozczarowana życiem, ale dumna ze swojego mądrego syna. Ta duma oczywiście została wystawiona na próbę, gdy Winston wdał się w narkotyki, potem w ich sprzedaż, a potem, o Boże, gdy trafił do więzienia. Ale przecież spłacił swój dług i zaczął nowe życie. Poszedł do uczciwej pracy – no tak, na razie to tylko roznoszenie korespondencji, ale zdolny człowiek zawsze da sobie radę, prawda? A Winston jest taki zdolny. Nawet się nie obejrzycie, a założy własną firmę. Na pewno! Poza tym ma dobre serce i wszyscy go lubią – naprawdę wszyscy. Zawsze pamięta o urodzinach swojej mamy, zawsze wysyła jej kartki. Nadal zachowała tę koślawą glinianą popielniczkę, którą zrobił dla niej w drugiej klasie. Postawiła ją na kominku. Matka Winstona, która w tym roku nie dostanie kartki na urodziny.

Żałowałem, że nie poznałem go bliżej. Czy naprawdę ma matkę, która co roku dostaje kartkę od niego, albo dziewczynę, która dziś będzie na niego czekać niespokojna, dlaczego nie wraca, albo brata, siostrę, ulubionego wujka... Ale ja pytałem go tylko o baseball i więzienie. Tylko tyle. I poprosiłem, żeby zrobił coś, przez co stracił życie.

Zatrzymałem samochód przed dziurą w płocie i przez jakiś czas czekałem, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu. O ile mogłem się zorientować, byłem sam, samiuteńki na wysypisku, we wszechświecie.

– Deanno – szepnąłem. Byłem jej życiowym partnerem, ale ona знаła tylko jednego Charlesa, specja od reklamy, a nie zdrajcę i mordercę.

Wysiadłem z samochodu, obszedłem go, otworzyłem drzwi i bezradnie patrzyłem, jak Winston wypada na zewnątrz. Usiłowałem myśleć „zwłoki” – że to niby cielesna powłoka, z której uleciała dusza, czyli to, co sprawiało, że Winston był Winstonem. Tak było mi łatwiej.

Podniosłem zwłoki za ręce i zacząłem je ciągnąć za sobą. Od razu pojąłem, że „martwy ciężar” nie jest banałem bez znaczenia. Martwy ciężar to obiekt, którego nie można dźwignąć z miejsca. Panika bywa siłą nie do pokonania, ale kto powiedział, że taka siła zawsze zwycięża? Ledwie udawało mi się przesunąć zwłoki o centymetr, może dwa. Miałem wrażenie, że martwe ciało prze w przeciwną stronę, szarpie mnie za ręce, napina stawy w łokciach i przegubach. W tym tempie przeciągałbym zwłoki do rana, akurat, żeby zaskoczyli mnie pracownicy wysypiska i policjanci. To on, powiedzieliby. To ten człowiek, który chciał wciągnąć trupa na teren wysypiska.

Ale powoli, z potwornym wysiłkiem, czyniłem pewne postępy. Z czasem wypracowałem stały rytm: jedno silne pociągnięcie, potem przystanek na zaczerpnięcie oddechu, potrząśnięcie rękami i następne pociągnięcie. W ten sposób dociągnąłem zwłoki do dziury w ogrodzeniu, unikając zawału. A do wschodu słońca także zostało sporo czasu – na podświetlaną tarczę mojego zegarka było wpół do pierwszej. Zegarek był marki Movado, prezent na czterdzieste drugie urodziny od Deanny, która pewnie się zastanawia, gdzie jestem. Martwi się, a robi to lepiej i z większym poświęceniem niż jakakolwiek znana mi osoba.

Wygrzebałem z kieszeni telefon komórkowy, otworzyłem go bolącymi palcami i wcisnąłem dwójkę – zakodowany numer mojego domu. Pod jedyneką znajdował się numer gabinetu doktora Barona.

– Halo? – To Deanna, no tak... zdenerwowana.

– Cześć, kochanie. Dzwonię, żebyś się nie martwiła – to potrwa dłużej niż myślałem.

– Ciągle jesteś w pracy?

– Tak.

– Czemu dzwonis z komórki?

Właśnie, czemu?

– Nie wiem. Poszedłem na kawę i nagle zdałem sobie sprawę, że jest bardzo późno.

– Aha. Ile to jeszcze potrwa?

Dobre pytanie.

– Może z godzinę... musimy pokazać rano scenopis tej głupiej reklamówki.

Aż się zdziwiłem, jak dobrze zacząłem kłamać i że prowadzę tę zupełnie normalną codzienną rozmowę – kochanie, wrócę dziś później – stojąc nad trupem z połową głowy.

– Nie zapracuj się – powiedziała Deanna.

– Dobrze. – I: – Kocham cię, Deanno.

Tym razem wymieniłem jej imię, co w skali miłosnych wyznań plasuje się niemal na szczycie, w przeciwieństwie do banału, którym zwykle kończy się rozmowę. Kocham cię –

kocham cię, bardziej intymna wersja „do widzenia”, nic ponad to. Ale nie wtedy, gdy dołączy się imię. Nie wtedy.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała i poczułem, że mówi to z głębi serca. Nie musiała nawet dodawać imienia.

Włożyłem telefon do kieszeni, przełożyłem nogę przez dziurę w siatce, pochyliłem się i zacząłem przeciągać Winstona na drugą stronę.

Smród zrobił się jeszcze gorszy – trudno to sobie wyobrazić, ale tak było. Po tamtej stronie ogrodzenia było go czuć, ale po tej miałem go w ustach, w gardle, w żołądku, który zaczął mi się burzyć.

Wciągnąłem zwłoki bardziej w głąb wysypiska, bliżej gigantycznej sterty śmieci. Teraz, gdy byłem tak blisko niej, wydała mi się podobna do tych świątyń słońca, które dawno temu widzieliśmy z Deanną w Mexico City. To były czasy przed Anną, więc rankami zwiedzaliśmy zabytki, a popołudniami wlewaliśmy w siebie litry tequili. Mnóstwo seksu, a po nim pijane drzemki.

Co dalej?

Teoretycznie można wymyślić wszystko, ale wcześniej czy później zaczną człowieka atakować konkrety. Przetransportowałem ciało na wysypisko, przewlokłem je przez ogrodzenie, przyciągnąłem do stóp świątyni boga śmieci.

Spojrzałem na moje ręce, te same, które tuliły Deannę, które robiły zastrzyki z insuliny Annie, które dawno, bardzo dawno temu poznawały każdy centymetr ciała Lucindy, które teraz musiały wykonać zupełnie inną pracę. Wygrzebać grób.

Zacząłem ryć, wygarniać śmieci, ostre kawałki blachy i kości, oślizłe ochłapy tłuszczu i błon, płaty tektury i dykty.

Jeśli do tego czasu starałem się nic nie czuć, teraz zacząłem przestrzegać tej zasady niemal z religijnym zapamiętaniem. Jakby od tego zależała moja dusza, moje życie – od uprzedmiotowienia dzisiejszych wydarzeń. To tylko smród, tylko ręce, tylko zwłoki. Skupiłem się wyłącznie na ryciu – tyle usuniętego materiału w takim tempie, rosnąca dziura w stercie.

Do tej pory byłem już cały brudny, po łokcie w odpadkach – niebezpiecznie blisko do stania się śmieciem.

Z daleka dobiegł mnie jakiś dźwięk, jak odległy grzmot, który być może się nie zbliży – a może to jednak nie był grzmot. Brzmiał nieco zbyt cienko – i o ile mogłem się zorientować, noc była pogodna. Znowu go usłyszałem – tym razem słuch miałem wytężony – i wreszcie rozpoznałem. A kiedy rozpoznałem, także zobaczyłem: czarne sterczące uszy,

krótki ogon i ostre białe zęby ociekające śliną.

Zbliżał się. Bezpański pies rodem z sennych koszmarów.

Zacząłem kopać szybciej, połamanymi paznokciami zagarniając pod siebie najgorsze świństwa, jak pies szukający kości. I z każdą minutą słyszałem prawdziwego psa coraz lepiej – wyraźne szczeknięcia i warkoty niosące się przez sterty śmierci w moim kierunku, tak jak mój zapach musiał nieść się ku niemu.

Dziura zrobiła się odpowiednio duża. Wyprostowałem się i odetchnąłem parę razy, przygotowując się do ostatniego fizycznego wysiłku tej nocy.

Przed oczami nagle przefrunęła mi chmura mew – wrzeszcząca burzowa chmura, wzburzona paniką. Po drugiej stronie wysypiska dostrzegłem dwoje płonących oczu.

Wszystkie te oklepane opisy strachu – tego pierwszego uderzenia, gdy dopiero na ciebie spada: zimny pot... dreszcz przelatujący po krzyżu... Wszystko to święta prawda. Czulem go w takich częściach ciała, o których bym nawet nie pomyślał. Na karku, na którym zjeżyły się wszystkie włoski. W piersi, która rozwibrowała się jak płyta rezonansowa.

Oczy zbliżyły się wraz z dźwiękiem, który pozbawił mnie resztek odwagi. Nie było to szczeknięcie, o nie, lecz jeden niski, przeciągły warkot. Taki warkot, który mówi: twój widok wcale mnie nie cieszy.

Zacząłem się wycofywać, bardzo powoli, po jednym malusieńkim krocisku, a pies – nie rozpoznałem jego rasy, powiedzmy, że to był pies na ludzi – zbliżał się coraz bardziej.

Wtedy odwróciłem się i uciekłem. Może nie powinienem, może mądrzej byłoby dać mu do zrozumienia, że jestem silniejszy. Nigdy nie okazuj psu strachu – zasada numer jeden, którą wpajają nam od dzieciństwa. Strach je rozjusza, budzi w nich instynkt zabijania, instynkt krwiożercy.

Ale jest coś, co budzi ten instynkt szybciej. Mięso. A ja wspaniałomyślnie zostawiłem psu mnóstwo mięsa. W osobie Winstona.

Minęło parę minut – parę minut, które wystarczyły mi na śmignięcie przez wyrwę w ogrodzeniu i dopadnięcie samochodu – zanim się zorientowałem, że pies mnie nie goni.

Wtedy dobiegł mnie ten odgłos. Odgłos rozrywanego mięsa – odgłos kłapania zębami – odgłos łapczywego posiłku.

Pies pożerał Winstona.

WYKOLEJONY: 25

Musiałem się pozbyć niebieskiego sable'a.

Wynajął go niejaki Jonathan Thomas. Jeden z czterech dokumentów, które znalazłem

w opróżnionym portfelu Winstona.

Tożsamość: najłatwiejsza rzecz do kupienia, wyjawiał mi Winston. Sam miał ich cztery. Kiedy byłem młody i naiwny, szukanie tożsamości było dla mnie rytuałem przejścia w dorosłość. Winston zwyczajnie ją kupił – albo ukradł – i jeszcze trzy zapasowe.

Na wypadek, gdyby ktoś kazał mu się kogoś pozbyć.

Teraz ja musiałem się pozbyć jego samochodu.

To mniej więcej zrobiło się samo. W drodze powrotnej przegapiłem wjazd na autostradę. Było ciemno, a ja ciągle słyszałem odgłosy pożerania – wbrew zdrowemu rozsądkowi ciągle przewijałem taśmę i słuchałem jej od początku. Kiedy słyszy się odgłos pożerania czyjegoś ciała, łatwo przegapić taki drobiazg jak znak zjazdu na autostradę. Trafiłem w te rejony Staten Island, o których istnieniu nie miałem pojęcia – pola, prawdziwe uprawne pola z najprawdziwszym silosem w oddali. Dwa kroki od miejskiego piekła.

Ale miejskie piekło nie znikło zupełnie. Minąłem potężne cmentarzysko starych samochodów. Wyglądało jak wodopój dla wraków, ponieważ wszystkie stały wokół błotnistej stawu, niektóre zanurzone w nim do połowy. Jeden wrak więcej nie robi chyba różnicy, prawda?

Ostrożnie zjechałem z drogi na wyboisty parking, doprowadziłem samochód na sam skraj wody. Jeszcze raz rozejrzałem się po jego wnętrzu, starając się nie dotykać strzępów ciała na wykładzinie i fotelach. Otworzyłem schowek na rękawiczki i znalazłem tam niespodziankę. Broń. Broń Winstona, przypomniałem sobie, której chyba nawet nie zdążył wyjąć, bo inna broń rozwalila mu głowę. Ostrożnie włożyłem ją do kieszeni. Potem wrzuciłem na luz, wysiadłem chwiejnie i wepchnąłem samochód do stawu, gdzie zatrzymał się dopiero, gdy z błota wystawała jedynie antena.

Nie jestem zbyt religijny. Nie odmawiam codziennie pacierza. Ale wtedy stałem tam przez minutę i coś szeptałem. W jego intencji.

Odwróciłem się i ruszyłem przed siebie.

Jak miałem wrócić do domu?

Mogłem wezwać pewnie pogotowie drogowe, ale wiedziałem, że prowadzą ewidencję takich wezwań. Przecież musiałem jakoś dotrzeć do miasta, gdzie Charles Schine może pojechać samochodem do domu jak każdy normalny człowiek, który został w pracy do późna.

Minąłem stację benzynową. Samotny śniady mężczyzna czytał gazetę w kiepsko oświetlonym pomieszczeniu. Obszedłem budynek, szukając łazienki. I znalazłem.

Łazienki na stacjach benzynowych w dużej mierze przypominają łazienki w Chinatown albo w Kalkucie. Tak mi się wydało. Nie znalazłem papieru toaletowego. Lustro

było pęknięte, umywalka oślizła. Musiałem się umyć. Czekala mnie podróż autobusem albo pociągiem, a cuchnąłem jak wysypisko.

W kranie była bieżąca woda. Na umywalce poniewierala się resztki mydła. Umyłem ręce, ochlapałem twarz, zdjąłem koszulę, choć było lodowato, a z ust buchały mi obłoki pary. Obmyłem pierś i pachy. Mówi się, że tak się myją kurwy. Ja ostatnio stałem się kurwą. Sprostytuowałem wszystko, w co wierzyłem.

Włożyłem koszulę, zapiąłem kurtkę. Wyszedłem i ruszyłem w dalszą drogę. Wybrałem kierunek na chybił trafił. Nie zamierzałem pytać sprzedawcy o drogę. Mógłby zapamiętać trupio bladego mężczyznę, który pojawił się bez samochodu.

Pół godziny później trafiłem na przystanek autobusowy. A gdy po następnej półgodzinie przyjechał pusty autobus, wsiadłem do niego. Miałem szczęście. Jechał do Brooklynu, gdzie wysiadłem przed stacją metra.

Wróciłem na Manhattan.

Dom.

Docenia się go po nocy spędzonej na zakopywaniu trupa. Cztery solidne ściany i czarny dach z budzącym szacunek kominem. Agent nieruchomości, który sprzedał nam ten dom, opisał go jako posiadłość w stylu kolonialnym. Brzmiało dobrze – w posiadłości w stylu kolonialnym nie może cię spotkać nic złego, prawda? Oczywiście, poza posiadłością wszystko jest możliwe.

Wysiadłem z samochodu, podszedłem do tylnych drzwi i starałem się je otworzyć i zamknąć jak najciszej, ale usłyszałem skrzypnięcie łóżka w sypialni na górze.

Przypuściłem kolejny szturm na łazienkę – tym razem o wiele ładniejszą niż poprzednia. I czystszej. Sympatyczne puszyste żółte ręczniki na wieszaku, reprodukcja Degasa – *Kapiąca się*.

Rozebrałem się do bokserów i obficie namydliłem. Udało się – pachniałem niemal znośnie. Wyjąłem broń ze spodni i schowałem do aktówki.

Dopiero potem poszedłem na górę do sypialni, manewrując w ciemnościach – potknąłem się tylko raz, o porzuconą szpilkę. Położyłem się do łóżka.

– Umyłeś się – odezwała się Deanna. Nie było to pytanie.

Oczywiście: poczuła zapach mydła, usłyszała szum wody. Dlaczego pracujący do późna mąż umył się przed przyjściem do łóżka? Zadawała sobie to pytanie, a ja miałbym problemy z udzieleniem jej odpowiedzi.

Nie bądź niemądra, mógłbym powiedzieć, nie byłem z inną kobietą (patrz Lucinda). Miałem dość roboty z grzebaniem trupa. Pewnego mordercy, mojego przyjaciela, którego wynająłem, żeby pozbył się kogoś, kto mnie szantażuje w związku z romanssem z inną kobietą. Teraz rozumiesz?

– Byłem na siłowni – powiedziałem – i nie wziąłem prysznicza.

Kiepska wymówka, jeśli się zastanowić – nie o tej porze. Dlaczego nie zczekałem z tym do rana? Ale może to jej wystarczyło.

Bo powiedziała:

– Mhm.

Jeśli coś podejrzewała, jeśli miała wiele podejrzeń co do mojego zachowania ostatnio, to pewnie była zbyt zmęczona, żeby to teraz roztrząsać. Nie o drugiej rano. Nie po długim oczekiwaniu, aż wrócę do domu.

– Dobranoc, kochanie – powiedziałem i pocałowałem ją. Mleczny, ciepły smak: dom.

Tej nocy miałem sen – i po przebudzeniu pamiętałem jeszcze niektóre szczegóły.

Odwiedziłem kogoś w szpitalu. Przyniosłem kwiaty, bombonierkę i siedziałem w poczekalni. Miałem odwiedzić kogoś chorego, ale kogo? Tożsamość pacjenta zmieniała się parę razy, jak to we śnie. Widzimy kogoś, kto zmienia się w zupełnie inną osobę. Najpierw chodziło o matkę Deanny, ale kiedy wreszcie dotarłem do sali, leżała w niej Anna, oplątana pajęczą siecią kroplówek. Prawie mnie nie poznała, a ja zacząłem krzyczeć, że chcę porozmawiać z lekarzem. Ale kiedy znowu się na nią obejrzałem, zobaczyłem na jej miejscu leżącą w śpiączce Deannę. Deanna. Tę część snu zapamiętałem bardzo wyraźnie: krzychałem na lekarza, żeby tu przyszedł, choć obok mnie stał już lekarz – doktor Baron, dokładnie mówiąc, który w kółko mi wyjaśniał, że nie mogą się teraz dodzwonić do pana doktora, teraz to niemożliwe, ale ja nie chciałem słuchać.

Wreszcie moje wrzaski odniosły jakiś skutek: faktycznie przyszedł do mnie lekarz, ale on także zmieniał tożsamość. Najpierw był to Eliot, mój szef, potem ktoś podobny do mojego sąsiada Joego i, wreszcie, wreszcie – Vasquez. Tak, obudziłem się z twarzą Vasqueza przed oczami. Na przemian był obojętny, złośliwy i szydery, lecz niezmiennie nie słuchał moich prośb. Deanna tam umierała, a on nie zrobił nic, żeby jej pomóc. Nic.

Rano, gdy Deanna poszła do pracy, a Anna do szkoły, przedsięwzięłem kolejną wyprawę na strych, kolejną potajemną wycieczkę do Funduszu Anny.

WYKOLEJONY: 26

Rano w kolejce nie zacząłem czytać gazety od sportowych stron. Nie dowiedziałem się o ostatniej oplakanej porażce Gigantów, o nowym znakomitym graczu Jankeśów ani o wiecznym poszukiwaniu rozgrywającego dla Knicksów.

Przynajmniej na jeden dzień zarzuciłem to hebrajskie czytanie gazety (od tyłu do przodu) i zabrałem się do lektury jak każdy porządny obywatel. Zatroskany zaogniającą się sytuacją na Dalekim Wschodzie, toczącymi się obradami Kongresu, najnowszymi doniesieniami policyjnymi. Na przykład na temat morderstw.

Pod prysznicem słuchałem radia i z ulgą się przekonałem, że dzienniki nie podały niczego na ten temat. Owszem, kogoś tam zamordowano – w Nowym Jorku zawsze kogoś zabijają, ale ten ktoś był kobietą, dwudziestoletnią, w dodatku Francuzką. Albo Włoszką. W każdym razie, turystką.

Miejski dział „Timesa” nie napomykał o zamordowanych mężczyznach. Podobnie lokalna gazeta z Long Island. Tylko gdyby nawet kogoś znaleźli, nie zdążyliby już tego wysłać do druku.

No ale technika poszła naprzód. Ledwie przekroczyłem próg agencji, ledwie się przywitałem z sekretarką, zacząłem surfować po Internecie.

Znalazłem internetowe wydania dwóch gazet. Ciągle nic na temat mężczyzn zamordowanych w Nowym Jorku.

Dobrze.

Przez resztę ranka usiłowałem omijać myślami kwestię zwłok Winstona. Usiłowałem omijać myślami te sto tysięcy dolarów z Funduszu Anny, który już do niej nie należał. I fakt, że się poddałem – w końcu niezaprzeczalnie się poddałem.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić – w porze obiadu złożyłem kolejną wizytę w domu maklerskim Davida Lenera na Czterdziestej Ósmej.

Tak się szczęśliwie złożyło, że musiałem iść do montażowni, by obejrzeć z Davidem Frankelem prawie ukończoną reklamówkę aspiryny. David kazał montażystce puścić ją kilka razy. Nie była to najlepsza reklamówka na świecie. Ani najgorsza. Szczególnie wiele uwagi poświęciłem muzyce, która brzmiała, jakby była zmontowana z gotowych kawałków – albo z odrzutów. Prawdopodobnie tak właśnie było – muzyka zakupiona za trzy tysiące dolarów i sprzedana za czterdzieści pięć tysięcy.

David – D z T&D Music House – był dziś przystępniejszy. Jakbym stał się w jego oczach prawdziwym partnerem. Może naprawdę nim byłem. Partnerem od przekrętów.

– Zaufaj mi – powiedział, gdy montażysta, nazywał się Chuck Willis, puścił reklamówkę kolejne trzy czy cztery razy. – Klient będzie zachwycony.

A ja pomyślałem, że przy reklamówkach, nad którymi pracowałem kiedyś, nie liczyło się, czy klient będzie zachwycony. Zawsze na pierwszym miejscu stało to, czy my jesteśmy zadowoleni. Ale trudno być zachwyconym reklamówką, na której jakaś baba dosłownie czyta właściwości aspiryny z etykiety na butelce.

Musiałem się zachowywać, jakby mnie to obchodziło. Jakby reklamówka zasługiwała na uwagę i zastanowienie. Wskazałem parę miejsc, które można było skrócić. Poprosiłem o lepsze zgranie lektora. Mógłbym również napomknąć o przesłodzonej muzyce, ale jeszcze by się ktoś zorientował, że zarobiliśmy na niej ponad czterdzieści tysięcy dolarów.

Koło drugiej wróciłem do gabinetu, a ktoś, kogo widziałem pierwszy raz w życiu, położył moją korespondencję na biurku Darlene. Oczywiście – nowy facet od poczty.

Spytałem, gdzie jest Winston. Uznałem, że tak wypada.

Facet uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Nie hyszed.

Miał problemy z wymową. Zacząłem się zastanawiać, czy to może któryś z tych niepełnosprawnych, o których opowiadał mi Winston.

– O – powiedziałem z zaskoczeniem. – Rozumiem.

Darlene uśmiechnęła się do nowego faceta od poczty i powiedziała:

– Jesteś od niego przystojniejszy.

Od Winstona.

Facet się zarumienił.

– Hekuje.

Patrzyłem za nim z mdlącym uczuciem w żołądku. Życie toczy się dalej, mówią ludzie, kiedy ktoś umiera. Toczy się dalej. A w zasięgu wzroku miałem potwierdzenie tej teorii. Winston umarł zaledwie wczoraj, a dziś jego zastępca już roznosi pocztę. Przez to wydarzenia ostatniej nocy wydały się jednocześnie pomniejszone i powiększone. A mnie zrobiło się niedobrze.

Po południu odbyłem zebranie.

Miałem nadzieję, że to mi pozwoli pomyśleć o czymś innym. Uzbroiłem się w notesy i długopisy, żeby wyglądać na choć częściowo zainteresowanego tym, co mówiłem. Wszyscy byli niezadowoleni, ponieważ chodziło o przydział do nowego zlecenia – pigułka

jednocześnie na przeziębienie i migrenę – a nie o tamto dawne, co oznaczałoby reklamówkę, którą chciałoby się robić. Byli niezadowoleni także dlatego, że czytałem przygotowane przez Mary Widger omówienie strategii. Takie omówienia są jak twierdzenie Foucaulta – złożone, hermetyczne i niezrozumiałe. W dawno minionych czasach zwyczajnie je omijałem. Pisaliśmy scenariusz reklamówki, płacząc ze śmiechu, a dopiero potem dodawaliśmy strategię.

Ale to się już skończyło. Obecnie odczytywałem słowa w rodzaju „grupa targetowa”, „cel marketingowy” i nawet się nie zarumieniłem. Monotonne mamrotanie zadziało tak, jak zawsze działa – ciągnęło się w nieskończoność, czyli do ostatniego akapitu.

Wróciłem do gabinetu i zamknąłem za sobą drzwi. Zadzwoiłem do Deanny.

– Halo – odezwałem się. Nie wiedziałem, po co właściwie do niej dzwonię, ale przypomniałem sobie, że w dawnych czasach dzwoniłem do niej codziennie z pracy – i to częściej niż raz.

Kiedy przestaliśmy ze sobą rozmawiać, tak naprawdę, kiedy zaczęliśmy mówić tylko o drobiazgach, przestałem do niej dzwonić trzy razy dziennie. Zdarzały się dni, że wcale do niej nie dzwoniłem, mijały całe dwunastogodzinne okresy, a nie zamieniliśmy ani słowa.

Teraz miałem mnóstwo rzeczy, o których mógłbym z nią mówić – rzeczy, jakich się wstydzilem, o jakich wołałbym nie myśleć.

A jednak do niej zadzwoniłem.

– Halo, halo – odparła Deanna. – Wszystko w porządku?

– Tak, świetnie.

– Na pewno?

Dopiero później zrozumiałem, że Deanna nie mówi tego ot, tak sobie. Wie, że coś jest ze mną nie tak – może nie zna szczegółów, ale wie.

Nie wykorzystałem tej sytuacji – na razie. Nie mogłem.

– Tak, wszystko świetnie. Chciałem tylko... cię usłyszeć. Pogadać, jak sobie dziś radzisz. Tylko tyle.

– Radzę sobie dobrze. Ale martwię się o ciebie.

– O mnie? U mnie wszystko świetnie, naprawdę.

– Charles...?

– Ta?

– Nie chciałabym, żebyś myślał... że...

– Tak?

– Że nie możesz ze mną porozmawiać. – W tym zdaniu było coś chwytającego za

serce. Rozmowa, najłatwiejsza sprawa między dwojgiem ludzi. Chyba że jest niemożliwa. A wtedy jest najtrudniejszą sprawą między dwojgiem ludzi. Najbardziej niewykonalną na świecie.

– Wiesz... nie, naprawdę, wszystko gra. Chciałem się tylko przywitać. I powiedzieć... że cię kocham. To wszystko.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Ja też cię kocham.

– Deanno, pamiętasz...

– Co?

– Jak udawałem magika na urodzinach Anny? Kupiłem takie gadzety w sklepie dla magików. Pamiętasz?

– Tak, pamiętam.

– Byłem dobry. Dzieciaki szalały.

– Ja też.

– A pamiętasz, jak odwróciłem cylinder? A one myślały, że je obleję mlekiem. A tu konfetti! Ależ było zdziwienie. – Z jakiegoś powodu dziś myślałem tylko o tym. Może dlatego, że potrzebowałem innej magicznej sztuczki.

– Tak, David Copperfield się nie umywa.

– Ale on ma parę milionów dolarów.

– Kogo to obchodzi?

– Na pewno nie mnie.

– Myślisz o zmianie zawodu?

– Nie wiem. Nigdy nie jest za późno, prawda?

– No. Chyba.

– Tak sobie myślałem.

– Charles?

– Tak?

– Mówiłam serio. Że możesz ze mną porozmawiać. Zgoda?

– Pewnie.

– Wrócisz o zwykłej porze?

– Tak. O zwykłej.

– To do zobaczenia.

Odłożyłem słuchawkę, myśląc, że może jednak istnieje szansa, by wszystko dobrze się skończyło. No, może nie wszystko, ale to co najważniejsze. W dodatku wiedziałem już, co

jest najważniejsze: to, co najważniejsze, patrzyło na mnie z oprawionego w ramki zdjęcia na moim biurku.

Ale właśnie wtedy wszystko zaczęło się psuć.

WYKOLEJONY: 27

Ta rozmowa odbyła się jakieś dwie minuty później.

Dwie minuty po tym, jak odłożyłem słuchawkę po rozmowie z Deanną, wpatrzyłem się w zdjęcie mojej rodziny i pomyślałem, że może jednak wszystko się ułoży.

Zadzwoił telefon. Dzwonił i dzwonił. Darlene była pewnie na korytarzu, plotkowała z innymi asystentkami – jak obecnie w związku z lepszymi pensjami każą się nazywać sekretarki.

Więc podniosłem słuchawkę.

Po tamtej stronie mogła się znajdować którakolwiek ze stu osób, jakie mogłyby mieć do mnie realny, uzasadniony interes – później je policzyłem, żeby mieć się czym zająć. W zasadzie każdy mój znajomy – była ich pewnie z setka – miał powód, by wziąć słuchawkę i zadzwonić. Nie chcę, oczywiście, powiedzieć, że nie spodziewałem się tego telefonu. Właściwie spodziewałem się tylko tego. Tyle że inaczej to sobie wyobrażałem. Myślałem, że po tamtej stronie będzie Vasquez.

Jednak go nie było.

Była ona.

Ale jej głos w dziwny sposób przeniósł mnie w inne czasy, inne miejsce. Znowu ten głosik małej dziewczynki. Niesamowicie słodki, kiedy faktycznie wychodzi z ust małej dziewczynki, upiorny, gdy nie.

– Charles, błagam cię – powiedział głosik błagalnie. – Musisz tu przyjechać. Natychmiast.

Pomyślałem kilka rzeczy jednocześnie. Na przykład: gdzie jest to „tu”. W jej domu, pracy? Gdzie? A także, co spowodowało, że znowu mówi tym głosikiem przestraszonego dziecka. Choć właściwie wiedziałem. Wiedziałem.

– Musisz... O Boże... proszę – wyszeptała.

– Gdzie jesteś? – spytałem.

Dobre, logiczne pytanie, jedno z czterech, jakich uczą dziennikarzy. Co, gdzie, kiedy, dlaczego. W moim głosie zabrzmiała taka sama panika, jak u niej. Już wtedy.

– Proszę... szedł za mną... on...

– Co się dzieje? Co się stało?

– On chce mi zrobić krzywdę. On... chce pieniędzy... chce...

Potem jej głos zamarł, a ja wyobraziłem sobie, co się dzieje. Zobaczyłem słuchawkę wyszarpiętą z dłoni Lucindy, mikrofon nakryty wielką czarną łapą. Zobaczyłem pokój, który wyglądał, jakby się znajdował w Alphabet City, nawet jeśli adres był inny. I wyobraziłem sobie jej twarz, choć usiłowałem odwrócić oczy. Nie patrz... nie patrz...

I znowu głos. Ale nie jej. Nie tym razem.

– Słuchaj, skurwielu.

Vasquez. Ale taki, do jakiego nie byłem przyzwyczajony. Przyjemny ton zniknął, podobnie jak hamowana furia. Furia wybiegła na przechadzkę i tratowała wszystkich, którzy stanęli jej na drodze.

– Myślałeś, że mnie wydymasz? Myślałeś, że mnie wystawisz? Ty gnojku jeden. Mnie? Że mi naślesz jakiegoś palanta, żeby co? Skopał mi tyłek? Odwaliło ci? Mam twoją dziewczynę, jarzysz? Mam tu twoją dupę. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Rozumiem.

– Gównu tam rozumiesz. Myślisz, że taki z ciebie gangster? Wysłałeś jakiegoś palanta, żeby mnie wydymał? Mnie?

– Słuchaj, rozumiem...

– Rozumiesz? To dymaj tu z kasą, sto tysięcy, albo zabiję tę twoją głupią sukę. To też rozumiesz, Charles?

– Tak.

Głupi by zrozumiał. Czy jest na tym świecie ktoś, kto by tego nie pojął?

I znowu wróciliśmy do „gdzie”. Spytałem o adres.

Tym razem chodziło o centrum. Hiszpański Harlem. Nigdy tam nie byłem, chyba że przejeżdżając na stadion Jankesów albo na autostradę.

Wezwałem taksówkę. Otworzyłem kluczem szufladę i wygarnąłem pieniądze do aktówki – miałem je pod ręką, przygotowane na tę chwilę. Przy pieniądzach zobaczyłem też coś innego: broń Winstona. Przez sekundę zastanawiałem się, czy jej nie zabrać, ale się rozmyśliłem. Co niby miałbym z nią zrobić?

Wychodząc, minąłem Mary Widger, która spytała, co się stało.

Wypadek w rodzinie, powiedziałem.

Po piętnastu minutach sunąłem już Trzecią Aleją. Samochód jechał zygzakiem, wciskał się na trzeciego, omijał męczącym slalomem przeszkody w postaci chłodni, furgonetek, ciężarówek, autokarów i innych taksówek.

Ale może jednak nie poruszaliśmy się tak ospale, jak mi się zdawało – może to

wszystko dlatego, że wyobrażałem sobie, co Vasquez może zrobić Lucindzie, i myślałem, że to się nie może powtórzyć, nie może się przydarzyć dwa razy tej samej osobie. Wydawało mi się, że patrzę na znak – na przykład z napisem „Ulica Sześćdziesiąta Czwarta” – a pięć minut później ciągle patrzyłem na ten sam znak.

W połowie drogi zdałem sobie sprawę, że zdrętwiała mi ręka, w której trzymałem aktówkę. Tak kurczowo ścisnąłem jej rączkę, że moje kostki nabrały koloru bielonego drewna – popielatoszarego. Przypomniała mi się zabawa, którą lubiła Anna. Kazała mi ścisnąć w dłoni jej palec dokładnie na pięć minut, ani sekundy krócej, a potem puścić. Zawsze się śmiała, kiedy usiłowałem rozprostować sparaliżowane palce. I tak się czułem teraz – lecz miałem sparaliżowaną nie tylko rękę, ale całe ciało. Tak samo czułem się na krześle w hotelu Fairfax. Kobieta, w której się zakochałem, była gwałcona jakieś półtora metra ode mnie, a ja czułem się, jakbym zapadł w trans i był zdolny do wszelkich funkcji życiowych z wyjątkiem jednej: działania.

Wreszcie zostawiliśmy za sobą bardziej eleganckie rejony East Side. Butiki, sklepy z torebkami i delikatesy ustąpiły miejsca dyskontom i knajpom, a na mijanych szyldach zaczęło się pojawiać coraz więcej hiszpańskich słów.

Blok znajdował się przy ulicy Sto Dwudziestej Pierwszej, pomiędzy Pierwszą i Drugą Aleją.

W okolicy był jeszcze kantor, fryzjer, bodega na rogu i dwa wypalone budynki. Sprzedawca prażonych orzeszków i czegoś, co wyglądało jak nieobrane kaczany kukurydzy, rozstawił stragan na środku dzielnicy. Inny mężczyzna, podejrzanie kojarzący się z handlarzem narkotykami, patrzył na pager i rozmawiał przez bardzo efektowny telefon komórkowy.

Poprosiłem, żeby kierowca na mnie zaczekał. Nie był zachwycony, ale w tym zawodzie się nie odmawia.

– Będę musiał krążyć po okolicy – uprzedził.

Nie odpowiedziałem – patrzyłem na budynek i zastanawiałem się, czy wystarczy mi odwagi, żeby do niego wejść. W drzwiach stały trzy podejrzane typy; żadnego nie miałem ochoty pytać o adres. Wyglądali jak goście, którzy występują na policyjnym okazaniu. Człowiek raczej nie wyciąga do nich ręki, chyba że trzyma w niej portfel.

A ja miałem dzisiaj coś więcej. Miałem portfel plus sto tysięcy dolarów.

Ledwie wysiadłem, usłyszałem za plecami trzask drzwiczek. Teraz liczył tylko na siebie, oznaczał ten dźwięk. I faktycznie, tylko to mi pozostało. W dodatku znalazłem się w centrum uwagi wszystkich obecnych pomiędzy Pierwszą i Drugą Aleją. Podejrzewałem, że taksówki z

dobrej korporacji są tu rzadkim widokiem, podobnie jak dobrze ubrani biali mężczyźni z kosztownymi skórzanymi aktówkami. Sprzedawca orzeszków, handlarz narkotykami i trzy ciemne typy w drzwiach budynku numer 435 przyglądali mi się jak wrogo nastawiona publiczność, którą we własnym interesie powinienem jak najszybciej rozbawić.

Nie wiedziałem, czy wbiec po schodach, jakbym się spieszył, czy wejść od niechcienia, jakbym się wcale nie spieszył, i w końcu skończyło się na czymś pomiędzy – jakbym nie wiedział, dokąd idę, ale chciał jak najszybciej dojść. Na podeście przed drzwiami, którego spękany asfalt był całkowicie pokryty napisami kredą i farbą („Sandi es mi Mami; Toni y Mali...”) powitałem trzech odźwiernych w sposób przyjęty w całym Nowym Jorku: olałem ich. Omijałem ich wzrokiem, patrzyłem na próg, kawałek zdartej opony oddzielający brązowy cement od żółtego linoleum z zawiniętymi rogami.

– E!

Któryś z tamtych trzech coś do mnie powiedział. Miałem nadzieję, że zwraca się do swoich kolegów, ale coś mi mówiło, że chodzi o mnie. Mężczyzna w za dużych żółtych trampkach i dresach – tyle zdołałem zauważyć, bo wciąż nie podnosiłem wzroku.

Spojrzałem wprost w twarz Latynosa w średnim wieku, który za ladą w McDonalddie wyglądałby dobrze, ale nie w środku hiszpańskiego Harlemu, w pobliżu stu tysięcy dolarów w mojej aktówce. W dodatku był na mnie zły, jakbym przed chwilą przyszedł ze skargą, że w Happy Meal nie ma frytek, i gdzie się podział korniszon?

Szedłem dalej, parłem naprzód jak na boisku. I już miałem minąć drzwi, które były na stałe uchylone i nie stawiały oporu.

– Dokąd?

Ten sam facet, angielski z silnym akcentem, wyraźnie obelżywie, żebym sobie nie pomyślał, że chce mi pomóc. „Dokąd się pan udaje, może mógłbym pomóc?” O, nie – w ten sposób dawał mi do zrozumienia, że nie mam prawa tu być.

– Do Vasqueza – palnąłem pierwsze, co przyszło mi do głowy – z wyjątkiem „ratunku!” Jeśli zna się nazwisko, sprawa wygląda poważniej. Może go znali, może nie chcieli mu się narażać. A może nawet nie znali – Vasquez, jaki Vasquez? – ale bali się kłusować na cudzym terenie. Samotny facet to łatwy łup, ale jeśli nie jest sam, to kto wie?

W każdym razie, podziałało.

Przeszedłem przez drzwi, a oni mnie nie zatrzymali. Oczywiście nie było windy; ruszyłem, przeskakując po dwa schodki naraz. Lucinda na mnie czekała – *on chce mi zrobić krzywdę*. Może oprócz niej czekał na mnie także mój koniec.

Schody śmierdziały ludzkimi wydzielinami: moczem, spermą i krwią. Pośliznąłem się

na skórcie od banana, która okazała się zużytym kondomem, i omal nie spadłem. Skądś dobiegł mnie upiorny śmiech, oznaczający może rozbawienie, ale niekoniecznie. Trudno było zgadnąć.

Zapukałem do drzwi. Otworzył mi Vasquez. Zdołałem powiedzieć tylko jedno słowo, a on wciągnął mnie do środka i cisnął mną o ścianę. Spoliczkował mnie. Poczulem smak krwi. Upuściłem aktówkę na podłogę i chciałem się zasłonić. Uderzył mnie jeszcze raz, i znowu.

– Przestań – krzyknąłem. – Mam! Tu... tu.

A on ciągle mnie bił otwartą ręką, która zawsze trafiała pomiędzy moje uniesione dłonie.

I raptem przestał.

Opuścił rękę, odpreżył się, odetchnął głęboko kilka razy. Potrząsnął głową, znowu wypuścił powietrze. A kiedy się odezwał, jego głos brzmiał niemal normalnie. Jakby po prostu musiał spuścić trochę napięcia, żeby znów stać się sobą.

– Cholera – powiedział, jak gdyby mu ulżyło, że ma to już za sobą. – Cholera.

I:

– Gdzie kasa?

Zbyt szybko oddychałem, jak astmatyk, któremu brak tchu. Od uderzeń paliła mnie twarz, ale zdołałem wskazać podłogę. Aktówkę. W tym mieszkaniu są co najmniej dwa pokoje, pomyślałem – chyba kogoś słyszałem za drzwiami. Jakieś ciche pociągnięcie nosem.

– Gdzie ona jest? – spytałem, ale wargi mi spuchły i nie poznawałem własnego głosu.

Vasquez nie zwrócił na mnie uwagi. Otworzył aktówkę, wytrząsnął z niej pieniądze i patrzył, jak paczki studolarówek rozsypują się po podłodze.

– Grzeczny chłopczyk – powiedział łaskawie.

Zza drzwi sąsiedniego pokoju dobiegły wyraźniejsze odgłosy. Mieszkanie – na tyle, na ile je widziałem – było prawie nieumeblowane. Na ścianach koloru żółtka widniały smugi brudu i ślady po gaszonych papierosach.

– Chcę ją zobaczyć – powiedziałem.

– A patrz – pozwolił.

Zajrzałem za uchylone drzwi, prowadzące w głąb mieszkania. W pomieszczeniu panował mrok, zasłony były zaciągnięte, ale widziałem krzesło pod ścianą, widziałem, kto siedzi na tym krześle.

– W porządku? – spytałem.

Nie odpowiedziała.

Siedzi bardzo nieruchomo, pomyślałem. Jak dziecko w kościelnej ławce, któremu starsi ciągle powtarzali, żeby się nie wierciło. Nie wyglądała na pobitą, ale miała na sobie tylko halkę.

Dlaczego siedzi w samej halce?

Słyszałem, jak w sąsiednim pokoju Vasquez liczy:

– Sześćdziesiąt sześć tysięcy sto, sześćdziesiąt sześć tysięcy dwieście...

– Dałem mu pieniądze – powiedziałem.

Może nie dość szybko. Przedtem powiedziałem: przykro mi, nie mam takiej sumy, i Winston zginął, a Lucinda znalazła się tutaj w samej bieliźnie. Chciałem, żeby się poruszyła, odezwała, przestała pociągać nosem – żeby zrozumiała, że choćby się z nią stało nie wiadomo co, choćbym ją zawiódł nie wiadomo ile razy, już widać światełko w tunelu. Chciałem, żeby razem ze mną przekroczyła linię mety i nie oglądała się za siebie.

A ona się nie ruszała. Nie reagowała.

Pomyślałem: teraz muszę coś zrobić. Zabrałem pieniądze Anny, doprowadziłem do śmierci Winstona i porwania Lucindy. Wszystko to zrobiłem, żeby dochować tajemnicy, a nawet jeśli Lucinda pragnęła dochowania tej tajemnicy, ja musiałem coś zrobić.

Vasquez wszedł i powiedział:

– Jest wszystko.

Chciałem stamtąd wyjść i iść prosto na policję. To zaszło za daleko. Tak właśnie powinienem zrobić. Ale choć powtarzałem sobie głośno i wyraźnie, jak mam postąpić, choć przygotowywałem się na nieprzyjemny – no dobra, straszny – obowiązek, wciąż słyszałem szept tego drugiego Charlesa. Tego, który mi mówił, że meta jest już w zasięgu wzroku. Tego, który powtarzał, że co się stało, to się nie odstanie, a wkrótce się z tego wydostaniemy.

– No, dobra – oznajmił Vasquez. – Dobrze się spisałeś. To na razie.

Chciał, żebym wyszedł, a może sam chciał wyjść.

– Zabieram ją – powiedziałem.

– Dobra. Na co mi twoja suka?

Lucinda nadal się nie odzywała. Nie powiedziała ani słowa.

– Od tej pory lepiej nie wychodź z domu. Zostań na Long Island. – Trzymał moją aktówkę. – Wyświadczyć mi przysługę, nie rozrabiaj już jak przedtem. I tak mnie nie znajdziesz, kapujesz? Przeprowadzam się.

I wyszedł.

Stałem, słuchając jego oddalających się kroków, aż zupełnie zaciichły.

Przeprowadza się.

Z jakiegoś powodu mu uwierzyłem, choć może tylko dlatego, że chciałem. Ale może nawet Vasquez wiedział, że z jednego ciała da się wycisnąć tylko określoną ilość krwi.

– Myślałam, że tym razem mnie zabije – wyszeptała powoli Lucinda. Wpatrywała się w jakiś punkt nad moją głową. Nawet w tych ciemnościach widziałem, że drży. Na wewnętrznej stronie uda miała krew. – Przystawił mi pistolet do głowy, powiedział, żebym się modliła i pociągnął za spust. A potem mnie odwrócił.

– Zabieram cię do szpitala. Później pójdę na policję.

– Wyjdź stąd, Charles.

– Tego mu nie daruję. Nie może ci tego robić. To zaszło za daleko. Rozumiesz?

– Charles, wyjdź stąd.

– Proszę cię... musimy to zgłosić i...

– Wyjdź! – Tym razem krzyknęła.

Więc wyszedłem. Uciekłem. Po schodach, przed dom, do czekającego samochodu, przez cały czas czując tylko jedno, bardzo wyraźnie i ze świadomością winy.

Ulęgę.

WYKOLEJONY: 28

Wierzyłem przez jakieś dwa tygodnie.

Wierzyłem, że prawdopodobnie najgorsze mam już za sobą. Że przeszedłem próbę, może nawet ciężką – nowoczesny Hiob, można powiedzieć – ale najprawdopodobniej wszystko się ułoży.

Owszem, ostatnio trudno mi było patrzeć Annie w oczy, wiedząc, że pieniądze, które w pocie czoła dla niej zbierałem, znikły bezpowrotnie. Że starannie budowane barykady przeciwko zbliżającemu się wrogowi są zrujnowane.

Trudno było mi patrzeć także na Deannę, która mi ufała, być może jednemu człowiekowi na świecie. Co zrobiłem z tym zaufaniem?

Oczywiście najgorsze było myślenie o ludziach, na których nie mogłem patrzeć. Na przykład o Lucindzie, którą zawiodłem nie raz, ale dwa razy. I o Winstonie. Którego zawiodłem raz, a dobrze. Ich zjawy domagały się mojej uwagi, jak dzieci, które żądają, żeby się nimi zająć. Patrz na mnie... patrz. Usiłowałem z nimi walczyć, wciskałem Winstona tam, gdzie nie powinienem się na niego natknąć. A jednak ciągle się natykałem. Kiedy brałem do ręki zwykłą kopertę albo czytałem artykuł o zimowych rozgrywkach baseballowych, Winston mówił mi „dzień dobry”. Widziałem go leżącego tak, jak go zostawiłem. Zamykałem oczy, ale obraz nie znikał. Jak stop-klatka, która przywarła do wewnętrznej strony powiek.

Mimo to byłem pełen nadziei.

Liczyłem na dwie rzeczy. Że Vasquez mówił prawdę. Zrozumiał, iż wydusił ze mnie wszystko i rzeczywiście już się nie pojawi. I naprawdę się przeprowadził.

I że zdołam uzupełnić Fundusz Anny. Dzięki potajemnym i niezmordowanym przekrętom pod auspicjami T&D Musie House zdołam przywrócić go do dawnej postaci. Że zdążę, zanim będę go potrzebować. I zanim ktoś się zorientuje.

Przez dwa tygodnie trzymałem się tego kurczowo.

W recepcji czeka na mnie jakiś pan. Tak powiedziała Darlene.

– Jaki pan?

– Detektyw.

Pomyślałem o Dicku Trącym. Naprawdę. Przypomniały mi się komiksy.

– Detektyw?

– Aha.

– Powiedz, że mnie nie ma.

Darlene spytała, czy na pewno.

– Tak, na pewno.

Pozwoliłem sobie na odrobinę zniecierpliwiony ton, ponieważ w ten sposób tuszowałem to, co czułem naprawdę – czyli, bądźmy szczerzy, strach.

– Świetnie.

I detektyw sobie poszedł. Dopiero wtedy Darlene poinformowała mnie, że był z policji.

Następnego dnia wrócił.

Tym razem siedział doskonale widoczny. Zobaczyłem go, ledwie wysiadłem z windy. Nawet nie podejrzewałem, że jest z policji – dopóki się nie przedstawił.

– Pan Schine? – spytał.

A ja natychmiast zauważyłem, że jeśli to reprezentant firmy, to nie ma aktówki, a jeśli szuka zatrudnienia, to nie ma dokumentów.

– Jestem detektyw Palumbo – powiedział, całkiem jak w kinie albo w telewizji. Ten najprawdziwszy nowojorski akcent, który w ciemnym kinie zawsze wydaje się fałszywy.

Najprawdziwszy podwójny podbródek i brzuch, który nigdy nie znalazł się na siłowni. I, oczywiście, najprawdziwsza odznaka.

– Tak? – spytałem. Dobry obywatel, zawsze spieszący z pomocą funkcjonariuszom.

– Mogę zamienić z panem słówko?

Oczywiście. Żaden problem. Dla pana wszystko, panie władzo.

Minęliśmy Darlene, która spojrzała na mnie jakby z naganą. Pytałam, czy na pewno chcesz odesłać tego detektywa, tak czy nie?

Weszliśmy do gabinetu, zamknąłem drzwi i usiedliśmy. Przez cały czas prowadziłem ze sobą niepokojącą rozmowę. Zadawałem sobie tysiące pytań, na które nie mogłem odpowiedzieć. Na przykład, czego on tu szuka? Czy Lucinda jednak zmieniła zdanie i poszła na policję?

– Zna pan Winstona Boyko?

Nie. Detektyw Palumbo przyszedł w innej sprawie. Chodziło o Winstona.

– Co?

– Zna pan Winstona Boyko?

No, dobrze. Jaką mam alternatywę? Odpowiedź numer jeden: nie, nie znam. Tylko że mnóstwo osób poświadczy, iż było zupełnie inaczej – Darlene, Tim Ward i połowa szóstego piętra.

– Tak.

Detektyw Palumbo gryzmołił coś w małym notatniku, który wyczarował spod płaszcza. Gryzmołił i wyraźnie czekał, aż rozwinę temat.

(Przychodzi do ciebie detektyw i pyta, czy znasz mało rzucającego się w oczy pracownika działu korespondencji, a ty mówisz... jak to brzmiało? Tak. Właśnie. I nie dziwisz się, dlaczego?)

– A o co chodzi?

– Zaginął.

To o wiele lepiej niż: „Znaleźliśmy jego zwłoki”. Mogłem się niepokoić tym niespodziewanym przesłuchaniem, ale zaginiony Winston to o niebo lepiej niż odnaleziony Winston.

– Naprawdę?

Detektyw Palumbo miał czerwony ślad na grzbiecie nosa. Kontakty? Drobne draśnięcie na brodzie po goleniu? Przyjrzałem się mu, jakbym mógł odczytać odpowiedź z jego twarzy. Na przykład, co według niego wiedziałem.

– Przed dwoma tygodniami – dodał Palumbo.

– Hmm... – Ograniczyłem się do mruknięcia, ponieważ mój mózg się wyłączył, zajęty gorączkowym przygotowaniem alibi.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

Dobre pytanie. Może nawet podstępne, jak na przykład „Kto był ostatnim leworęcznym pałkarzem, który zdobył nagrodę dla najlepszego gracza Amerykańskiej Ligi?”.

Oczywiście każdy powie, że Yastrzemski, dosłownie każdy, ale w tym pytaniu tkwi haczyk – tak naprawdę chodzi o Vida Blue, leworęcznego miotacza, cudowne dziecko z Oakland As. Winstonowi takie pytanie też by się spodobało.

Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Rany, nie wiem – odpowiedziałem w końcu. – Chyba z parę tygodni temu.

– Aha – mruknął Palumbo, nadal gryzmołąc. – Jakiego rodzaju był wasz związek?

A to co ma znaczyć? Tego słowa używa się w stosunku ludzi, których naprawdę coś łączy. Na przykład Lucinę i mnie. Gdyby Palumbo spytał mnie, jaki był związek między mną i Luciną, powiedziałbym: krótki. Oparty na seksie i przemocy, a o seksie lepiej nie wspominać.

– On tu pracuje – powiedziałem. – Roznosi pocztę.

– Aha. I to wszystko?

– Tak.

– Mhm. – Palumbo przyglądał się zdjęciu mojej rodziny.

– Pewnie przesłuchuje pan wszystkich? – spytałem z nadzieją.

– Wszystkich?

– No, wszystkich tutaj?

– Nie. Nie wszystkich.

Mógłbym spytać: dlaczego mnie? Mógłbym o to spytać, ale bałem się odpowiedzi, jaką mógłbym usłyszeć, toteż tego nie zrobiłem. Choć podejrzewałem, że Palumbo na to czeka.

– Więc... czy mogę coś jeszcze... – zacząłem, ale mi przerwał.

– Kiedy to było? Kiedy go pan widział po raz ostatni? – Czekał z ołówkiem przygotowanym do pisania, a ja przypomniałem sobie scenę z angielskich dramatów historycznych, które w kółko puszczają w telewizji: kat czeka z toporem wzniesionym nad czyjąś głową, czekając na znak.

– Tak dokładnie to nie pamiętam. Chyba ze dwa tygodnie temu.

Chyba. Za „chyba” nie można kogoś skazać, prawda? Nie można go zawlec przed sąd za jedno mylne „chyba”.

– Dwa tygodnie temu? Kiedy przyniósł panu korespondencję?

– Tak.

– Czy kiedykolwiek spotkał się pan z panem Boyko na gruncie... hm, towarzyskim?

Tak, raz w barze. Ale chodziło o interesy.

– Nie.

- Czy pan Boyko opowiadał panu o sobie?
- Co ma pan na myśli?
- Czy pan Boyko opowiadał o sobie? Panu?
- Właściwie nie. Mówił o poczcie... no, wie pan.
- O poczcie?
- Korespondencji. Gdzie chcę co wysłać. Takie rzeczy.
- Aha. To wszystko?
- W dużej mierze. Tak.
- A poza tym?
- Słucham?
- Powiedział pan „w dużej mierze”. O czym jeszcze z panem rozmawiał?
- O sporcie. Rozmawialiśmy o sporcie.
- Więc pan Boyko jest kibicem?
- Chyba tak. Mniej więcej. Obaj jesteśmy fanami Jankesów. – Ze wszystkich sił starałem się mówić o nim w czasie teraźniejszym. Nie było to łatwe, kiedy przed oczami stał mi obraz jego zwłok, leżących sztywno u stóp góry śmieci.
- Więc tylko o tym. Rozmawialiście o korespondencji i czasami o Jankesach?
- Tak. Jeśli dobrze pamiętam.
- To wszystko?
- Tak.
- Czy wie pan, w jaki sposób Winston wszedł w posiadanie dziesięciu tysięcy dolarów?
- Co?
- Chyba słyszałeś.
- Pan Boyko miał w mieszkaniu dziesięć tysięcy dolarów. Zastanawiałem się, czy może pan wie, skąd się u niego wzięły.
- Nie, skąd. Dlaczego miałbym... – Coś mi przyszło do głowy: czy policja mogła uzyskać wgląd w dokumenty Domu Maklerskiego Davida Lenera i dowiedzieć się, ile akcji sprzedałem. To by nie wyglądało zbyt dobrze, prawda? To by wyglądało, powiedzmy sobie wprost, podejrzenie. Ale dlaczego ktoś miały podejrzewać, że dałem Winstonowi dziesięć tysięcy dolarów? Panikowałem bez powodu.
- Z pańskiej agencji ginęły komputery. Jeden został skradziony z tego piętra.
- Tak, to prawda.
- Czy kiedykolwiek zastał pan pana Boyko w pracy po godzinach?

Komputery. Palumbo pytał mnie o komputery. Oczywiście. Złodziej Winston. Recydywista Winston. Rozmawiał ze mną, ponieważ podejrzewał, że Winston miał te pieniądze ze sprzedaży kradzionych komputerów. I potrzebował świadków. Winston ukradł parę komputerów, zarobił pieniądze i zwiął.

– Skoro pan o tym wspominał, widziałem go tutaj raz, późno w nocy.

– Gdzie dokładnie?

– Gdzieś tutaj. Chyba w korytarzu.

– Czy miał powody, żeby zostać na tym piętrze po pracy?

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Wtedy wydało mi się to dość dziwne. – Znowu go zabijam, pomyślałem. Najpierw zrobiłem to, kiedy żył, teraz ponownie.

– Spytał go pan o to? Co tu robi?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Tak po prostu. Był na korytarzu, a ja w gabinecie. Naprawdę nie wiedziałem, czy ma obowiązek tu być, czy nie.

– W porządku. – Palumbo zamknął notes i włożył go do kieszeni. – Na dzisiaj to chyba wszystko. Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

– Bardzo proszę – odparłem, choć już się zastanawiałem nad tym „na dzisiaj”.

– Mam nadzieję, że go znajdziecie.

– Ja też. Wie pan, pan Boyko był bardzo obowiązkowy. Zawsze się zjawiał na spotkania z kuratorem. Nie opuścił ani jednego. Ani jednego. Bo wie pan, że był w więzieniu, prawda?

– Wydaje mi się, że coś o tym słyszałem. Tak, słyszałem. To stąd wiecie, że zaginał? Od kuratora?

– Nie – powiedział Palumbo. Potem spojrzał mi w oczy, tak jak to robią kochankowie, kiedy chcą się przekonać o szczerości swoich uczuć. – Pana Boyko i mnie łączył pewnego rodzaju związek... natury zawodowej – powiedział. – Rozumie pan?

Nie, nie rozumiałem.

Odprowadziłem detektywa Palumbo, zastanawiając się, czy zechce przesłuchać kogoś oprócz mnie. Nie zechciał. Wciąż nie rozumiałem, o co mu chodziło. Pana Boyko i mnie łączył pewnego rodzaju związek natury zawodowej.

Jaki znowu związek?

Dopiero kiedy później przebiegłem myślą całą naszą rozmowę, żeby sprawdzić, czy udzieliłem właściwych odpowiedzi, gdy drobiazgowo analizowałem każde zdanie,

upewniając się, czy nie dałem detektywowi jakiegoś powodu, choćby minimalnego, do podejrzeń – dopiero wtedy zaświtało mi, jakiego rodzaju związek może łączyć byłego przestępcę z policjantem.

Jakie są warunki?

Ponieważ martwiło mnie coś innego. Coś, co się nie zgadzało. Właśnie to. Ludzie nieustannie giną – czy nie to słyszy się z ust znudzonych i wkurzonych policjantów we wszystkich wieczornych dziennikach? Zrozpaczeni rodzice żałujący się na opieszałość policji, ich nastoletnia córka czy syn zaginęli Bóg wie kiedy, a przecież rodzice czują, że stało się coś złego, to się czuje, tymczasem policjanci ograniczyli się do spisania raportu. Ponieważ ludzie nieustannie giną. Tak mówią znudzeni policjanci. A gdyby mieli szukać każdego smarkacza, który nie wrócił do domu, nie mieliby czasu ścigać prawdziwych przestępców.

Mówimy o dzieciach – dzieciach, których los jest policji obojętny. Winston nie był dzieckiem. Był dorosły, a według obiegowych standardów społecznych był również mało ważny. Prawdę mówiąc, na skali ważności ludzi, których policja zaczęłaby szukać zaraz po zaginięciu, znajdował się pewnie na jakimś przedostatnim miejscu, tuż przed czarnym transwestytą – heroinistą.

A jednak nie minęły dwa tygodnie, a policja już go szuka.

Jakie są warunki?

Więc jeszcze raz powtórzyłem sobie słowa detektywa. Pana Boyko i mnie łączył pewnego rodzaju związek natury zawodowej. Rozumie pan?

Tak, teraz zacząłem już rozumieć.

Jakie są warunki?

Chodziłem do kina, oglądałem telewizję, czytałem gazety. Policjyni detektywi mają zwyczaj wyduszać informacje z byłych przestępców. Byli przestępcy mają zwyczaj udzielać im informacji, żeby unikać wyduszania. Więc może policjanci przymykają oko, gdy byli przestępcy usiłują podreperować budżet za pomocą, powiedzmy, niewielkich komputerowych kradzieży.

Jakie są warunki?

Znam warunki.

Tak? To mi je wymień, żeby nie było nieporozumień.

Ten wieczór w samochodzie Winstona przy linii metra numer siedem.

To mi je wymień, żeby nie było nieporozumień.

Policjanci i recydywiści mają ze sobą tylko jeden związek natury zawodowej i tak to już jest na tym świecie. Tak to już jest. Oni pytają, ty mówisz. Szepczesz do uszka. Kablujesz.

To mi je wymień.

Jeśli nie ma się nagrania, jeśli nie zarejestruje się słów na taśmie, kto ci uwierzy? Wielka szucha z agencji reklamowej, świątobliwy nieskazitelny pracownik umysłowy żąda czego? Powtórz to, Winston...

To mi je wymień.

Nie, nie wszystkich, powiedział Palumbo.

Tylko pana.

WYKOLEJONY: 29

Nic nie dzieje się bez przyczyny. Tak uważała Deanna. Na świecie nie panuje chaos, którego się spodziewamy – rządzi nim pewien niewidzialny, jedynie zasugerowany plan. Ta orkiestra może fałszować, lecz gdzieś tam jest dyrygent, który doskonale wie, co robi.

Zawsze słuchałem takich wywodów z pewnym sceptycyzmem, ale teraz nie byłem już taki pewny siebie.

Weźmy na przykład sobotę po tamtym przesłuchaniu. Panowało niezdrowe ciepło, pod butami cmokało mi rozmiękle błoto, a ja starannie sprzątałem podwórko po Currym. Zadanie pochłonęło mnie bez reszty, wyęczałem wzrok i przeczesywałem każdy centymetr podwórka, żeby nie myśleć o czym innym.

Próbowałem opanować strach i panikę. Starłem się je powściągać.

Więc kiedy Deanna zawołała do mnie przez kuchenne drzwi – coś o ubezpieczeniu samochodu – ledwie zwróciłem na nią uwagę.

Chciała odnowić ubezpieczenie naszego drugiego samochodu. Tak, tak. Pokiwałem głową jak te pieski w samochodach – ruch wyzwalany przez najdrobniejsze drgnienie powietrza. Chciała odnowić ubezpieczenie i pytała, gdzie jest polisa.

Więc jej powiedziałem. I wróciłem do swojej roboty.

Po dziesięciu czy też piętnastu minutach pojawiła się w drzwiach. Miała minę, jaką pamiętałem aż za dobrze. Liczyłem, że już nigdy więcej jej nie zobaczę.

Oczywiście najpierw pomyślałem: Anna. Coś się z nią stało, więc muszę rzucić torbę i pobiec do domu. Gdzie bez wątpienia znowu znajdę córkę w sypialce. Ale dokładnie w tej samej chwili zobaczyłem Annę za oknem, z którego grzmiał najnowszy przebój P. Diddy’ego.

Więc o co chodzi? Wróciłem myślami po własnych śladach, gorączkowo szukając wskazówek, które wyjaśnią mi naturę tej najnowszej katastrofy.

Sprzątałem podwórko, a ona przyszła, żeby o coś tam spytać – a tak, trzeba było odnowić ubezpieczenie. Spytała, gdzie jest nasza polisa, więc powiedziałem.

Oczywiście w szafce na strychu. Pod U, jak ubezpieczenie. Zgadza się?

Ale przecież chodziło o ubezpieczenie naszego forda. To ubezpieczenie, które należało odnowić. Więc całkiem możliwe, że w chaotycznym i z całą pewnością niezbyt dobrze prowadzonym systemie katalogowym państwa Schine'ów ubezpieczenie nie znalazło się pod literą U, lecz pod F. Jak ford. Tam, gdzie wszystkie rzeczy na F.

Wszystko to mignęło mi przed oczami jak błyskawica, i tak jak błyskawica oszołomiło mnie i ogłupiło. Może nawet zabiło.

Dokładnie wtedy pomyślałem, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Niby dlaczego nasze ubezpieczenie trzeba było odnowić akurat dziś, w tej chwili? Dlaczego? I dlaczego akurat wtedy, gdy Deanna poprosiła mnie o pomoc w znalezieniu polisy, byłem tak zajęty byciem zajęty, że nie poszedłem po tę polisę sam?

– Gdzie są pieniądze Anny? – spytała Deanna. – Co z nimi zrobiłeś?

Może zawsze wiedziałem, że ten moment nadejdzie.

Pewne rzeczy są po prostu zbyt potężne, żeby dało się je ukryć – sam ich rozmiar sprawia, że nie nadają się do schowania. Zawsze wystają którąś stroną i wcześniej czy później ktoś musi je zauważyć.

A może nawet chciałem, żeby ktoś mnie nakrył – chyba każdy przyzwoity psychiatra by się pod tym podpisał. Może i sprzątałem podwórko, ale jednocześnie z całego serca pragnąłem oczyścić również własne życie.

Trudno uwierzyć, że zgodziłem się przejść przez to wszystko tylko dlatego, żeby celowo się zdemaskować. Ale nic nie było już proste.

– Co z nimi zrobiłeś? – spytała.

A mnie z początku odjęło mowę. Deanna stała jak posąg w drzwiach, ja znieruchomiałem z workiem śmierdzącym ekskrementami.

– Wyniosłem certyfikaty do sejfów – skłamałem. Spróbuję się z tego wykręcić, tylko jedno kłamstwo.

– Charles... – powiedziała karcąco, jakby takie bezczelne kłamstwa były poniżej mojej godności. A ja chciałem powiedzieć: właśnie że nie są. Nie wiesz, czego się ostatnio dopuściłem.

Ale nadal nie potrafiłem nic z siebie wydusić – na razie. Wpadłem i wiedziałem o tym.

– Charles, dlaczego mnie okłamujesz? Co się dzieje?

Pewnie mógłbym powiedzieć, że wcale jej nie okłamuję. Mógłbym dalej trzymać się

tej debilnej bajeczki o sejfie, ale gdyby Deanna mi uwierzyła, musiałbym w poniedziałek przynieść jej te certyfikaty, a to było niemożliwe. Mógłbym nadal upierać się przy swoim, bez względu na wszystko, ale za bardzo ją szanowałem. I kochałem.

Więc choć wiedziałem, co zrobię, choć wiedziałem, że to, co teraz powiem, zrani ją bardzo boleśnie, zacząłem mówić.

Najpierw o pociągu. O tym chaotycznym poranku, o braku pieniędzy, o kobiecie, która mi pomogła.

Kiedy wspomniałem o Lucindzie, zauważyłem zmianę w rysach Deanny – napięły się tak, jak pyski zwierząt na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa.

– Potem miałem zły dzień w pracy – ciągnąłem. – Wyrzucili mnie z reklamówki karty kredytowej.

Deanna wyraźnie nie rozumiała, co wyrzucenie z reklamówki ma wspólnego ze stu dziesięcioma tysiącami dolarów, które znikły z Funduszu Anny. I z kobietą z pociągu.

Ja też się nad tym zastanawiałem. Wiedziałem, że jest tu jakiś związek, ale nie pamiętałem jaki. Chyba chodziło o to, że chciałem z kimś porozmawiać... a może to był po prostu pierwszy krok na równi pochyłej. Taki, po którym następuje powolny, nieunikniony upadek?

– Potem znowu spotkałem tę kobietę – mówiłem. A powinienem powiedzieć, że jej szukałem, i to bardzo systematycznie. Ale chyba miałem prawo do lekkiego złagodzenia drastycznych momentów?

– O czym ty mówisz?

Chciała streszczenia, nie interesował jej prolog ani wprowadzenie. Nie w chwili, kiedy jej przyszłość stała pod znakiem zapytania.

– Mówię, że popełniłem pewien błąd. Bardzo mi przykro.

Błąd. To wszystko? Ludzie bez przerwy popełniają błędy i uczą się na nich. Miałem nadzieję, że Deanna tak to zobaczy, choć rozsądek i cała wiedza na jej temat, jaką zgromadziłem przez osiemnaście lat naszego małżeństwa, podpowiadały mi, że nie ma na to szansy. A jednak...

Deanna usiadła na progu. Odgarnęła włosy z twarzy i wyprostowała się, jak skazaniec, który przed plutonem egzekucyjnym chce zachować resztki godności. A ja? Ja podniosłem karabin i naciśnąłem spust.

– Miałem romans.

P. Diddy nadal grzmiał przez okno. Curry szczeakał na przejeżdżający samochód. A jednak świat wokół nas ucichł jak nigdy. Była to cisza jeszcze gorsza niż ta, która zapadła w

domu, gdy Anna zachorowała. Milczenie tak czarne i beznadziejne, że zachciało mi się płakać.

Ale to ona się rozplakała. Nie głośno ani histerycznie, ale łzy nagle się pojawiły, jakbym mocno uderzył ją w twarz.

– Dlaczego? – spytała.

Spodziewałem się, że będzie pytać. Myślałem, że spyta, czy ją kocham, tę kobietę – albo jak długo się to ciągnie, albo czy już po wszystkim. Ale nie – ona spytała „dlaczego?”. Pytanie, do którego miała pełne prawo, ale ja nie byłem gotowy, żeby na nie odpowiedzieć.

– Właściwie nie wiem. Nie wiem.

Skinęła głową. Odwróciła wzrok, spojrzała na swoje bose stopy, które na zielonym schodku naszego ganku wyglądały dziwnie bezbronne, niczym nagie, nowo narodzone młode jakiegoś zwierzęcia. Potem znowu podniosła głowę, zmrużyła oczy, jakby mój widok je ranił.

– Chciałam spytać: jak mogłeś. Uwierzysz? Naprawdę. Ale wiem, że mogłeś. Nawet wiem dlaczego.

Dlaczego? – pomyślałem. Powiedz.

– Może nawet to rozumiem – ciągnęła. – Z powodu tego, co się nam ostatnio przydarzyło. To chyba także potrafię zrozumieć. Ale nie potrafię wybaczyć. Bardzo mi przykro. Nie potrafię.

– Deanno... – zacząłem, lecz machnęła niecierpliwie ręką.

– Już skończyłeś? Ten romans?

– Tak. Zdecydowanie. To był tylko ten jeden, jedyny raz... Westchnęła, wyprostowała ręce, otarła oczy.

– Dlaczego nie ma pieniędzy Anny?

No tak, powiedziałem jej połowę, ale została jeszcze ta druga.

– Nie musisz mi nic mówić o tym romansie – nie chcę wiedzieć nic więcej, ale o pieniądzach chcę usłyszeć.

Więc usłyszała.

Streściłem jej wszystko najzwięźlejš, jak mogłem, najlogiczniej, jak zdołałem – jedna rzecz prowadziła do drugiej, a ta do trzeciej – i widziałem, że choć ja dostrzegam w tym jakiś sens, ona go nie widzi. Nawet gdy dotarłem do miejsca, w którym zostaliśmy zaatakowani i pobici, a w jej oczach pojawiło się autentyczne współczucie. Nawet kiedy dotarłem do miejsca, w którym Vasquez wszedł do naszego domu i położył rękę na głowie Annie. Nawet wtedy nic nie zrozumiała. Może widziała coś, co dla mnie było niedostrzegalne: potrafiła odnaleźć miejsca w tej okropnej historii, kiedy mogłem postąpić inaczej, kiedy to inne

rozwiązanie aż się prosiło, żeby z niego skorzystać. A może dlatego, że nie wspomniałem o czymś ważnym, ważnym i niezbędnym, by naprawdę pojąć prawdziwe znaczenie tych wypadków.

– Więc mu zapłaciłem – dokończyłem. – Żeby ją uratować.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby porozmawiać z policją? Albo ze mną?

Tak, miałem ochotę powiedzieć. Przyszło mi do głowy, żeby porozmawiać z policją albo nawet tobą, co w sumie znaczy to samo. Ale kiedy o tym pomyślałem, wyobraziłem sobie, jak zareagujesz – dokładnie tak jak teraz. Więc tego nie zrobiłem. A teraz naprawdę nie mogę iść na policję, choć to już może żadna różnica, bo całkiem możliwe, że policja przyjdzie do mnie.

– Te pieniądze... – wyszeptwała. – Fundusz Anny...

Powiedziała to tak, jak niektórzy wymieniają ten czy inny fundusz, przeglądając strony giełdowe w drodze do pracy. „Ten Fundusz Dreyfusa... Fundusz Morgana... Fundusz Alliance...” Jakby wymieniało się imiona ukochanych zmarłych. Odeszli i już nigdy nie wróca.

– Musisz iść na policję, Charles. Musisz im powiedzieć, co się stało i odzyskać nasze pieniądze. Należą do Anny.

Opowiedziałem jej historię z dziurą w środku i miałem nadzieję, że ta dziura jest na tyle duża, iż zdołam się przez nią przecisnąć. Ale nie. Deanna wystąpiła z całkowicie rozsądną prośbą, a ja nie potrafiłem jej dać rozsądnej odpowiedzi. Obrona Lucindy przed gniewem męża już nie była wystarczającym wytłumaczeniem – nie dla Deanny, nie wtedy, gdy oznaczałoby to odebranie naszej córce sto tysięcy dolarów.

Deanna nie wiedziała, że bronię także siebie.

– Jest coś jeszcze – powiedziałem i zobaczyłem, że opadły jej ręce. Czy nie dość już usłyszałam? – mówiła jej mina. Czy może być coś więcej?

– Poprosiłem kogoś o pomoc – powiedziałem, myśląc, że nadal kłamię, ponieważ nie tyle poprosiłem Winstona, ile raczej go zmusiłem. Ale Winston też właściwie mi nie pomógł, raczej mnie wrobił. – Poprosiłem, żeby ktoś pomógł mi spłoszyć Vasqueza.

– Spłoszyć? – Deanna była jeszcze w szoku, ale zostało jej tyle inteligencji, by dostrzec wyraźne słabe punkty mojego planu. Na przykład, że kiedy prosisz kogoś o spłoszenie kogoś innego, wzrasta współczynnik nieprzewidywalności. Zaczyna się od piąchy, a kończy na nożu. Albo na kuli.

– On zagrażał naszej rodzinie. Przyszedł do naszego domu.

Na miłość zawsze odpowiadam miłością, powiedziała mi kiedyś. To była jej życiowa

zasada, jej credo, jej prywatne *semper fidelis*. Ale teraz wokół niej rozgorzała walka, wszędzie spadały bomby i nikt nie wiedział, czy miłość przetrwa. Sądząc po wyrazie jej twarzy, raczej w to nie wierzyłem. Wyraźnie przestała mnie poznawać – mężczyznę, którego od osiemnastu lat uważała za na ogół kochającego i łagodnego męża. Nie był nim ten gość, który pozwolił sobie na obleśny romans i dał pieniądze szantażyście, a nawet zatrudnił kogoś do usunięcia szantażysty. Czy to możliwe?

– Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić – wyjaśniłem bez przekonania.

– Co się stało?

– Wydaje mi się, że Vasquez go zabił.

Gwałtowne westchnienie. Nawet teraz, kiedy bez wątpienia zniszczyłem wszelkie iluzje, jakimi się kiedykolwiek łudziła, nadal potrafiłem ją zaskoczyć. Romans – to niedobrze, ale potem: morderstwo.

– Och, Charles...

– Wydaje mi się... myślę, że ten człowiek, ten, który umarł, mógł mnie nagrywać. No wiesz, może mnie podpuszczał.

– Jak to podpuszczał?

– On siedział. Siedział i był donosicielem. Może musiał.

– Chcesz powiedzieć...

– Nie wiem. Nie mam pewności. Ale się martwię.

Ona też zaczęła się martwić. Może z największą troską myślała o tym, dokąd odchodzi miłość. To jej nieustanne stałe uczucie, które zniszczyłem, zdeptałem i oplułem. Dokąd odeszło?

– Wiedziałam, że coś jest nie tak. Już wcześniej miałam wrażenie, że zginęły jakieś pieniądze – pewnie kiedy zabrałeś te pierwsze dziesięć tysięcy. Myślałam, że mi się przywidziało, więc nic nie mówiłam. Wszystko mogło być przywidzeniem – to, jak się zachowywałaś. Że wracałeś tak późno. Wszystko. Myślałam, że masz jakąś kobietę, ale nie chciałam w to uwierzyć. Czekałam, aż sam mi powiesz...

Teraz jej powiedziałem. Ale więcej, niż się spodziewała.

Zadała mi jeszcze parę pytań – niektórych oczekiwałem. Właściwie co to za kobieta? Mężatka? To naprawdę był tylko jeden raz? Ale widziałem, że pyta jedynie z obowiązku. A potem inne pytania, do których miała więcej przekonania – na przykład, co naprawdę grozi mi ze strony policji i tak dalej.

W końcu kazała mi opuścić dom. Nie wiedziała, na jak długo, lecz życzyła sobie, bym się wyniósł.

Parę tygodni później, które spędziłem, unikając Deanny i wracając do gościnnego pokoju po tym, jak Anna położyła się spać, znalazłem umeblowane mieszkanie w Forest Hills.

WYKOLEJONY: 30

W Forest Hills zamieszkiwali chyba sami ortodoksyjni żydzi i nieortodoksyjni wyznawcy różnych sekt. Ludzie samotni, bez określonego źródła utrzymania albo outsiderzy. W tym szczególnym budynku, osiedlu czy dzielnicy znalazłem się w swoim żywiole.

Na przykład, wyglądałem na mężczyznę żonatego, ale gdzie się podziała moja żona? Bez wątplenia byłem ojcem, ale gdzie były moje dzieci? A źródło zarobków także przestawało być stabilne.

W pierwszy wtorek po wyprowadzce wsiadłem do kolejki, żeby pojechać do pracy.

Wezwano mnie do gabinetu Barry'ego Lenge. Już to samo było nietypowe, ponieważ w biurowej hierarchii to księgowi – nawet ich szef – fatygują się do czyjegoś gabinetu, kiedy sytuacja wymaga rozmowy w cztery oczy.

Ale poszedłem. Wydaje mi się, że miałem zespół powypadkowego wstrząsu i resztki mojej godności własnej spadły do poziomu zbitego psa.

Barry Lenge był jeszcze bardziej zażenowany ode mnie. To powinno być dla mnie pierwszym ostrzeżeniem.

Potrójny podbródek zawsze nadawał mu wyjątkowo rozjątrzony wygląd – jakby jego głowa nie mogła znaleźć pozycji, w której nie napierałaby na inną część ciała. Dziś wyglądał jeszcze gorzej.

Odchrząknął, co powinno być dla mnie drugim ostrzeżeniem. To, co miał do powiedzenia, nie chciało się wydostać na zewnątrz.

– Przeglądałem właśnie dokumenty waszej reklamówki – zaczął.

– Tak?

– Tej z Headquarters. Chciałbym o czymś z tobą porozmawiać.

Teraz to ja pewnie zrobiłem zażenowaną minę, bo Barry odwrócił wzrok – spojrzał na zestaw srebrnych ołówków – a ja przypomniałem sobie, jak Eliot gryzmolił coś tego ranka, kiedy Ellen Weischler wykopała mnie z reklamówki karty kredytowej.

– Rzecz w tym... że coś zwróciło naszą uwagę.

– Co?

– Widzisz, tu jest czterdzieści pięć tysięcy na muzykę. – Wskazywał leżącą przed nim kartkę. Ten sam formularz, który wcześniej przeglądałem ja.

– Widzisz? – spytał Barry. – Tutaj.

Udałem, że patrzę, ale tylko dlatego, że tak właśnie robią zbite psy – słuchają rozkazów. Widziałem zapisaną tam liczbę – wyglądała jak czterdzieści pięć tysięcy.

– Tak?

– Widzisz, Charles... właśnie w tym problem.

– Tak?

Tylko na tyle było mnie stać? Żeby mówić „tak?” po każdej kwestii Barry’ego?

– Mary Widger słyszała tę samą muzykę w innej reklamówce...

– Co?

– Mówię, że ta sama muzyka była w innej reklamie.

– Jak to?

– Popraw mnie, jeśli się mylę. Czterdzieści pięć tysięcy dolarów było za muzykę oryginalną, tak?

– Tak.

– Więc ta nie jest oryginalna.

– Nie rozumiem. – Ale oczywiście wszystko rozumiałem. Tom i David znaleźli tę muzykę w banku kompozycji i nie chcieli im się nawet sprawdzić, czy ktoś już jej nie użył. A użył.

– Może jest tylko podobna. To właściwie tylko podkład.

– Nie. Zaniósł ją do muzykologa. To ta sama kompozycja. Nuta w nutę.

Zaniósł ją do muzykologa. Do muzykologa zwracano się na ogół po to, żeby określić, czy kompozycja nie jest zbyt podobna do już istniejącej melodii, którą usiłowaliśmy naśladować. Na przykład, mogliśmy montować reklamę do „S Wonderful” Gershwina, ale gdyby jego spadkobiercy zażądali za to góry pieniędzy, spróbowalibyśmy z niego zerznąć – byle nie zbyt dokładnie, bo muzykolog by zaprotestował. Ale oczywiście w tym przypadku nie zrzynaliśmy z Gershwina.

– Porozmawiam z T&D Music House – powiedziałem, usiłując naśladować oficjalnie urażony ton Barry’ego. Żeby nie brzmiał w nim strach.

– Już rozmawiałem z T&D Music House – oświadczył Barry.

Nie spodobało mi się, jak wymówił tę nazwę – z wyraźnym szyderstwem.

– Tak?

– Tak. Rozmawiałem z nimi. Więc pytanie, które chcę ci zadać, brzmi następująco: ile?

– Co ile?

– Ile? Gdybym miał wystawić rachunek tej agencji, jaką kwotę miałbym tam umieścić?

– Nie rozumiem.

– Nie rozumiesz.

– Właśnie.

– A ja myślę, że rozumiesz. Że świetnie rozumiesz. Ta agencja istnieje tylko na papierze, Charles. Powstała jedynie po to, żeby można było ciągnąć z niej nielegalne zyski. Więc żądam zwrotu tych zysków – ile razy mam cię o to prosić?

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Jeśli odkryłeś jakiś przekręt...

– Słuchaj, Charles... – Barry nie był już w najmniejszym stopniu zażenowany. Znalazł się w swoim żywiole. – Słuchaj: jeśli oddasz te pieniądze, istnieje szansa, że nie skierujemy sprawy do sądu. Że nie będziesz sądzony. Teraz rozumiesz? Osobiście nie zgadzam się z tą decyzją. Gdyby to zależało ode mnie, wsadziłbym cię do pudła. Ale ponieważ pracuję w tej firmie, jej pieniądze leżą mi, można powiedzieć, na sercu. Eliot tak nie uważa. Trudno.

Eliot tak nie uważa. Zacząłem się zastanawiać, czy Eliot już wie.

– Może coś podejrzewałem... Myślałem, że... Będziesz rozmawiać z Tomem i Davidem?

– Już z nimi rozmawiałem. Powiedzieli mi mnóstwo ciekawych rzeczy. Więc chcesz się migać, świetnie, ale wiedz, że jeśli dalej się będziesz stawiać, Eliot zmieni decyzję. Dlaczego? Bo mu każe. Nie chcą nagłaśniać tej sprawy i to rozumiem, ale pieniądze mają wrócić. I wiesz co? Zwykle kiedy mają wybierać: pieniądze czy niewielka plamka na reputacji, wybierają pieniądze. Możesz mi zaufać.

Stało się jasne, że powinienem podjąć decyzję. Mogłem się przyznać do zagarnięcia dwudziestu tysięcy dolarów. Mogłem nawet je oddać – jeśli Deanna pozwoli mi się zbliżyć do Funduszu Anny, co może nie być łatwe. Ale miałem też przeczucie, że Tom i David pogrążyli mnie głębiej, niż zasługiwałem – i że Barry nie uwierzy, iż moje sukcesy na niwie defraudacji ograniczają się do dwudziestu tysięcy dolarów. Nie, stawka na pewno jest wyższa. Uznałem, że jeśli się przyznam, będę ugotowany.

– Nie mam z tym nic wspólnego – oświadczyłem z całą dostępną mi mocą. – Nie wiem, co Tom i David ci powiedzieli, ale nie ufałbym facetom, którzy – jak widać – oszukują cię od lat.

Barry westchnął. Chciał poluzować kołnierzyk, co było niemożliwe, bo był za mały o jakieś dwa numery.

– Czyli tak to chcesz rozegrać – powiedział w końcu. – Świetnie. Twoja wola.

Utrzymujesz, że jesteś niewinny, więc zastosujemy firmową procedurę. Proszę bardzo.

– Czyli...?

– Jesteś zawieszony. Rozpocznemy wewnętrzne śledztwo. Sprawdzimy cię. I jeśli znajdziemy jakiś ślad, aresztujemy cię. Kapujesz?

Wstałem i wyszedłem z gabinetu.

WYKOLEJONY: 31

Mijał czas. Tydzień, dwa, miesiąc.

Czas, który spożytkowałem na przemyślenia zamiast na pracę. Na przykład, czy Deanna mi kiedykolwiek przebaczy i czy aresztują mnie pod zarzutem morderstwa lub defraudacji. Na razie nic się nie wydarzyło. Ale przecież zawsze jest jutro.

Po pierwszym dniu bezrobocia zrozumiałem, że nawyki rządzą moim życiem i jestem zaprogramowany na poranne wyjście do pracy. Więc jeździłem kolejką na Manhattan jak zawsze i wracałem po południu. Miało to pewien związek z przygnębiającym otoczeniem: moje mieszkanie wyglądało jak pokój w motelu, tylko bez obsługi. Czuję się trochę jak Złotowłosa, która spała w łóżeczku kogoś innego. Kogoś, kto mógł w każdej chwili wrócić i mnie wygonić. Odnajdywałem pewne wskazówki, kim był ten ktoś – drobne ślady po poprzednim mieszkańcu, porzucone na tej sterylnej pustyni.

Na przykład, książka. Zaczytane broszurowe wydanie *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*. Ale do kogo należała, do Marsjanina czy Wenusjanki? Trudno zgadnąć.

Szczoteczka do zębów, znaleziona za pełną zacieków muszlą klozetową. Jedna z tych wymyślnych, z wyprofilowanym włosiem, docierającym do najtrudniej dostępnych miejsc. Lawendowa. To męski czy żeński kolor? Czy wszystko jedno?

A w szufladzie biurka kartka w linie, zapisana chyba noworocznymi postanowieniami. „Będę częściej bywać wśród ludzi”. „Nie będę nikogo oceniać”. I tak dalej. Doszedłem do wniosku, że właściciel książki jest autorem listy postanowień, ponieważ oba przedmioty świadczyły o rygorystycznym dążeniu do samodoskonalenia. Jeśli Deanna jest z Wenus, to czy ja jestem z Plutona?

Odwiedziłem bibliotekę na Czterdziestej Drugiej. Przeszedłem się do Metropolitan Museum. Cały jeden dzień przespałem w Planetarium Haydena, od czasu do czasu budząc się z widokiem na gwiazdną kopułę – jak astronauta, wychodzący z letargu, zawieszony gdzieś we wszechświecie, daleko od domu.

Dołożyłem specjalnych starań, by codziennie po południu dzwonić do Anny – zawsze z telefonu komórkowego ze względu na skomplikowane usprawiedliwienie mojej

nieobecności – wymyśliliśmy, że robię nową kampanię reklamową w Los Angeles. Kiedyś spędziłem tam dwa miesiące. Uznaliśmy, że Anna to kupi.

A teraz gdzie jesteś? – pytała.

W hotelowym basenie, odpowiadałem.

W studiu filmowym w Burbank. Na ulicy w Venice. W wynajętym samochodzie na skrzyżowaniu Sunset Boulevard i La Cienega.

Super, mówiła Anna.

Deanna powiedziała, że przez jakiś czas nie chce ze mną rozmawiać. Tortura polegała na tym, że nie wiadomo było, jak długo potrwa ten jakiś czas. Czasami to ona odbierała i wtedy miałem nadzieję, że jakiś czas dobiegł już końca, ale wołała Annę i czekała w milczeniu, aż nasza córka odbierze. W pewnym sensie nie odczułem większej zmiany w stosunku do naszych obyczajów z czasów pocukrzykowych. To dławiące milczenie na temat spraw, o których się nie wspomina. Ale teraz w jej milczeniu brzmiał jeszcze okropny wyrzut, nie tylko czysty smutek. I cisza taka jak w westernach, kiedy bohater wyczuwa zasadzkę. Jest cicho, mówi do swoich amigos, zbyt cicho.

Pod koniec lutego, w poniedziałek trzeciego tygodnia banicji i bezrobocia, znowu zobaczyłem Lucindę.

W pierwszym odruchu chciałem się ukryć głębiej w anonimowym tłumie. W drugim, zamierzałem się przywitać. Może dlatego, że wyglądała, jakby już się pozbięła. To trochę złagodziło moje wyrzuty sumienia. Pozbięła się i nawet z kimś rozmawiała.

Oczywiście, że myślałem o niej. Czy kiedykolwiek otrząśnie się z tego, co jej zrobił Vasquez. Miałem taką nadzieję.

A teraz pomyślałem, że to się chyba stało. Nie miała już podbitych oczu. Znowu była piękna; znowu była Lucindą.

Byłem tak pochłonięty jej widokiem, że minęła jakaś minuta, zanim zauważyłem, z kim rozmawia. Czy to mąż, którego widziałem przelotnie tamtego dnia przy fontannie?

Nie. To nie był jej mąż. Ten mężczyzna był niższy, młodszy, ubrany bardziej tandetnie. Może jej kolega z domu maklerskiego?

Wyglądało na to, że są ze sobą zaprzyjaźnieni. Co najmniej. Zatrzymali się przed kioskiem, pogrążeni w ożywionej rozmowie.

Zdałem sobie sprawę, że jestem na ziemi niczyjej. Ani tak daleko, żeby zniknąć w tłumie, ani tak blisko, żeby włączyć się do rozmowy. Wystarczyło, by Lucinda spojrzała w lewo i na pewno by mnie zobaczyła – straconego w otchłań piekielną mężczyznę, który ją zawiódł, wspomnienie tego, co ją spotkało.

Chciałem jej tego oszczędzić. Właściwie chciałem tego oszczędzić głównie sobie. Więc się schowałem. Wmieszałem się w poranny tłum i odwróciłem twarz w inną stronę, by uniknąć przypadkowego kontaktu wzrokowego.

Ruszyłem wraz z tłumem, który poniósł mnie jak fala. Aż do schodów wiodących na Ósmą Aleję.

Obejrzałem się tylko raz. Nie potrafiłem sobie tego odmówić. Tylko raz zerknąłem na Lucindę i jej kolegę, żeby sprawdzić, czy mnie nie zauważyli.

I sam coś zauważyłem.

Zastanawiałem się nad tym w drodze taksówką do Narodowego Muzeum Indian Amerykańskich. Doszedłem do wniosku, że nie wiem, co to było. To coś, co zauważyłem dzięki temu jednemu ukradkowemu zerknięciu. Zresztą pomiędzy nami znajdowało się mnóstwo osób. Jak ci statyści, którzy w reklamie muszą chodzić między kamerą i aktorami, żeby otoczenie wyglądało naturalnie.

Ale czasem angażuje się zbyt wielu statystów, a wtedy całkowicie zasłaniają aktorów. Nie można ich dostrzec i to aktorzy stają się statystami. Wtedy trzeba ograniczyć liczbę statystów i tak ich rozmieścić, żeby znowu było widać aktorów.

Mniej więcej to właśnie robiłem w taksówce.

Usiłowałem rozdzielić anonimowy tłum ludzi dojeżdżających kolejką do pracy, żeby wyraźnie zobaczyć Lucindę. Lucindę i tego jej kolegę z domu maklerskiego, a może znajomego z sąsiedztwa. Albo...

Brata. Tak, może to brat, ale nie pamiętałem, czy ma brata. Wyglądało na to, że znacznie więcej rozmawialiśmy o mojej rodzinie. To ja wylewałem przed nią żal na temat Anny i Deanny. Nie pamiętałem, czy ma brata, czy też nie.

Teraz doszedłem do wniosku, że to musiał być brat. Albo kuzyn. Tak, na pewno kuzyn.

Usiłowałem rozepchnąć tłum wokół nich, żeby się lepiej przyjrzeć, ale tłum się opierał. Wściekli ludzie mówili mi, żebym się odwalił, albo wzywali policję.

Ich ręce.

Wydawało mi się, że ich ręce się dotykają. Nie były splecione, ale się dotykały.

Tak można by stać z bratem, prawda?

A nawet jeśli to nie brat, jeśli to przyjaciel, nowy przyjaciel, to czy można jej o to robić wyrzuty? Nigdy nie spytałem, czy byłem pierwszy. Dlaczego miałbym być ostatni?

Nadal tkwiła w związku z tym samym strasznym mężem. Nadal rozpaczliwie potrzebowała kogoś, by z nim porozmawiać. Szczególnie teraz.

I przez jedną przelotną chwilę poczułem coś podejrzanie podobnego do zazdrości. Przelotne ukłucie, fantomowy ból dawno wyleczonej rany.

Potem o tym zapomniałem.

WYKOLEJONY: 32

Urodziny Anny.

Nigdy żadnych nie przegapiłem. Nie wyobrażałem sobie, żebym miał to zrobić teraz. Mogła sobie wzruszać ramionami, kiedy poruszałem takie tematy – Urodziny? Jakie urodziny? – ale miałem absolutną pewność, że nieobecności by mi nigdy nie wybaczyła. Wtedy już dwie osoby z tej rodziny miałyby do mnie pretensje, a ja kiepsko sobie radziłem z jedną.

Więc kiedy zadzwoniłem do domu i Deanna podniosła słuchawkę, powiedziałem:

– Jeszcze nie wołaj Anny. Muszę z tobą porozmawiać.

Westchnęła.

– Tak, Charles?

Przynajmniej wymieniła moje imię.

– Zbliżają się urodziny Anny.

– Wiem, kiedy ma urodziny.

– No tak. Nie sądzisz, że powinienem wrócić do domu? Znienawidzi mnie, jeśli nie wrócę z Kalifornii.

– Jeszcze nie jestem gotowa na twój powrót.

Tak, to był problem. Deanna nie była gotowa. Co do mnie, byłem bardziej niż gotowy.

– A czy nie moglibyśmy... gdybym powiedział, że wróciłem tylko na jej urodziny i znowu muszę wyjechać?

– No, nie wiem...

– Przecież to jej urodziny...

– No... możesz zostać na noc, w porządku? Ale rano masz odejść.

– Rozumiem. Świetnie. Dziękuję.

Poczułem się trochę dziwnie, dziękując żonie za to, że pozwoliła mi zostać na noc we własnym domu. Nie uważałem, że to niesprawiedliwe, tylko dziwne. Ale najważniejsze, że się zgodziła.

Kiedy stanąłem w kuchennych drzwiach z prezentem w ręce – kupiłem jej trzy płyty CD, kierując się radą sprzedawcy – Anna siedziała przy stole, chrupiąc płatki i gapiąc się jak zombi w MTV.

– Tatusi!

Normalnie lubiła kontrolować swój dziecinny entuzjazm, ale dziś najwyraźniej szczerze ucieszyła się na mój widok. Ale nie tak jak ja. Zerwała się ze stołka i rzuciła prosto w moje ramiona, a ja przywarłem do niej, jakby od tego zależało całe moje życie. I może nawet tak było.

Miałem już spytać, gdzie jest mama, gdy Deanna weszła do kuchni. Nie miałem pojęcia, co zrobić – czułem się niezręcznie, jak na randce w ciemno. Nie byłem pewien, jak ją powitać, co jej powiedzieć i przyszło mi do głowy, że ona pewnie też czuje się trochę skrępowana. Oboje zawahaliśmy się, po czym zdecydowaliśmy się na symboliczny uścisk.

– Jak było w Kalifornii? – spytała, ewidentnie zamierzając ciągnąć tę zabawę.

– Świetnie. Ale jeszcze nie koniec. Rano muszę wracać.

Anna wyraźnie się tego nie spodziewała. Natychmiast się naburmuszyła.

– Tato...

– Przepraszam, skarbie. Nie mam na to wpływu. – I tu przynajmniej mówiłem prawdę.

– Chciałam, żebyś zobaczył, jak śpiewam na wiosennym koncercie. Mam solówkę.

– No to nie przechodź na zawodowstwo przed liceum.

Dowcip padł w próżnię. Anna odwróciła się do MTV, urażona i zdenerwowana.

– Czy ktoś może mi przynieść soku? – spytała. Ręce się jej trzęsły; trzymała pilota, który dygotał jak w febrze.

– Cukier ci spada? – spytała Deanna, szybko otwierając lodówkę.

– Nie, trzęsę się, bo lubię.

Deanna rzuciła mi spojrzenie: Widzisz, przez co przechodzę. Zachowuje się coraz gorzej.

Wyjęła sok pomarańczowy i nalała Annie pół szklanki.

– Proszę.

Anna upiła mały łyk.

– Wydaje mi się, że powinnaś wypić trochę więcej – powiedziała Deanna.

– A, tak ci się wydaje? – Cała Anna, zawsze nieufna wobec sugestii, co powinna lub nie powinna robić z własnym ciałem. Nadal dygotała.

– Daj spokój, skarbie – powiedziałem.

– Nic mi nie jest.

– Właśnie, że...

– Dobrze! – Chwyciła szklanę i wymaszerowała z kuchni. – Przestaniecie się czepląc czy nie?

– Boi się – odezwała się Deanna po jej wyjściu. – Cukier skacze jej jak szalony. Kiedy się boi, wpada w złość.

– Tak. Wiem.

Dlaczego nazywam się Anna? – pytała nasza malutka córka.

Ponieważ jesteś częścią mnie, odpowiadała Deanna. De-Anna, rozumiesz?

– Muszę zająć się rachunkami – powiedziała Deanna. Co nagle mi przypomniało, że wkrótce będziemy mieć problem z zapłaceniem tych rachunków. Deanna wyszła.

Musiałem jeszcze kupić kartkę urodzinową. Ponieważ obecnie i żona, i córka gniewały się na mnie, uznałem, że to dobry moment, by pójść do sklepu papierniczego.

Kiedy wszedłem, jakaś starsza pani stała przy okienku Lotto.

– Osiem... siedemnaście... trzydzieści trzy. Sześć... – Bezgłośnie recytowana niekończąca się litania liczb. – Dziewięć... dwadzieścia dwa... jedenaście.

Poszedłem w głąb sklepu, gdzie znajdowały się kartki z życzeniami. Oczywiście nie tylko z życzeniami, także z kondolencjami i wyrazami miłości. Kartki z okazji rocznicy ślubu, pogrzebu, Walentynek, matury oraz urodzin. Stałem przed działem z tymi ostatnimi i natychmiast oszołomiła mnie mnogość kategorii: na urodziny mamy, syna, żony, teściowej, babci, najlepszego przyjaciela, kuzyna. I córki – na pewno gdzieś to znajdę. Oczywiście, ale kiedy odnalazłem tę podkategorię, musiałem się zdecydować na ton. Zabawny? Z szacunkiem? Sentymentalny? Miałem ochotę wybrać to ostatnie, ponieważ to współgrało z moim nastrojem. Kartek sentymentalnych także znalazłem zatrzęsienie. Przeważnie z kwiatami na zewnątrz i wierszykiem wewnątrz. Ale wiersze nie były sentymentalne, lecz trywialne – typu „na górze róże, na dole fiołki”.

Na przykład:

Oto wierszyk dla mojej córki

Niech się ucieszy z tej laurki.

Bądź zawsze sobą,

Największą ozdobą.

I nawet na końcu świata

Pamiętaj, że kocha cię

tata.

Trochę się bałem, że Anna zwymiotuje po przeczytaniu tego wierszyka. Ale jeśli chciałem być zarazem sentymentalny i inteligentny, miałem niewielki wybór. Znalazłem także kartki całkiem puste w środku, dzięki czemu można było okazać się inteligentnym lub sentymentalnym do woli. Te kartki na ogół miały na pierwszej stronie nastrojowe czarno-białe fotografie – powiedzmy, zaśnieżone pole w Maine lub górski strumień. Sugerowały, że głupie rymowanki są dla ciemnych mas – a te są dla osób uduchowionych. Nie mogłem się zdecydować, czy czuję się dziś uduchowiony. Więc co w końcu wybrać?

Tuż za stojakiem z kartkami znajdowały się bardziej wyrafinowane prezenty. Ceramiczne serduszka z napisem „Najlepsza mama na świecie”, piłka do golfa z napisem „Dla najlepszego taty”, słońce z napisem „Dla mojego słoneczka”. I ramki na zdjęcia.

Nie od razu to zauważyłem.

Rozglądałem się tu i tam, przeglądałem ceramiczne i plastikowe przedmioty, obejrzałem piłkę i słoneczko. Nawet zrobiłem parę kroków w stronę stojaków, zamierzając podjąć wreszcie decyzję. I dokładnie wtedy zauważyłem coś kątem oka. Właściwie nawet nie tyle zauważyłem, ile przypomniało mi się, że coś zobaczyłem.

Słoneczko, tak. I ta śmieszna piłka. I ceramiczne serduszka. Dalej. Jeszcze.

Druga ramka do zdjęć.

I trzecia też.

I trzy miniaturowe za nią. I wielkie ramiszczce ozdobione metalową kwietną girlandą.

– Czy mogę w czymś pomóc? – Głos dobiegał jakby z wielkiej odległości.

Zdjęcia w ramkach.

W fabryce wkłada się je w ramki, żeby można było ocenić, jak to będzie ładnie, gdy przyniesiemy ramki do domu i włożymy w nie własne zdjęcia. Zdjęcia ze ślubu w Nantucket. Bliźniaki jako Jaś i Małgosia na Halloween przed laty. Curry, słodki szczeniaczek. A ludziom brak niezbędnej wyobraźni. Muszą zobaczyć zastępcze twarze w ramkach, żeby wiedzieć, czego się spodziewać.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – Głos był bardziej natarczywy, ale nadal dobiegał jakby zza szklanej szyby.

Za szybką w ramce znajdowało się zdjęcie małej dziewczynki. Siedziała na huśtawce gdzieś na wsi, jasne włosy fruwały wokół twarzy. Piegi, kościste kolanka, słodki uśmiech. Wcielenie beztróskiego dzieciństwa. Tak piękne, że aż nieprawdziwe. I naprawdę

nieprawdziwe. Bo za tą dziewczynką stał oddział charakterozetek, fryzjerów i garderobianych – tyle tylko, że nie było ich tu widać.

– Przepraszam, czy wszystko w porządku?

Ja widziałem to zdjęcie.

Ja ci pokazałem, teraz ty mi pokaż.

Pamiętasz?

Zobaczyła Annę wyglądającą z mojego portfela, więc ja też chciałam zobaczyć jej dziecko.

Ja ci pokazałem, teraz ty mi pokaż.

A ona się roześmiała. Sprawilem, że śliczna Lucinda roześmiała się w głos, sięgnęła do skórzanej torebki i pokazała mi zdjęcie.

Dziewczynka na huśtawce. Gdzieś na wsi.

Urocza. Tak powiedziałem.

A ona mi podziękowała. Czasami zapominam. Dwoje rodziców, chwających nawzajem swoją progeniturę. Gadka-szmatka, nic takiego.

Zupełnie nic.

Czasami zapominam. Może faktycznie łatwo zapomnieć o czymś, czego się tak naprawdę nie ma.

Pokazała mi zdjęcie dziecka, ale to nie było jej dziecko.

– Proszę pana? Czy coś się stało?

Znowu sprzedawca. Pewnie się zastanawia, co mnie naszło.

Mogłem mu powiedzieć. Spotkała mnie zadziwiająca łaska. Byłem ślepy, a teraz widzę.

WYKOLEJONY: 33

Pomagałem Deannie zmywać talerze upačkane tortem i wielkimi kleksami topniejących lodów.

Zadawałem sobie pytanie, jak to możliwe.

Urodziny przebiegły w napiętej, niezręcznej atmosferze. Anna zaprosiła tylko jedną koleżankę, może swoją jedyną. Czułem się bardziej jak na stypie, ale myślami ciągle przebywałem gdzie indziej.

Myślałem o tym lekarzu, który spytał mnie o oczy Anny. To moim wzrokiem powinien się zainteresować. Ma pan problemy z oczami? A ja bym odpowiedział: Tak, panie doktorze, jestem ślepy. Nic nie widzę.

Ale to już przeszłość.

Moje życie zmieniło się we wrak pociągu. Jeszcze słyszałem krzyki rannych i umierających. Ale od samego początku kierowała nim Lucinda. Teraz to wiedziałem. Lucinda. I on.

Jak to możliwe?

Kłamstwo. Farsa. Oszustwo. Usiłowałem znaleźć etykietkę dla czegoś, co tak daleko odbiegało od moich doświadczeń. A Anna cierpliwie czekała, aż skończymy śpiewać *Sto lat*.

Pułapka. Podstęp. Anna otworzyła prezenty i przeczytała kartki. Na mojej było napisane: „Czy nie możesz zawsze być trzynastolatką?”.

Napad w biały dzień. Anna podziękowała nam z osobna za prezenty i nawet mnie przytuliła.

I także to: Ten mężczyzna z Penn Station.

To nie jej brat, sąsiad ani ulubiony wujek.

To następny.

Deanna i ja zdołaliśmy stworzyć udaną iluzję. Uśmiechaliśmy się, rozmawialiśmy, klaskaliśmy w dłonie, gdy Anna zdmuchnęła świece.

Ale teraz Anna i jej koleżanka wyszły do kina, a my zostaliśmy sami i w domu znowu zapadła cmentarna cisza. Tylko chlupot wody i szczerkanie talerzy i szklanek. I ten okropny wrzask w mojej głowie.

– No tak – odezwałem się, rozpaczliwie usiłując zepchnąć myśli na inny tor, jakikolwiek, a przy okazji rozproszyć tę ciszę. – I znowu minął rok.

– Tak – mruknęła Deanna bez entuzjazmu. Odłożyła ostatni talerz do zmywarki i usiadła przy kuchennym stole. I po raz pierwszy od Bóg wie kiedy zaczęła ze mną naprawdę rozmawiać.

– Jak sobie radzisz?

– Dobrze. Świetnie. – Kłamca, pomyślałem.

– Naprawdę?

– Tak. Wszystko w porządku.

– Tak sobie myślę...

– O czym?

– Kiedy śpiewaliśmy *Sto lat*. Naszej Annie.

– Tak...

– Kiedyś powiedziałeś coś takiego... O nas, o byciu rodzicami. Ciekawe, czy jeszcze pamiętasz?

– Co powiedziałem?

– Że... – zamknęła oczy, żeby przywołać moje słowa – że to tak, jakby się wkładało coś do depozytu.

– Do depozytu? Nie pamiętam.

– Anna miała trzy albo cztery lata, coś koło tego, a ty zabrałeś ją gdzieś, gdzie chciała pójść – chyba do zoo. Poszliście oboje, bo ja byłam chora. Sam chyba też nie czułeś się najlepiej – wydaje mi się, że zaraziłam się od ciebie. I chciałeś tylko zostać w domu, położyć się i przez cały dzień oglądać mecze, ale Anna weszła ci na głowę i tak długo cię męczyła, aż się poddałeś. Nie pamiętasz?

Teraz mi się przypomniało, w ogólnych zarysach. Pewna niedziela przed laty w zoo na Bronksie. Anna i ja karmiliśmy słonie.

– Tak, teraz sobie przypominam.

– Kiedy wróciliście, podziękowałam ci. Wiedziałam, że kiepsko się czujesz i naprawdę nie miałeś ochoty tam iść. To nie było nic wielkiego, ale pamiętam, że bardzo się z tego ucieszyłam.

Patrzyła na mnie, prosto w oczy, jakby szukała czegoś, co zaginęło. Miałem ochotę powiedzieć: jestem tutaj. Nigdy nie odszedłem.

– Wtedy mi coś powiedziałeś. Ze każdy dzień spędzony z Anną, każda dobra chwila w jej towarzystwie są jak depozyt. Depozyt w banku. Jeśli się do niego odłoży odpowiednio dużą sumę, jeśli skrupulatnie zbiera się ziarnko do ziarnka, Anna, kiedy dorośnie i stanie na własnych nogach, będzie bogata. Bogata we wspomnienia. Pomyślałam, że to trochę cikliwe. I bardzo mądre. Niedługo będzie trzeba jej robić dializę.

– O, nie.

Wszystkie myśli o zoo, słoniach, Lucindzie i Vasquezie znikły w ułamku chwili.

– Doktor Baron zrobił badania. Jej nerki przestają pracować – jedna ledwie ciągnie. Naszą córkę wkrótce trzeba będzie trzy razy na tydzień podłączać do maszynerii, żeby mogła żyć. Tak powiedział.

– Kiedy?

– Co za różnica? Tak będzie i tyle.

I zaczęła płakać.

Niedawno myślałem, że Deanna wypłakała wszystkie łzy. Ale zmieniłem zdanie – tamtego dnia na podwórku.

– Chyba miałeś rację.

– Co... jak to?

– Chyba dobrze się spisaliśmy. Daliśmy jej ładne konto. Nie zapomnieliśmy do niego dokładać. Nigdy. Ani przez chwilę.

Poczułem pod oczami coś pięknego, coś gorącego i mokrego spływało mi po policzkach.

– Przepraszam – ciągnęła Deanna. – Sądziłam, że nie przymykam oczu na to, co mnie czeka. A jednak to zrobiłam. Bo nie pozwoliłam ci mówić. Nie chciałam tego słyszeć. Przepraszam. Bardzo przepraszam. Teraz wiem, że tak się nie robi.

– Deanno...

– Powinniśmy o tym rozmawiać. Powinniśmy mówić o tym, jaką mamy wspaniałą córkę – dopóki ją mamy. To bardzo ważne.

I w jakiś czarodziejski i niewytłumaczalny sposób skończyło się na tym, że chwyciłem ją w ramiona.

Kiedy przestaliśmy płakać, kiedy wreszcie się rozłączyliśmy i usiedliśmy naprzeciwko siebie, trzymając się za ręce i patrząc w czarną jak atrament noc za oknem, pomyślałem że Deanna chce mnie poprosić, bym wrócił do domu. Niemal widziałem, jak wypowiada te słowa.

Umyślnie zburzyłem nastrój. Wstałem i powiedziałem, że muszę wracać do Forest Hills.

Nie mogłem wrócić do domu. Nie teraz. Jeszcze nie.

Właśnie coś zrozumiałem. Z kryształową jasnością.

Musiałem dokończyć pewną sprawę.

Straciłem pracę, owszem. Ale właśnie znalazłem nowe zajęcie. Jeszcze ważniejsze.

Musiałem odzyskać ten drugi depozyt Anny.

W jakiś sposób musiałem odnaleźć tamtych.

I wydrzeć im pieniądze.

WYKOLEJONY: 34

Nóg Lucindy nie sposób było nie zauważyć.

Wtedy w kolejce także je dostrzegłem.

I dostrzegłem je teraz, gdy ujrzałem je w porannym tłumie na Penn Station. Kroczące w morzu dżinsu, serży i angielskiej wełny – smukłe, seksowne, mogące należeć tylko do niej.

Ona i ten mężczyzna.

Czekałem na nich od wielu dni. Codziennie rano wsiadałem w pociąg o 5.30 do Penn. Lokowałem się mniej więcej w tym samym miejscu co wtedy. Sumiennie pełniłem wartę. Kiedy poranny tłum się rozpraszał, a tamci się nie pojawiali, przemierzałem stację od końca do końca.

I tak dzień po dniu.

Powtarzałem sobie, że to jedyna szansa. Trzymałem kciuki i się modliłem.

Ale teraz, kiedy ich zobaczyłem, nie potrafiłem na nich patrzeć.

Czułem się obnażony, bezbronny i przerażony.

Na przykład, kiedy patrzyłem na tamtego mężczyznę, widziałem siebie. Kiedyś na wieczorze kawalerskim kolegi z pracy odwróciłem się od młodej ponętnej striptizerki w złotych stringach na tyle, żeby zobaczyć twarze innych i pomyślałem z nagłą odrazą: wyglądam jak oni.

Ten mężczyzna był ewidentnie zauroczony Lucindą – czy jak tam się nazywała. Ciągłe łapał ją za rękę i zaglądał miłośnie w oczy.

Nie myliłem się. Manipulowała nim tak jak mną. Był następny.

Żaloszny, pomyślałem. Litość bierze.

Dokładnie taki jak ja.

Gdy w sklepie zobaczyłem ramki ze zdjęciem, zadałem sobie pytanie, co jest we mnie takiego, że doskonale nadawałem się na ofiarę. Ale nie rozmyślałem długo. Znałem odpowiedź. W zimnym świetle dnia widać było z daleka, że aż się o to proszę. O cokolwiek. Cokolwiek, co mnie uratuje przed samym sobą.

Mnóstwo czasu spędziłem, analizując chwile spędzone z nią, moją wybawicielką. Ale teraz zobaczyłem je w nieco innym świetle. Przewijałem je do przodu i do tyłu; w czasach przed montażem komputerowym tak samo przewijałem celuloidowe taśmy, aż zaczynały się wycierać i pękać. Musiałem je sklejać, aż wreszcie zarejestrowane obrazy pękały i niemal się rozpadały. Weźmy na przykład to pierwsze spotkanie z Lucindą. Proszę, ja się tym zajmę, powiedziała słodko owego dnia, ale gdy przyjrzałem się jej twarzy dokładniej, dojrzałem przecinające brzydkie pęknięcia, gdy podawała banknot wkurzonemu konduktorowi.

Tamtego dnia to ona mnie wybrała.

Lucinda i tamten podeszli do stoiska, w którym sprzedawano niskotłuszczowe brzoskwiniowe babeczki i puszyste bajgle. Mężczyzna zamówił kawę i stanęli obok siebie przy wysokim stoliku. Czasami para znad kubków przesłaniała ich twarze.

Starałem się stać tyłem do nich. Przeglądałem gazety na stojakach przed kioskiem i oglądałem się przez ramię. Niepokoiłem się, że mnie zauważą, ale nie aż tak, jak powinienem.

Zmieniłem się.

Zmiana dokonywała się stopniowo, krok po kroku. Schudłem. W miarę jak moje życie rozpadało się na kawałki, mój apetyt słabł, zanikał, umierał. Ubrania zaczęły na mnie wisieć. Kiedy Barry Lenge wymierzył mi ostateczny cios i zesłał w szeregi bezrobotnych, przestałem się także golić. Bródka zmieniła się w prawdziwą brodę. Parę dni temu spojrzałem w lustro w łazience i zobaczyłem twarz taką, jakie się widuje w filmach o zakładnikach. Jakiś wynędzniały funkcjonariusz zagranicznego rządu, który wyszedł na wolność po miesiącach niewoli. Tak właśnie wyglądałem.

Z tym że ja nie wyszedłem na wolność.

Nieustannie miałem ich na oku.

Z trudem mogłem na nich patrzeć, nie mogąc podejść. Bo teraz, oprócz tego, że się bałem i czułem się bezbronny, zaczął we mnie wzbierać gniew. Bulgotał jak lawa. To był gniew, który aż do tej pory rezerwowałem wyłącznie dla Boga – bo czasami w niego wierzyłem, a czasami nie – w związku z chorobą Anny. To był gniew, od którego pięści mi się zaciskały i widziałem, jak młóć nimi twarz Vasqueza. I jej.

To była moja mantra. Moja misja.

Ona mnie do niego doprowadzi.

Podejrzywałem, że Lucinda nie jest już maklerką.

Podслуchałem, o czym rozmawiała z tamtym mężczyzną na Penn Station w środę rano. Mężczyzna wspomniał coś o pakiecie sprzedanym pewnemu klientowi, co oznaczało, że to on był maklerem, a nie Lucinda. A to dlatego, że maklerzy się znają i mogliby na przykład spytać kolegów z innych domów maklerskich o Lucinę, która oczywiście nie istnieje. Nie, Lucinda najwyraźniej zyskała ostatnio nowy fach. Może była prawniczką, agentką ubezpieczeniową, klaunem w cyrku. No i oczywiście nie nazywała się Lucinda.

Za to dowiedziałem się, jak się nazywa facet, którego zamierzała obrobić. Wiedziałem to, ponieważ kiedy pili kawę, zbliżył się do nich inny facet i powiedział: „Sam? Sam Griffen! Jak leci?”.

Niedobrze. Pan Griffen zbladł – jego twarz przybrała kolor mydła, a Lucinda odwróciła się i spojrzała na cennik na ścianie.

Gdy pan Griffen odzyskał głos, zdołał powiedzieć: „Świetnie”.

A Lucinda wstała i odeszła z kubkiem kawy – obca kobieta w drodze do metra. Griffen siedział i rozmawiał przez pięć minut z nieproszonym gościem. Kiedy natręt wreszcie sobie

poszedł, Griffen westchnął i otarł twarz brudną serwetką.

Denerwowało mnie, że stoję tak blisko ofiary, nie będąc w stanie nic zrobić. To tak, jakbym stał koło dziecka, które nie widzi nadjeżdżającego samochodu i nie mógł go ostrzec. Przyglądałem się tej strasznej sytuacji jakby w zwolnionym tempie. Niczym podglądacz najgorszego rodzaju.

Raz myślałem, że mnie zobaczyła.

Pewnego ranka poszedłem za nimi do kawiarni w północnej części Chinatown.

Usiedli przy oknie. Zobaczyłem, że Sam Griffen sięga po rękę Lucindy, a ona nie protestuje.

Mimo woli przypomniałem sobie, jak ta dłoń spoczywała w mojej ręce. Tylko przez chwilę. Przypomniałem sobie, co ta dłoń robiła, jaką rozkosz wyczarowała dla mnie tamtego dnia w hotelu Fairfax. Jakbym otworzył chińskie pudełko i znalazł w nim następne, otworzył je i znalazł kolejne następne, a każde mniejsze od poprzedniego, i otwierał je coraz szybciej, aż do końca, a potem zostałem zdyszany, nie mogąc złapać tchu.

Nadal usiłowałem go odzyskać, wciąż zagubiony w wizjach tamtych nielegalnych rozkoszy, kiedy wyszli z kawiarni. Musiałem się odwrócić i przebiec na drugą stronę ulicy. Wstrzymałem oddech, policzyłem do dziesięciu i powoli odwróciłem się, ściskając kciuki, żeby sprawdzić, czy mnie dostrzegła.

Nie. Pojechali dokądś taksówką.

Wtedy mi się zgubili.

Dzień.

Dwa.

Trzy.

Tydzień.

Nigdzie ani śladu Lucindy. Ani pana Griffena.

Przezesywałem Penn Station od końca do końca, przyjeżdżałem wcześniej, zostawałem do późna. I nic.

Zacząłem panikować, myślałem, że może już się to stało. Ze już zabrała pana Griffena na spotkanie w hotelu i Vasquez ich zaskoczył. Odebrał im portfele i spytał pana Griffena, czemu zdradza żonę. Może nawet zdążył zadzwonić do domu pana Griffena i wyraził potrzebę zaciągnięcia pożyczki. Tylko dziesięć tysięcy, to wszystko, i będzie miał go z głowy.

Zaczął się następny tydzień, a ja ciągle nie mogłem ich znaleźć. Byłem gotowy się poddać. I przyznać, że czterdziestopięcioletni były dyrektor kreatywny nie ma powodu liczyć na wygraną. Że byłem w beznadziejnie obcym żywiole.

Już miałem rzucić ręcznik.

I raptem coś sobie przypomniałem.

WYKOLEJONY: 35

– Tak – powiedział recepcjonista. – To na jak długo?

To był ten sam, który w listopadzie dał mi klucz do pokoju 1207, gdy stanąłem przed nim z Lucindą uwieszoną mojego ramienia.

Znowu byłem w hotelu Fairfax, a recepcjonista pytał, na jak długo chcę wynająć pokój numer 1207.

Dobre pytanie.

– Ile kosztują dwa tygodnie?

– Pięćset dwadzieścia osiem dolarów.

– Dobrze. – Na razie nadal dostawałem pensję. A pięćset dwadzieścia osiem dolarów to w Nowym Jorku okazja, nawet jeśli dywan zaplamiony jest krwią, a materac cuchnie seksem.

Zapłaciłem gotówką i dostałem klucz. Na wygniecionej sofie, jedynym prawdziwym meblu w hotelu, leżała sterta starych gazet. Zatrzymałem się, żeby je przejrzeć: „Sports Illustrated” z zeszłego roku, „Popular Mechanics”, dwa numery „Ebony” i stary „U.S. News & World Report”. Wziąłem „Sports Illustrated”.

W windzie jechałem z mężczyzną w kurtce z logo uniwersytetu z Oklahomy. I faktycznie wyglądał na mieszkańca Oklahomy. Miał ten lekko zdziwiony wygląd turysty, który nabrał się na zdjęcie na broszurze – zdjęcie, które zrobiono w roku 1955, gdy Fairfax jeszcze nie podupadł. Zapewne zdążył już też zagrać w trzy karty i kupić autentycznego roleksa od ulicznego sprzedawcy. Pewnie chciał wracać do domu.

Tak jak ja.

Ale ja nie mogłem. Miałem zadanie do wykonania.

Przez chwilę, kiedy otwierałem drzwi i manewrowałem kluczem w nieco opierającym się zamku, nie mogłem opanować zeszywniałych mięśni. Czekałem, aż ktoś mnie wepchnie do pokoju. Oczywiście nikt się nie zjawił, ale mimo to, gdy znalazłem się w pokoju i zamknąłem drzwi, z piersi wydarło mi się westchnienie ulgi.

Pokój wyglądał na trochę mniejszy niż wtedy, jakby moja wyobraźnia dodała mu

rozmiarów odpowiadających wypadkom, które tu zaszły. Ale to był zwyczajny pokój w ciasnym hoteliku, w sam raz odpowiedni do tego, żeby dwie osoby musiały się do siebie przytulić. W takim pokoju dwoje to towarzystwo, troje – katastrofa – tak jak wtedy, kiedy siedziałem na tym strasznym miejscu w pierwszym rzędzie.

Położyłem się na łóżku, nie zdejmując butów, i zamknąłem oczy. Tylko na parę minut. Kiedy się obudziłem, było prawie zupełnie ciemno.

Przez parę sekund nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Nie w domu, w łóżku? Deanna nie leży obok ani nie kręci się po kuchni, przygotowując coś pysznego na obiad? A Anna nie plotkuje z kimś tam przez Internet w swoim pokoju, z zeszytem rozłożonym na kolanach jako zmyłka dla mnie?

W pokoju unosił się ciężki odór, nawet cięższy niż w moim wynajętym mieszkaniu; materac wydawał się jednocześnie twardy i wyboisty; upiorne sylwety obcego krzesła i stolika majaczyły u stóp łóżka. I wreszcie ten widok obudził mnie brutalnie jak zbyt głośno nastawiony budzik – jęknąłem, skrzywiłem się i rozejrzałem bezradnie, by wcisnąć nieistniejący guzik.

Wstałem, poszedłem do łazienki i ochlapałem twarz zimną wodą. Ciało mnie mrowiło, w ustach czułem suchość i nieprzyjemny smak. Spojrzałem na zegarek: dwadzieścia pięć po siódmej.

Przespałem cały dzień. Wracając do łóżka, spojrzałem na leżącą na podłodze gazetę, którą zabrałem z holu.

Zobaczyłem datę.

Ósmy listopada.

Na tydzień przed tym porankiem, kiedy wsiadłem w pociąg o 9.05 i mój świat rozpadł się na kawałki.

WYKOLEJONY: 36

Siedziałem na zapadniętej kanapie w holu.

Na oczy miałem nasuniętą czapkę baseballową.

Przeglądałem się przechodniom niczym superczujny policjant na skrzyżowaniu.

To na jak długo? – spytał recepcjonista, kiedy wynajmowałem pokój.

Raczej: po co?

Tego dnia, kiedy wyszliśmy z Penn Station i wsiedliśmy do taksówki, tego dnia, kiedy się wreszcie zgodziła. Kiedy mnie spytała: gdzie?

Posłusznie wybrałem hotel, wyglądając przez okno przejeżdżającej taksówki.

A może jednak nie.

Teraz wydało mi się, że pokazałem jej jeden, ale powiedziała „nie”, potem pokazałem drugi, który też się jej nie spodobał i wreszcie, kiedy dojechaliśmy prawie do jej pracy, pokazałem Fairfax, a ona się zgodziła.

Więc może to ona go wybrała.

Ten hotel, w którym spotkaliśmy niewłaściwą osobę o niewłaściwej porze. Ale to nie tak. To oni zastawili pułapkę, a ja się w nią władowałem.

I znowu wróciło moje przeczucie. Ta myśl, która nawiedziła mnie, kiedy stałem bezradny i rozgorączkowany na Penn Station.

Ona nie ma najmniejszego powodu, by podejrzewać, że przejrzałem już Vasqueza. Kiedy ostatnio mnie widziała, uciekałem na złamanie karku po schodach w hiszpańskim Harlemie.

Nie musieli zmienić adresu.

Tylko ofiarę.

Uwolni pana Griffena od większości jego gotówki i całej godności, i całkiem możliwe, że wszystko odbędzie się w tym samym miejscu, w którym zrobili to mnie.

Więc siedziałem na sofie w holu.

I czekałem.

Miałem sen.

Znowu byłem w tym pociągu 9.05 do Penn Station.

Znowu przeszukiwałem kieszenie, ponieważ konduktor stał mi nad głową i skrzypiał o pieniądze.

Sto tysięcy, powiedział.

Co tak dużo? – zdziwiłem się.

Podwyżka.

Kiedy Lucinda zaproponowała, że za mnie zapłaci, odmówiłem.

Przedarłem się przez oba egzemplarze „Ebony”.

Cierpliwości, powtarzałem sobie, kiedy kolejny poranek mijał bez rewelacji. Cierpliwości. W końcu Lucinda okazała mi mnóstwo cierpliwości. Te przyjacielskie obiady i romantyczne kolacyjki, które musiała znieść, żeby mnie zaciągnąć do tego pokoju. Skoro ona potrafiła, to i ja.

Dzięki „Popular Mechanics” nabyłem podstawy wiedzy o dopływie gorącej wody. Który klucz jest najbardziej uniwersalny. Jak kłaść terakotę. Nauka układania dachówek w weekend.

Pewnego popołudnia zadzwoniłem do Barry’ego Lenge, żeby sprawdzić, jak postępuje dochodzenie. Chciałem odzyskać kontakt z prawdziwym światem – czy nie tak żołnierze z Wietnamu nazywali ten świat istniejący poza frontem? Bo ja właśnie byłem na froncie – pełniłem straż, żeby nie dopuścić do inwazji nieprzyjacielskich wojsk.

Żargon wojskowy był jak najbardziej na miejscu. Codziennie przechodziłem wojskową zaprawę. Przysiady, pompki, bieg w miejscu, ćwiczenia brzucha – jak w wojsku. Kiedy następnym razem Vasquez powie „Grzeczny chłopiec”, może zdołam mu pokazać, jaki jestem grzeczny.

Było coś jeszcze. Nadal miałem broń Winstona. Trzymałem ją w pokoju numer 1207, owiniętą w ręcznik i ukrytą za kaloryferem w łazience.

A w prawdziwym świecie było tak:

Barry Lenge odebrał telefon i powiedział, że dzwonię bez sensu. Dochodzenie nadal trwa. Ale sprawy nie wyglądają dla mnie dobrze. Powinienem być skorzystać z jego oferty, to pewne. Wkrótce się do mnie odezwie.

Podziękowałem mu za poświęcony mi czas.

Potem sprawdziłem, czy nikt nie dzwonił na moją komórkę. W poczcie głosowej była wiadomość od Deanny.

Dzwonił do ciebie detektyw Palumbo. Powiedział, że to ważne. Powiedziałam, że wyjechałeś z miasta.

Mój czas się kończył.

Wiedziałem o tym. Mój i Sama Griffena. Jeśli jego już nie dobiegł końca.

Był piątkowy poranek.

Przeglądałem nieaktualny „U.S. News & World Report”.

Recepcjonista od czasu do czasu obrzucał mnie spojrzeniem, boy hotelowy też, obrzucali mnie spojrzeniem do stóp do głów, ciągle bez słowa.

Bo to był taki hotel. Ludzie, którzy tu mieszkali, nie mieli dokąd pójść, zresztą, nikt od nich tego nie wymagał. Można było spokojnie się tu wałęsać, siedzieć przez cały dzień na sofie i czytać stare gazety, ile dusza zapagnie.

„Gore jest pewien ostatecznego zwycięstwa”, zaraportowała gazeta ze śmiertelną powagą.

Kiedy znowu podniosłem głowę, boy się rozdziwił. W godzinach szczytu miał pomocnika, czarnego mężczyznę w podobnym zielonym uniformie. Teraz ten mężczyzna opierał się o kontuar i rozmawiał.

Zostawiłem komórkę w pokoju, a chciałem zadzwonić do Anny. Wstałem i poszedłem do windy. Boy skinął mi głową, czarny pomocnik, który z nim rozmawiał, przerwał na chwilę, odwrócił się i podjął rozmowę.

Wydawało mi się, że go znam. Musiałem go widzieć tego dnia przed wieloma miesiącami, gdy wsiadłem z Lucindą do tej samej windy. Drzwi windy się otworzyły; wszedłem i wcisnąłem guzik z dwunastką. Wsiadłem na swoim piętrze, podśpiewując pod nosem piosenkę, której słów nie potrafiłem sobie przypomnieć. Otworzyłem pokój i wszedłem do środka. I dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że się myliłem, że tamtego dnia wcale go nie widziałem.

Wróciłem do windy i wcisnąłem guzik na parter.

Czarny mężczyzna nadal coś głądził – stał do mnie tyłem, więc nie mogłem się zorientować, czy miałem rację.

Mówią do ciebie „Chuck”?

Okrążyłem kontuar recepcji, przez cały czas zerkając spod oka, wstrzymując oddech, gdy twarz mężczyzny powoli stawała się coraz bardziej widoczna, sierp zmieniający się w pełen półksiężyc, rysy zaczynające się wypełniać.

Jakbyś był stąd, toby mówili.

Pamiętasz? Tego dnia na rogu, zaraz... Ósmej i Alei C? Czekałem w Alphabet City na Vasqueza, ale to nie Vasquez do mnie podszedł.

Co się tu płaczesz?

Już trzy czwarte twarzy, a mnie oblał pot i dostałem zawrotów głowy.

To był on.

Tak.

Czarny mężczyzna, który przyparł mnie do muru w zaułku cuchnącym krwią i pomadą do włosów.

Szybko odwróciłem głowę w stronę recepcjonisty, który spojrzał na mnie, jakby czekał na pytanie. Pytanie brzmiało: Czy Charles jest mądry? O, bardzo mądry – a przynajmniej mądrzejszy niż siedem miesięcy temu.

Choć i ślepej kurze trafi się kiedyś ziarnko.

W końcu przynajmniej raz wiedziałem więcej od nich.

Zrozumiałem, jak to zrobili.

Zrozumiałem, gdzie zrobią to znowu.

WYKOLEJONY: 37

W Vision Hut na Czterdziestej Ósmej kupiłem ciemne okulary. Byłem całkowicie pewien, że czarnoskóry mężczyzna mnie nie rozpoznał, nie skojarzył tego brodatego wychudzonego człowieka w holu z tym, którego zaprowadził w zaułek w Alphabet City.

A jednak nie zawadzi się zabezpieczyć.

Do siódmej rano zdążyłem zrobić pięćdziesiąt dwie pompki i siedemdziesiąt pięć brzuszaków.

Zszedłem na dół, podszedłem do stanowiska boya i przywitałem się.

– Dobry – odpowiedział boy.

– Nie za dużo dziś ludzi, co?

– Nie.

Tu skończyły mi się tematy do rozmowy.

– Jak długo tu pan pracuje?

Dobre wychowanie nakazuje pytać rozmówcę o jego życie.

Boy spojrział na mnie podejrzliwie. Miał jakieś czterdzieści do czterdziestu pięciu lat, a tłuste włosy uklepał w czub, który wyszedł z mody czterdzieści lat temu.

– Trochę.

– Ma pan wolne?

– Bo co?

– Słucham?

– O co chodzi?

– Nie wiem. Chcę porozmawiać. – A przynajmniej usiłowałem do tego doprowadzić.

– Aha, już rozumiem.

– Hm?

– Konkretnie czego pan szuka? Czarnej, białej, Latynoski?

– Słucham?

– To mam załatwić tę dziewczynę czy nie?

Zaczerwieniłem się.

– Nie. Ja tylko... chciałem porozmawiać.

– A. No fajnie.

W tym hotelu boy miał widać więcej obowiązków niż noszenie bagaży.

– Tylko pan jest tu boyem? – spytałem, usiłując naprowadzić rozmowę na potrzebny mi temat.

– Bo co?

– Zastanawiałem się, czy ma pan...

– Czego pan chcesz? – zdenerwował się wreszcie. – Jak chodzi o Dextera, to czep się pan jego, dobra?

Dexter. Tak miał na imię. Dexter.

– Kiedy pracuje ten Dexter?

Wzruszył ramionami.

– W środy i piątki.

– O.

– Trzeba gdzieś przenieść bagaż?

– Bagaż? Nie.

– Aha. No więc ja tu jestem głównym boyem. Jak trzeba będzie gdzieś przenieść bagaż...

Chodziło mu o to, żebym się wreszcie zamknął. Wróciłem na sofę, gdzie przesiadziałem jakieś pół godziny, może do obiadu.

Parę dni później wróciłem o siódmej z kawą z przebieżki, a za kontuarem stał Dexter.

Usiadłem na sofie w holu i drżącą ręką zdjąłem przykrywkę z kubka.

Bąłem się, że Dexter mnie rozpozna i znowu wrócił tamten dawny strach; może i wyglądałem niebezpiecznie w za dużych ciemnych okularach, ale pozory mylą. Na przykład czytający gazetę Dexter w bladozielonym uniformie wyglądał mniej więcej nieszkodliwie. Jak facet, który mógłby nawet pomóc zanieść walizki na górę, jeśli się go ładnie poprosi. Zupełnie nie sprawiał wrażenia gościa, który potrafi rzucić tobą o mur w zaułku i śmiać się, kiedy dostaniesz pięścią w żołądek.

Znowu poczułem słaby ból, cień tamtego ciosu w splot słoneczny. Może ciało usiłowało mnie w ten sposób ostrzec. Co robisz, Charles? – pytało moje ciało. Nie pamiętasz, jak to bolało? Płakałeś. Nie mogłeś złapać oddechu, pamiętasz?

Bardzo dobrze pamiętałem.

Ręce trzęsły mi się z innego powodu.

Środy i piątki, powiedział boy, kiedy spytałem go o dni pracy Dextera.

Ale dziś był wtorek.

WYKOLEJONY: 38

Wyjąłem broń zza kaloryfera – była rozgrzana. Chciałem się tylko upewnić, że ciągle tam jest, że nie znikła, nie wpadła w dziurę w ścianie, nie ukradła jej pokojówka.

Ująłem ją jak różaniec – coś, co mogłoby zagwarantować spełnienie mojego najbardziej upragnionego marzenia.

I włożyłem z powrotem za kaloryfer.

Wyszedłem z windy; Dexter siedział na swoim miejscu, z głową opartą na rękach. Wydawało mi się, że czyta fitnessowy magazyn dla pań.

Powoli podszedłem do recepcji i zacząłem przeglądać stertę starych broszur reklamowych.

W holu było dziś bardzo cicho. Jakaś para czekała chyba na taksówkę; co parę minut mężczyzna wyglądał na zewnątrz i oznajmiał, że na razie taksówki nie ma. Jego żona kiwała głową i mówiła, że się spóźni. Mężczyzna odpowiadał: „Co ty powiesz?”. Dwie minuty później znowu ogłaszał, że taksówki nie ma i zaczynało się od nowa.

Mężczyzna w kurtce z logo uniwersytetu w Oklahomie skarżył się recepcjoniście, że w jego pokoju nie ma Biblii króla Jakuba.

– To ma być żart? – poinformował się recepcjonista.

Jakiś starszy pan stał zgarbiony nad balkonikiem, na lewo od wind. Może właściwie szedł, ale zbyt wolno, żeby ludzki wzrok mógł to zarejestrować.

Byłem zadowolony, że mam towarzystwo. Trudno było sobie wyobrazić, że coś naprawdę złego może cię spotkać w obecności dziadka z balkonikiem i kogoś, kto narzeka na brak Biblii w pokoju.

Dexter spojrzał mi prosto w oczy i spytał, czy mam zegarek.

– Ósma – powiedziałem.

I cały zeszywniałem, czekając, czy mnie rozpozna.

Zaraz, zaraz, ja cię znam – co tu, kurwa, robisz?

Ale Dexter wrócił do magazynu.

Oprócz choroby nóg staruszek cierpiał chyba na rozedmę – przy każdym mikroskopijnym szurnięciu nóg zipał, charczał i rzeził.

Kobieta na dziesięciocentymetrowych szpilkach – ta nie miała żadnego problemu z chodzeniem – wpłynęła do holu z niskim tłustym człowieczkiem w kiepskim garniturze. Minęła recepcję, w ogóle się nie zatrzymując; po drodze zgarnęła klucz, który recepcjonista

położył na kontuarze.

– Chodź, skarbie – powiedziała do tłuscioszka. – Chodź.

Tłuscioszek szedł ze wzrokiem wbitym w wytartą wykładzinę. Nie podniósł głowy, dopóki nie uratowała go nadjeżdżająca winda.

Dwie młode pary weszły z bagażem i spytały, ile kosztuje wynajęcie pokoju. Ale obie kobiety – właściwie dziewczyny – przez cały czas wodziły wokół wzrokiem pełnym oczywistego niesmaku. Przyjrzały się starszemu, jakby paradował nago. Ja też im się chyba nie spodobałem.

Zaczęły szeptać z chłopakami, którzy wyraźnie zamierzali tu zostać – cena jest dobra, no nie? Ale kobiety zwyciężyły – chłopcy wzruszyli ramionami, podziękowali i cała czwórka wyszła.

– Za miesiąc... mam... urodziny... – powiedział dziadek z balkonikiem.

Przyczłapał prosto do mnie. Przypomniałem sobie zabawę z dzieciństwa. Nazywała się czerwone światło, zielone światło, a polegała na tym, żeby zakraść się jak najbliżej kogoś, kto nas nie widzi. Kryjący musiał zamknąć oczy i powiedzieć: czerwone światło, zielone światło, raz, dwa, trzy, po czym szybko się odwrócić i złapać kolegów, którzy się zbliżali. Wcale mnie to nie bawiło. Nawet było dość upiorne – widziałem kogoś o pięć metrów od siebie, potem się odwracałem i nagle tamci byli o dwa kroki ode mnie. Dokładnie tak samo było z tym dziadkiem, który wyglądał, jakby zastygł w jednym miejscu, ale raptem znalazł się tuż przy mnie.

– Wszystkiego najlepszego – mruknąłem.

– Mieszkam tu... od... dwudziestu lat – wyjaśnił starszek między zipnięciami.

Podejrzewałem, że właśnie wtedy hotel zaczął podupadać.

– Cóż, życzę szczęścia.

Na ogół trudno mi rozmawiać ze starymi ludźmi. Uciekam się do gestykulacji i prostego słownictwa, jakby byli cudzoziemcami. Ale tego ranka wolałem rozmawiać z kimkolwiek niż nie rozmawiać. A to dlatego, że dręczył mnie straszny lęk dwojakiego rodzaju. Jeden – że Lucinda, Vasquez i Dexter już okradli i pobili pana Griffena. Drugi – że jeszcze nie.

– Dziękuję – wychrypiał starszek.

Chciało mi się do ubikacji. Nerwy. I to już od godziny, ale powtarzałem sobie, że nie mogę porzucić posterunku. Teraz już musiałem. Odszedłem do windy i wcisnąłem guzik.

Drzwi otworzyły się z głośnym westchnieniem. Wszedłem i przycisnąłem guzik z dwunastką. Przebierałem nogami: szybciej... szybciej... usiłując siłą woli zmusić drzwi do zamknięcia. W końcu drgnęły, hol zaczął się stopniowo zawężać, centymetr po centymetrze, aż został tylko wąziutki paseczek. Miał może dwadzieścia centymetrów szerokości, nie więcej.

Ale to wystarczyło, żebym zobaczył wchodzącą Lucindę z Samem Griffenem.

WYKOLEJONY: 39

Po to tu przyszedłem.

Choć miałem ochotę krzyknąć: nie, nie dzisiaj!

Choć nie byłem gotowy.

A jednak dojechałem na dwunaste piętro i udało mi się nie zemdleć. Na razie wszystko pięknie. Poszedłem do pokoju i nikt mnie nie napadł. Szło mi jak po maśle. Zacząłem krążyć po pokoju, w kółko, w kółko, jak te wielkie koty w zoo. Problem tylko w tym, że byłem takim lwem jak ten z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, który chciał dostać odwagę.

Jestem odważny, może nie? Na pewno jestem. Moja odwaga kryła się za grzejnikiem w łazience, zawinięta w ręcznik. Przyniosłem ją i rozwinąłem.

Spojrzałem w lustro i zobaczyłem ślepcę. Ślepcę z bronią.

Znowu wyszedłem, ale tym razem ruszyłem na dół wyjściem awaryjnym – ciemnym, gdzie nikt mnie nie rozpozna. Broń ukryłem w kieszeni.

Wzdłuż schodów ze ścian zwisały paski, chyba azbestowe; w ciemnych kątach podestów kręciły się szczury. Dotarłem na parter, uchyliłem drzwi i przyłożyłem oko do szpary. Ale nie było na co patrzeć. Lucinda i Sam zniknęli.

Wszedłem do holu. Dexter ciągle siedział na swoim miejscu, ale tak, jakby dopiero wrócił. Może dlatego, że wyglądał na zdenerwowanego. Może martwił się o swój udział.

Podszedłem do recepcjonisty, choć nogi się pode mną uginały.

– Przepraszam – odezwałem się. – Mogę o coś spytać?

– No?

– Ta kobieta, która tu przyszła...

– Tak? Jaka kobieta?

– Ta, która weszła z mężczyzną. Przed chwilą. Ciemne włosy. Bardzo ładna. Chyba ją znam.

– Więc?

– Jestem ciekaw, czy to ona. Jak się nazywa?

Spojrzał na mnie tak, jakbym poprosił o numer telefonu jego żony albo o dokładne wymiary jego fiuta.

– Tej informacji nie mogę panu podać – oświadczył kwaśno.

– Świetnie. Proszę mi tylko podać numer jej pokoju, to do niej zadzwonię.

– Najpierw musi mi pan podać jej imię.

– Lucinda.

Sprawdził w księdze gości.

– Nie.

– A ten mężczyzna? Sam Griffen.

– Nie.

Przez chwilę chciałem mu powiedzieć, żeby sprawdził jeszcze raz, a gdyby się upierał przy swoim, zarzucić mu kłamstwo. Przecież to Sam Griffen, jestem tego całkiem pewny. Potem zdałem sobie sprawę, że to nie recepcjonista jest winny kłamstwa.

Sam Griffen nie zameldowałby się pod prawdziwym nazwiskiem.

– Nieważne – powiedziałem. Podeszedłem do szklanych drzwi i spojrzałem na zalany słońcem chodnik.

Tak to robią, pomyślałem. Dexter z góry zna numer pokoju.

Lucinda wybiera hotel. Potem powiadamia Vasqueza kiedy, a Dexter mówi mu gdzie. Numer pokoju. Żeby Vasquez mógł się na nich zacząć na korytarzu. Dexter pewnie dostaje swoją dolę – od każdego numeru. Dexter pracuje w środy i piątki, ale czasami i we wtorki. Jeśli tak mu każe Vasquez.

Wróciłem do kontuaru. Dexter ciągle czytał gazetę przy swoim stoliku.

Musiałem zdobyć numer tego pokoju.

– Przepraszam.

– Tak?

Pochyliłem się i wyszeptałem:

– Ta kobieta, o którą wcześniej pytałem... to moja żona.

– Co?

– Czekalem, żeby sprawdzić, czy tu przyjdzie. Rozumie pan?

O tak, rozumiał. Był recepcjonistą w hotelu, więc rozumiał to doskonale. Ale ciągle nie współpracował.

– Nie mogę podać panu numeru pokoju.

– A za sto dolarów?

Ale choć się zawahał, oblizał dolną wargę i popatrzył wkoło, jakby sprawdzając, czy

nie ma świadków, jednak odmówił.

W portfelu miałem coś koło dwustu osiemdziesięciu dolarów.

– Dwieście osiemdziesiąt – wyszeptalem, a kiedy nadal nic nie mówił: – I nikomu nie powiem, kto tu robi za alfonsa.

Recepcjonista hotelu Fairfax poczerwieniał. Otworzył usta. Zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów. Czy ten człowiek może narobić prawdziwych kłopotów?

– Dobrze – szepnął.

– Za dwieście osiemdziesiąt dolarów mógłbym dostać też klucz.

A recepcjonista powiedział:

– Pokój osiemset siedem.

A kiedy przesunąłem ku niemu po kontuarze pieniądze, on przesunął ku mnie klucz.

WYKOLEJONY: 40

Znowu zacząłem wchodzić po schodach.

Ale tym razem nie byłem sam.

Choć nie od razu się zorientowałem. Za bardzo skupiłem się na samym procesie wchodzenia. Na stawianiu jednej nogi za drugą i bardzo wyteżonym oddychaniu. Pomyślałem, że rżęzę jak ten staruszek z holu – jak ktoś jedną nogą jest już w grobie.

Potem usłyszałem kogoś jeszcze.

Był co najmniej parę pięter nade mną może pijany, bo ciągle się potykał i od czasu do czasu klął pod nosem.

Po hiszpańsku.

Lucinda i pan Griffen są już pewnie w pokoju, pomyślałam. Lucinda rozbiera się wstydliwie. Odwrócona tyłem do pana Griffena zdejmuje sukienkę i pończochy. A pan Griffen dziękuje dobremu Bogu.

Vasquez? On pewnie już się zaczął naprzeciwko ich pokoju.

Wyjąłem broń z kieszeni, parę razy odetchnąłem i ruszyłem dalej.

Wyszedłem zza rogu pomiędzy siódmym i ósmym piętrem. Zobaczyłem go, wciśniętego za drzwiami, zdyszanego i spoconego.

– Kto tam? – spytał, odwracając się, żeby sprawdzić, kto zbliżył się ku niemu. Wyglądał, jakby był na prochach.

– Charles Schine – powiedziałem.

– He?

– Proszę o zwrot pożyczki.

– Zajęte!

Pierwsze słowa, jakie usłyszałem z ust Sama Griffena.

Ostrożnie otworzyłem drzwi pokoju numer 807, posługując się własnym kluczem. Cały czas celowałem w Vasqueza. Dopilnowałem, żeby wszedł do pokoju przede mną.

Sam zwracał się do Vasqueza. Ale potem zobaczył mnie z bronią i wyraz jego twarzy natychmiast zmienił się z rozdrażnionego w przerażony.

– Kim... kim jesteście? – spytał.

– Charles! – odpowiedziała za mnie Lucinda. Leżała na łóżku, ubrana tylko w czarne koronkowe stringi, które ją właściwie rozbierały. Najwyraźniej było już po balu.

Nasza czwórka – przerażony Sam Griffen w błękitnych bokserkach, Lucinda w tych czarnych stringach, Vasquez w turkusowym welurowym dresie i ja w czarnych okularach z bronią.

– Witaj, Lucindo – powiedziałem.

Czułem się dziwnie, trzymając tę broń. Mierzyłem z niej w ludzi, którzy oszukali mnie na ponad sto tysięcy dolarów – wodziłem lufą pomiędzy nimi. Była jak przedłużenie mojej ręki, ale ręki o mitologicznej mocy, zdolnej ciskać pioruny. Wszyscy się jej bali, nawet pan Griffen.

– Możesz wziąć moje pieniądze – odezwał się pan Griffen bardzo drżącym głosem.

Możesz wziąć moje pieniądze. Czy tamtego dnia sam nie powiedziałem czegoś podobnego?

– Nie chcę twoich pieniędzy – odparłem. – Ale ona tak.

– Co?

– To ona chce ci zabrać pieniądze.

Teraz pan Griffen był już nie tylko przerażony, ale w dodatku zbity z tropu. Współczułem mu z całego serca – był pokrewną duszą, kimś, kto miał przejść przez ten sam szok i rozczarowanie, co ja.

– Nie rozumiem – powiedział pan Griffen. – Kim jesteś?

– To nie ma znaczenia.

– Nie chcemy żadnych kłopotów...

– Ci dwoje chcieli ci zabrać wszystko, co masz – przerwałem. – Ty już masz kłopoty.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – odezwała się Lucinda. – Sam i ja zakochaliśmy się i...

– Poznałeś ją w pociągu, co, Sam?

Sam skinął głową.

– Przypadkiem – tak się jakoś stało. Ja to rozumiem. Rozmawialiście o wszystkim. Była ładna, słodka i pełna zrozumienia, a ty nie mogłeś uwierzyć, że na ciebie poleciała. Była zbyt piękna, żeby to się mogło dziać naprawdę. No nie, Sam?

Sam nadal się mnie bał, ale przynajmniej słuchał.

– Zadaj sobie to pytanie: czy to nie zbyt piękne, żeby było prawdziwe? Zadaj sobie pytanie, czy ona powiedziała ci, gdzie mieszka. Powiedziała? Konkretny adres, Sam. Czy знаła kogokolwiek w tym pociągu? Znajomych, sąsiadów? Ludzie, którzy dojeżdżają pociągami, na ogół się znają. Była choć jedna taka osoba?

– On mnie prześladuje, Sam – wtrąciła Lucinda. – Kiedyś, jeszcze cię nie znałam, coś nas łączyło. Jest zazdrosny. Oszałał.

Trzeba jej przyznać, że się nie poddaje, pomyślałem. Była dobra, zdesperowana i nie dawała za wygraną.

Vasquez poruszył się lekko. Był zdecydowanie bliżej mnie niż poprzednio. Bawił się ze mną w czerwone – zielone światło.

– Cofnij się – rozkazałem. – Do tyłu!

Wycelowałem w niego. Zrobił krok wstecz.

– Nie wiem, co to za pieprzony pojeb – powiedział do pana Griffena. Dostosował się – już się zorientował, w którą stronę zmierza Lucinda i dostosował się do jej wersji. – Normalnie idę korytarzem, a on jak na mnie skoczy!

Sam miał mały brzusek i wątle, poznaczone niebieskimi żyłkami ramiona. Skrzyżował je mocno na bladej, bezwłosej piersi, jakby usiłował się nie rozplakać. Najwyraźniej nie wiedział, komu wierzyć – może to go już nie obchodziło. Chciał się stąd wydostać.

– Posłuchaj mnie, Sam. Wiesz, gdzie ona pracuje? Powiedziała ci?

– W ubezpieczeniach – powiedział, ale bez wielkiego przekonania.

– W jakiej agencji?

– Agencji Ubezpieczeń Wzajemnych w Omaha.

– Może do nich zadzwonimy? Tam jest telefon. Zadzwońmy do Omaha i spytajmy o nią. Proszę, dzwoń.

Sam zerknął na telefon na nocnym stoliku przy łóżku. Lucinda też.

– Czy pokazała ci zdjęcie córeczki, Sam? Takiej ślicznej blondyneczki na huśtawce? Tej samej, którą można kupić w każdym sklepie papierniczym?

– Musimy obezwładnić tego pojeba – oznajmił Vasquez. – Popieprzyło mu się we łbie! Powystrzela nas! Jesteś ze mną, Sam?

Ale Sam nie był z nim. Sam był zagubiony. Nadal nie potrafił się otrząsnąć, lecz logika moich argumentów powoli go przekonywała. Może rzeczywiście mówił sobie, że to zbyt piękne, by było prawdziwe. Może naprawdę czuł, że Lucinda jest zbyt piękna, zbyt mądra, zbyt chętna.

– To wszystko były kłamstwa, Sam. Wszystko. Podeszli cię, rozumiesz, co mówię? Miałeś zaliczyć duże zdziwienie. Miałeś wyjść z pokoju, a Vasquez miał na ciebie skoczyć w korytarzu. Ciebie miał okraść, ją zgwałcić. Ale to by nie był gwałt, bo ona się zgodziła. Siedzą w tym razem.

Vasquez znowu się zbliżał. Powolutku.

– Nie rozumiem, dlaczego gwałt... – zaczął pan Griffen.

– Żeby wszystko wyglądało bardziej wiarygodnie. I żebyś miał wyrzuty sumienia, że jej nie pomogłeś. Że nie walczyłeś. Więc kiedy cię zacznie szantażować – ciebie i Lucindę, czy jakie tam sobie imię wybrała – kiedy poprosi cię o niewielką pożyczkę, a potem o drugą, już nie taką niewielką, zaczniesz mu dawać pieniądze. Nawet jeśli nawiedzą cię wątpliwości, nawet jeśli zaczniesz się zastanawiać, czy nie lepiej przyznać się żonie i dzieciom. Bo byłby jeszcze jej mąż, prawda? A ona powiedziałałaby ci, żebyś tego nie robił, błagałaby cię o to – ponieważ by nie zniosła, gdyby jej mąż się o tym dowiedział. O was i gwałcie. Tylko że ona nie ma męża, Sam.

Pan Griffen mi uwierzył. Może nie na sto procent, ale wystarczająco.

– Czy mogę... odejść? – spytał. – Po prostu... sobie pójść?

Ale tu włączył się Vasquez.

– Zgłupiałeś? Wyjdiesz i zostawisz nas z tym świrem?

– Eee... – powiedział Sam. – Muszę wracać do domu. Nie wiem, co się tu dzieje i nic mnie to nie obchodzi. Ale... dajcie mi odejść, dobrze?

Vasquez sięgnął do kieszeni i uderzył go w usta czymś czarnym. Sam upadł. Bardzo szybko. Z ust popłynęła mu krew.

Druga broń.

Do tej pory szło mi świetnie. Zdobyłem klucz do pokoju i zaskoczyłem Vasqueza. Zdołałem wejść do pokoju. Zamierzałem odzyskać pieniądze. Może metoda, za której pomocą zamierzałem do tego doprowadzić, pozostawała nieco mglista. Mógłbym trzymać Lucindę na muszce, dopóki Vasquez nie wróci z pieniędzmi. Albo moglibyśmy pójść po pieniądze we troje. Ale popełniłem jeden błąd. Zapomniałem, że Vasquezowie tego świata są uzbrojeni. Nie przeszukałem go, nie kazałem mu oddać broni.

Przez parę sekund można było jeszcze coś uratować. Jeszcze miałem przewagę.

Vasquez miał broń, Sam leżał na podłodze we krwi, ale nadal tylko ja miałem na muszce konkretną osobę.

Vasquez – wiedziałem to – uważał, że celować do kogoś to jedno, a pociągnąć za spust to coś zupełnie innego. Nie podejrzewał, że mnie na to stać.

Ale o czymś nie wiedział. Mówi się, że pieniądze to potęga, lecz tak naprawdę prawdziwa potęga to desperacja. To ona sprawiła, że nasze szanse się wyrównały.

Pociągnąłem za spust.

I nic się nie stało.

W ułamku sekundy, zanim Vasquez pojął, że szczęście mu sprzyja i zaczął podnosić rękę z bronią, zrozumiałem, dlaczego nic się nie wydarzyło.

Zapomniałem odbezpieczyć pistolet.

Rzuciłem się na Vasqueza, myśląc, że to moja ostatnia szansa. Muszę go zaskoczyć.

Mój atak wytrącił mu broń z ręki i rzucił ją gdzieś pod łóżko. Teraz szanse były mniej więcej równe.

Może nawet ja miałem większe, ponieważ moja desperacja była straszniejsza. Nie miałem nic do stracenia. Detektyw Palumbo miał do mnie zadzwonić lada dzień, a jeśli nie on, to Barry Lenge. Desperacja mi pomagała. A z Vasquezem było coś nie tak. Był pijany, na prochach albo coś w tym rodzaju.

Vasquez złapał powietrze po zderzeniu ze mną, po czym natychmiast spróbował się wyrwać z mojego chwytu. Ale był jak bokser, który nieźle oberwał, a jest już dwunasta runda. To mi dodało odwagi.

Kątem oka widziałem Sama – podniósł się na kolana i spoglądał na swoją rękę, jaskrawoczerwoną, ponieważ dotknął nią ust. Był oszołomiony i zbity z pantafyku.

– Skur...wiel... – wydyszał Vasquez, usiłując zrzucić mnie z siebie, lecz bez powodzenia. Trzymałem go mocno i nie zamierzałem puścić.

Zatoczył się na ścianę. Trzymałem go w niedźwiedzim uścisku, więc zrobił to, co niedźwiedzie, kiedy chcą się pozbyć czegoś z grzbietu. Niedźwiedzie ocierają się o najbliższe drzewo. Vasquez skorzystał ze ściany.

Wpadłem na gipsową ściankę, zrzuciłem z niej poźólką reprodukcję, moje ciemne okulary upadły na podłogę, ale trzymałem się mocno.

Runęliśmy na podłogę, aż jęknęła; poczułem zapach Vasqueza – smród czosnku, dymu papierosowego i smażonych jajek. Wykładzina była tak cienka, jakbym się tarzał po betonie. I po raz pierwszy byłem całkowicie pewien, że wygram. Otoczyłem szyję Vasqueza prawym ramieniem i ścisnąłem z całej siły – a w tamtej chwili siły miałem mnóstwo. Za co najmniej

sto tysięcy dolarów.

Vasquez rzęził i mignęło mi, że go zabiję. Pomyślałem: skoro trzeba.

Po raz ostatni spróbował mnie zrzucić, ale jedną rękę przygniałam mu całym ciałem do podłogi. Wczepiłem się w niego tak mocno, że choć spróbował niezdarnie skoczyć do przodu, nie zdołał się mnie pozbyć.

Upadł; poczułem, że uchodzi z niego cała siła – te resztki, których nie wysączyły z niego prochy i woda.

Nie zabiłem go, ale wygrałem.

Wygrałem.

Mój wzrok padł na parę butów tuż koło mojej twarzy. Najpierw sądziłem, że należą do Sama, ale Sam był po drugiej stronie pokoju, siedział, kapiąc krwią na swoje ręce.

Więc podniosłem głowę.

– Patrzcie, patrzcie – powiedział Dexter. – Przecież to Chuck.

WYKOLEJONY: 41

Dexter wszedł do pokoju w trakcie bójki.

Tarzaliśmy się po podłodze i żaden z nas nie usłyszał, że drzwi się otwierają. Dzięki temu Dexter mógł wejść do pokoju, podnieść broń, odbezpieczyć ją i wycelować w moją głowę.

Związali mnie i zakneblowali. Ręce skrępowali mi za plecami moim własnym paskiem. Zdjęli mi buty i skarpetki i jedną przepoconą skarpetę wcisnęli mi do ust.

To samo zrobili z Samem. Przez chwilę się opierał, więc Vasquez kopnął go w głowę.

Poczułem zapach krwi Sama.

Pachniała prawie słodko, ale ponieważ wiedziałem, skąd dochodzi ten słodki zapach, zrobiło mi się niedobrze. To był problem. Mogłem zwymiotować; na samą myśl o wymiotowaniu ze skarpetką w ustach zacząłem panikować.

Tylko spokojnie. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Na przykład zastanawiałem się, co z nami zrobią, z Samem i ze mną. Miałem silne przeczucie, że jeszcze nie wiedzą.

Wyglądali na zbitych z tropu. Szeptali między sobą – czasami po hiszpańsku, czasami nie.

– *Nosotros tenemos que hacer algo* – mówiła Lucinda.

Hiszpańskiego uczyłem się tylko przez jeden rok w liceum i tak naprawdę umiałem powiedzieć jedynie *gracias*, ale wyczułem ich zmieszanie.

Vasquez szeptał do Lucindy po angielsku.

– Potem... możemy... Miami i... – Zbierali się do odlotu.

Całkiem słusznie. Sam już by się im do niczego nie przydał, kura znosząca złote jaja zdechła. Tyle czasu i wysiłku włożyli w doprowadzenie go tutaj – i wszystko na nic.

Mieli prawo się zdenerwować. Byli niezadowoleni, ponieważ się wmieszałem. To przeze mnie ich plan się nie powiódł. Przeze mnie. To ja nasypałem piasku w tryby i zostawiłem ich z problemem, którego się nie spodziewali. Ich bronią były strach i zdrada, a ja wytrąciłem im ją z ręki.

Co im zostało?

– Głupi fiut... – Vasquez siedział na łóżku z rękami na kolanach. Mówił do mnie. – Kazałem ci dać spokój. Kazałem ci wracać na Long Island i się stamtąd nie ruszać. Wtedy straciłeś tylko pieniądze, skurwielu. Pieniądze. Powinieneś dziękować Bogu. To co zrobisz teraz, he?

Może zacznę się modlić.

To nie jego słowa mnie tak przerażyły; modlitwa wydała mi się wskazana, ponieważ sam Vasquez był trochę przerażony, kiedy je wypowiadał. To co teraz zrobisz, he? Jakby sami sobie zadali to pytanie i jakby otrzymali odpowiedź, która im się nie spodobała. Kiedy przerażający ludzie się boją, ty też masz prawo się bać.

Poszli we trójkę do łazienki. Ktoś – chyba Dexter – sprzeciwiał się czemuś. Słyszałem podniesione głosy.

Kiedy wyszli z łazienki, Dexter nie był zadowolony. Chyba ich nie przekonał.

– Dziesięć minut – szepnął Vasquez do Lucindy – a potem pojedziemy do... Małej Hawany... kuzynkę...

Vasquez i Dexter wyszli.

Zostaliśmy we trójkę. Sam, Lucinda i ja.

– Co z nami zrobicie? – spytał Sam przez skarpetkę. Słowa były zdławione, ale rozpoznawalne.

Lucinda nie odpowiedziała.

– Nikomu nie powiem – dodał Sam. – Puść mnie, nic nie powiem. Obiecuję. Proszę cię...

Lucinda nadal nie reagowała. Może kazali jej z nami nie rozmawiać – żadnego bratania się z wrogiem. Może po wielu miesiącach pogaduszek z Samem Griffenem miło było nie musieć mu odpowiadać. A może dokładnie wiedziała, co z nami zrobią i uznała, że lepiej nam nie mówić.

– Duszę się... Skarpetka... – wybełkotał Sam. – Proszę cię...

Lucinda wreszcie zareagowała, ale nie werbalnie. Wstała i podeszła do Sama – to był krótki spacer, może pięć kroków.

– Wyjmij ją... – mówił Sam. – Duszę się... błagam...

Więc Lucinda wyciągnęła rękę.

Ledwie dotknęła jego ust, ugryzł ją. Krzyknęła.

Może Sam zadał sobie to samo pytanie co ja, i otrzymał tę samą odpowiedź. I może uznał, że nie ma nic do stracenia.

Kopnęła go, usiłowała wyrwać mu rękę z ust, ale Sam wpił się w nią jak te psy, które są uczone chwytac złodziei i nie puszczać nawet po śmierci. Lucinda krzyczała i tłukła Sama pięścią po głowie, jednak Sam nadal nie puszczał. Walczył o życie.

Usiłowałem się czolgać, ale ręce miałem związane na plecach. Przemieszczałem się bardzo powoli. Chciałem pomóc Samowi, ponieważ teraz po prostu musiało się coś stać. Widziałem to.

Po pierwsze, Lucinda zdołała wyrwać rękę. Wreszcie. Po drugie, podniosła do góry lewą, w której miała broń, i zaczęła bić nią Sama po głowie. Sam miał zakrwawione usta, ich krew się mieszała, a Lucinda znowu uderzyła go bronią w twarz. I jeszcze raz, i znowu.

– Nie – bełkotał Sam. – Nie, ja mam dzieci... troje...

Broń zmiażdżyła mu kość policzkową. I nos. Może miał nadzieję, że to ją otrzeźwi, powstrzyma, lecz ona rozkręcała się coraz bardziej. Sam ciągle błagał:

– Dzieci... Nie...

Ale Lucinda wciąż go biła. Coraz mocniej – słyszałem odgłos metalu uderzającego w kość.

Udało mi się przeczołgać piętnaście, dwadzieścia centymetrów, nawet trzydzieści, zanim wreszcie do mnie dotarło, że to na nic.

Już po wszystkim.

Sam nie żył.

Vasquez i Dexter wrócili.

Dexter niósł dwa worki na śmieci – takie wielkie, mocne, w każdym można by zmieścić suche liście z całego trawnika. Albo trupa.

Może to dlatego, kiedy zobaczyli, że Sam nie żyje, kiedy Vasquez kopnął go lekko czubkiem buta i oficjalnie potwierdził jego zgon, nikt się jakoś szczególnie nie zdenerwował.

– Ugryzł mnie – wyjaśniła Lucinda, a Vasquez skinął głową.

Potem Vasquez wziął poduszkę i powiedział do mnie:

– Pora lulu.

Miał broń, ale nie mógł sobie pozwolić, żeby ktoś go usłyszał.

Chcieli mnie udusić.

Kiedy Lucinda zabijała Sama, byłem czymś zajęty. Podobnie jak wtedy, gdy wstała i poszła do łazienki, żeby zmyć krew z dłoni. Kiedy Sam leżał na podłodze, nie oddychając, coś sobie przypomniałem. Dexter pojawił się i wziął moją broń, a przed wyjściem podał ją Lucindzie.

Ale była jeszcze jedna.

Broń Vasqueza. Gdzie się podziała?

Pod łóżkiem. Tam gdzie się zatrzymała, gdy wytrąciłem ją mu z ręki.

Była jakieś dwa metry ode mnie. Zaledwie.

Chcą mnie udusić.

Zacząłem się ku niej czołgać.

Coś jeszcze. Zająłem się testowaniem jakości węzła, który Dexter zaciągnął na moim pasku. Pasek nie nadaje się na sznur; nie jest na tyle miękki, żeby na nim zawiązać przyzwoity węzeł. To była moja szansa.

Chcą mnie udusić.

Kiedy Vasquez i Dexter wrócili, udało mi się odrobinę rozluźnić węzeł. I znalazłem się pół metra od broni Vasqueza.

Była w zasięgu ręki. Pod warunkiem, że zdołam w porę uwolnić rękę.

– Lulu – powtórzył Vasquez.

To nieprawda, że życie przebiega ci przed oczami.

Chciałbym o tym zaświadczyć.

Podobno tak właśnie jest, kiedy staje się w obliczu śmierci, ale to nieprawda. Mnie się to nie zdarzyło – nie zobaczyłem całego mojego życia. Tylko jego niewielki fragment.

Miałem siedem lat i byłem na plaży.

Bawiłem się przy brzegu, nie uważałem i raptem pojawiła się wielka fala, która mnie zagarnęła. Kiedy mnie wyciągnęli, byłem już siny i gdyby nie wysiłki młodego ratownika, pewnie bym umarł. Od tego dnia panicznie bałem się, że utonę. I jeśli śniła mi się śmierć, to zawsze w ten sposób – od uduszenia.

Ten właśnie kawałek życia stanął mi przed oczami.

Zanim Vasquez zakrył mi twarz białą poduszką, zdołałem nabrać wielki haust powietrza.

Kiedy byłem mały, mieliśmy pewną zabawę. Nazywaliśmy ją „Nie oddychaj”. Po incydencie na plaży bawiłem się w nią z niemal wariackim poświęceniem – jakbym wiedział, że pewnego dnia uratuje mi życie.

Kiedyś potrafiłem wytrzymać do trzech minut. Może nawet cztery.

Start.

Poduszka śmierdziała potem i kurzem. Zacząłem rozciągać rękami pasek.

Napierałem na zewnątrz obiema przegubami. Potem odpoczywałem. Znowu parłem. Znowu odpoczywałem.

Jak bolesne ćwiczenia izometryczne. Vasquez przygniatał mnie całym swoim ciężarem. Poruszałem rękami z najwyższym trudem.

Ale poruszałem. Choć pasek wrzynał mi się w skórę jak tępy nóż.

Szło powoli. Słyszałem, że parę kroków ode mnie ktoś niespokojnie krąży. Skrzypnęło łóżko. Lucinda odchrząknęła. Ktoś włączył radio.

Nie osiągałem wielkiego sukcesu. Ciągle napierałem, ale to było tak, jakbym napierał na zamknięte drzwi. Albo biegł w bagnie. Napierałem, lecz pasek nie puszczał. W piersi poczułem ból. Stawy ramion trzeszczały, jakby miały pęknąć. Krzyczały na mnie.

Nie, wrzeszczały. Nigdy w życiu. To niemożliwe. Daj spokój.

Przestań!

Moje płuca płonęły. Nie czułem rąk.

I raptem pasek zaczął się rozluźniać.

Odrobinę.

Na tyle, że zdołałem odrobinę przesunąć jedną dłoń.

Naparłem ze wszystkich sił. Raz i drugi.

Nadgarstki mi krwawiły. A ja ciągle parłem.

Zdołałem przepchnąć ręce do połowy. Pociły się. Pot i krew zapewniały lepszy poślizg. To dobrze, to cudownie. Napierałem dalej.

Przepchnąłem ręce w trzech czwartych. Musiałem się zdobyć jeszcze na jeden mały wysiłek. Czekały mnie kostki palców.

To mógł być problem. Ratunku.

Zmusiłem się do wysiłku – włożyłem w to wszystkie siły. To dla Anny. Dla Deanny.

Już.

Parłem, parłem, parłem...

Oswobodziłem jedną rękę.

Umieram.

Lewą, tę bliżej łóżka.

Czarno. Nic nie widzę. Umieram.

Usłyszałem głos Vasqueza:

– Ha.

Usłyszałem głos Dextera:

– Uważaj.

Gorączkowo macałem pod łóżkiem w poszukiwaniu broni. Płuca mi pękały. Przesuwałem ręką w te i wewte. Gdzie ta broń?

Trafiłem. Zacisnąłem palce.

Co to jest? Co się dzieje?

Wyjąłem ją spod łóżka.

W tej samej chwili, dokładnie w chwili, gdy mógłbym odwrócić kolej wypadków, umarłem.

ATTICA

Gruby Tommy miał rację.

Przysłali mi zawiadomienie.

„Drogi Panie,

informujemy, iż ograniczenia budżetowe nie pozwalają na kontynuację programu nauczania dla więźniów pełnoletnich. Zajęcia zakończą się z ostatnim dniem bieżącego miesiąca. Otrzyma Pan oficjalne powiadomienie o zwolnieniu”.

Oznaczało to, że zostały mi dwie lekcje.

Tylko dwie.

Personel trzymał się teraz ode mnie na dystans, jakbym był nosicielem jakiejś zaraźliwej choroby. Czy zwolnienia są zaraźliwe? Kiedy wpadałem na kawę do świetlicy dla personelu, wokół mnie robiło się pusto – nawet jeszcze bardziej niż poprzednio, kiedy byłem pariasem tylko ze względu na niewłaściwy rodzaj wykonywanej pracy. Teraz stałem się nim ze względu na jej utratę.

Popijałem kawę w samotności, w kącie pomieszczenia znanego jako muzeum.

Tę nazwę wymyślił dawno temu funkcjonariusz, którego imienia nikt już nie pamiętał. Znajdowała się tu niedbale zaaranżowana kolekcja skonfiskowanej więźniom broni. Głównie kosy – tak więźniowie nazywają noże. Zrobione ze sprężyn, pustych długopisów, przeszmygowanych śrubokrętów – z czegokolwiek, co było pod ręką. Ale były także prymitywne pistolety – wynalazki złożone z części ukradzionych z warsztatu. Z niewielkiej

odległości można było z nich wystrzelić podrabianą kulę.

Kolekcja nieustannie się rozrastała. Po każdej rewizji dochodziły co najmniej dwa eksponaty.

Wpatrywałem się w te prymitywne narzędzia śmierci, dopóki milczenie za moimi plecami stawało się nieznośne albo przyszła pora na lekcję.

Zależy, co było najpierw.

Pisarz dostarczał mi nowych rozdziałów z monotonną, pracowitą regularnością.

Na każdej lekcji znajdowałem na biurku następną część.

Moja własna historia wracała do mnie, rozdział po bolesnym rozdziale. Sądystycznie powolne oskarżenie Charlesa Schine'a. Byłem pewien, że pisarz zaplanował to jako torturę.

Ale zdarzyło się i coś nowego. Pod koniec rozdziału 20. pojawiła się następna notka.

„Pora się spotkać, nie uważasz?”

Napisana brązowym atramentem. Ale to nie był brązowy atrament. To była krew. Żeby mnie przerazić.

I pomyślałem: „Tak, uważam, że pora się spotkać”. Choć ręce mi się spociły, a kołnierzyk zacisnął niczym pętlą.

Autor tych rozdziałów nie chodził na moje zajęcia, tego byłem pewien.

Za to posłaniec – tak.

Parę lekcji po otrzymaniu ostatniej wiadomości zakończyłem zajęcia, ale jeden uczeń został.

Podniosłem głowę, a on siedział i uśmiechał się do mnie.

Malik El Mahid. Jego muzułmańskie imię.

Jakieś dwadzieścia pięć lat. Czarny, przysadzisty, wytatuowany.

– Tak? – spytałem, choć wiedziałem, co będzie.

– Podoba się na razie? – spytał, wciąż z uśmiechem. Zacytował pierwszą wiadomość od autora.

– To ty. Ty mi to zostawiałeś.

– Zgadza się.

– Kto?

– Co: kto?

– Kto ci daje te rozdziały?

– Mówisz, że to nie moje?

– Tak mówię.

– I dobrze mówisz. Nawet nie wiem, o czym są.

– Kto?

– Wiesz kto.

Tak.

– Teraz chce się z tobą spotkać, kumasz?

Teraz chce się ze mną spotkać.

– Dobrze – powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem.

Ale kiedy zacząłem porządkować papiery na biurku, zauważyłem, że ręce mi się trzęsą. Kartki drżały lekko na oczach Malika i choć usiłowałem je opanować siłą woli, moje ręce mnie nie słuchały.

– Za tydzień – powiedział Malik. – Może być?

Powiedziałem, że tak. Doskonała pora.

Ale teraz muszę wrócić do opowiadania.

Muszę wyjaśnić, co się stało.

WYKOLEJONY: 42

Kiedy wyjąłem broń spod łóżka, świat się zawalił. Skończył się.

Błysnęło, dmuchnęło gorącem, ziemia się zapadła i zrobiło się czarno.

Potem się ocknąłem.

Otworzyłem oczy i pomyślałem: nie żyję.

Vasquez mnie zabił. Nie żyję. Poszedłem do nieba.

Ale to wcale nie było niebo, tylko piekło.

Weźcie *Piekło* Dantego i wejdźcie od razu do szóstego kręgu. Czarne gryzące opary. Wrzący olej. Krzyki umierających. Otworzyłem oczy i niczego nie widziałem. Ranek się nie skończył, ale zapadła noc.

Tyle było jasne. Ósme piętro hotelu Fairfax jakimś cudem stało się piwnicą. Siódme było grobem.

Z pokoju została połowa. Była wiosna, ale padał śnieg (gips, o czym się przekonałem, kiedy wylądował mi na języku). Całe urządzenie klimatyzacyjne leżało na mojej lewej nodze.

Teraz to wiem, ale nie wtedy. To, co wiem, poskładałem sobie z doniesień w gazetach, telewizji i własnych wrywkowych obserwacji.

W centrum zdrowia dla pań w pobliżu hotelu Fairfax wykonywano subsydiowane przez państwo aborcje, co oznaczało, że dla niektórych nie było to centrum zdrowia, lecz klinika aborcyjna.

Jednym z „niektórych” był ten mężczyzna w kurtce z logo uniwersytetu w Oklahomie, którego spotkałem w windzie pierwszego dnia po zameldowaniu się w pokoju, i który narzekał, że w pokoju nie ma Biblii. Muskularny chrześcijanin, obrońca życia poczętego, zafascynowany materiałami wybuchowymi.

Okazało się, że jednak nie spędzał czasu na grze w trzy karty i kupowaniu podróbek roleksa na ulicy. Siedział w pokoju, cierpliwie konstruując bombę z nawozu i oprysków. A gdy była gotowa, ostrożnie przypiął ją do własnego ciała.

Pojechał windą na parter z zamiarem wejścia do centrum zdrowia i wysadzenia go w powietrze razem ze sobą.

Chciałbym tu wyjaśnić, na czym polega niestabilność takiej bomby. Jak stwierdziły gazety, nie jest to najbardziej godny zaufania materiał wybuchowy. Nie może się równać z dynamitem lub plastikiem. Jest bardzo lotny, szybko zachodzą w nim reakcje.

Ten gość nawet nie zdążył wysiąść z windy. Coś się wydarzyło. Winda nagle się zatrzymała, a może ktoś go popchnął. Albo przez pomyłkę przycisnął detonator. W każdym razie coś musiało się stać.

Bomba wybuchła w samym środku budynku. Gdyby ktoś chciał wysadzić w powietrze hotel, nie centrum zdrowia, i znał się na zasadach konstrukcji, wybrałby dokładnie to miejsce.

W windzie pomiędzy piątym i szóstym piętrem.

A hotel Fairfax był przecież jedną wielką katastrofą budowlaną, która tylko czekała na właściwy moment.

Jego kości były połamane, kruche i nadwerężone. Łuszczący się azbest sprawił, że stał się idealną pułapką. Rury przewodzące gaz w paru miejscach były nieszczelne, co stwierdzono później. Krótko mówiąc, to się musiało stać.

Stalowe belki. Kawalki dachu. Gipsowa ściana. Szkło. Ludzie. Wszystko razem poszybowało w górę, a potem, zgodnie z prawem Newtona, w dół. Na to, co zostało z hotelu Fairfax, spłaszczonego jak rozgnieciony weselny tort.

Tego ranka w hotelu Fairfax i czterech pobliskich budynkach zmarły sto czterdzieści trzy osoby.

Sto czterdzieści trzy i może ewentualnie jeszcze jedna. Usłyszałem jakiś głos.

– Jest tu kto? Czy ktoś tu jest?

– Tak – powiedziałem. Jeśli sam siebie usłyszę, pomyślałem, to może jednak żyję.

– Tak – powiedziałem i usłyszałem własny głos.

Jakieś ręce chwyciły moje ręce. Wyciągnęły mnie spomiędzy gruzów, zmasakrowanych ciał i czerni i raptem zrozumiałem, że żyję, oddycham.

Teraz to wiem, ale nie wtedy.

Dwa pokoje zostały nietknięte – albo prawie nietknięte. Kto wie dlaczego? Kiedy ktoś postanawia przypasać bombę do własnego ciała i rozerwać się na strzępy, rozsądek bierze sobie urlop. Niektórzy ludzie poszli tego ranka na lewo i ocalili życie. Inni poszli na prawo i umarli. Jedna osoba była o krok od śmierci na hotelowej podłodze, a wyszła z tego z życiem.

Prawie nietknięta.

Wyciągnęli mnie z gruzów, położyli na noszach na ulicy, a potem pospieszyli na ratunek tym, których mogli znaleźć. W tym Vasquezowi, Lucindzie, Dexterowi i Samowi. Z tej czwórki troje nie żyło, a jeden dogorywał. Dexter, Sam i Lucinda leżeli z zasłoniętymi twarzami. Vasquez był nieprzytomny, zakrwawiony, ledwie oddychał.

Położyli go obok mnie, jakiś strażak zmierzył mu puls i pokręcił głową. Podbiegł do nas ktoś z opaską z czerwonym krzyżem na ramieniu.

– Zajmij się tamtą starszą panią – powiedział strażak i wskazał kobietę, na której tliło się ubranie. – On nie przeżyje.

Po pewnym czasie postanowiłem wstać i odejść. Tak po prostu.

Prawdopodobnie byłem w szoku, ale myślałem z zadziwiającą jasnością.

Widoczność była bliska zeru, jednak jakieś półtora metra ode mnie widziałem zwłoki Lucindy. Vasqueza mogłem nawet dotknąć. Strażacy i policjanci biegali w tę i z powrotem w gryzących kłębach czarnego dymu.

Wstałem. Zrobiłem parę kroków. Zniknąłem w czarnych kłębach.

Szedłem tak przez jakiś czas. Zastanawiałem się, czy Deanna jednak nie miała racji. Może rzeczywiście nic nie dzieje się bez przyczyny. Ludzie gapili się na mnie jak na kosmitę, ale nikt mnie nie zatrzymał. Nikt nie spytał, czy nie jestem ranny, czy nie potrzebuję lekarza albo karetki. Może takie widoki już ich nie ruszały. Szedłem na Broadway. Wydawało mi się, że mam osmalone włosy. Kiedy przeczesałem je palcami, zatrzeszczały głośno jak naelektryzowane. W końcu gdzieś w pobliżu Central Parku złapałem taksówkę.

Wróciłem do mojego mieszkania w Forest Hills. Kierowca słuchał radia. Ktoś mówił o

eksplozji. Może to nieszczelna instalacja gazowa, mówiła jakaś kobieta. Robiła wywiad z dowódcą strażaków. Miało minąć nieco czasu, zanim znajdą dowody wskazujące na coś innego. Kierowca zapytał, czy wszystko u mnie w porządku.

– Tak – powiedziałem. – Jak nigdy.

Kiedy dotarłem do Forest Hills, na ulicy było już pusto. Może wszyscy słuchali dziennika telewizyjnego. Nikt nie zauważył, jak wszedłem do budynku, otworzyłem drzwi mojego mieszkania i zapadłem w odrętwienie.

Przespałem cały dzień.

Następnego ranka obudziłem się, poszedłem do łazienki i nie poznałem siebie w lustrze. Spojrzał na mnie Otello, zupełnie czarny na twarzy.

Włączyłem telewizję. Trzy gadające głowy dyskutowały o liczbie. Jakiej liczbie? Nie od razu się domyśliłem. O liczbie zabitych. W końcu zgodzili się, że jest ich około stu. Na innym kanale utrzymywali, że dziewięćdziesięciu sześciu, na innym że stu pięćdziesięciu. Ofiary z hotelu i czterech pobliskich budynków. Ale kto wie, jak wiele osób naprawdę zginęło? To właśnie przekazywały nam gadające głowy. Ciało były zwęglone, zmiażdżone, spopielone. Trudno powiedzieć, oznajmił jeden facet, tego nigdy się nie dowiemy. Jeśli ktoś, kto przebywał w tym hotelu, wrócił – to znaczy, że żyje. Jak nie wrócił, to nie żyje. Ludzie już zaczęli przeszukiwać szpitale i schroniska Czerwonego Krzyża, rozlepiać zdjęcia zaginionych na ścianach, płotach i latarniach – odrętwiała i zrozpaczona armia osieroconych.

Przez cały dzień oglądałem telewizję i nawet nie drgnąłem.

Do nikogo nie zadzwoniłem, z nikim nie rozmawiałem. Byłem jak sparaliżowany. Tyle zgrozy. Nie mogłem się ruszać, nie mogłem jeść, nie mogłem mówić.

Iluzja nietykalności, którą obnosiłem jak tytuł szlachecki – tytuł, z którego odarli mnie Vasquez i Lucinda – została odebrana stu czterdziestu trojgu innych. Nikt już nie był bezpieczny. Nikt.

Ciężarówki wywoziły gruzy hotelu. Wywoziły je na wysypisko na Staten Island. W to samo miejsce, w które można trafić z Western Avenue, kierując się odorem.

Żeby zrobić miejsce tonom szczątków, najpierw musieli usunąć inne. Przesunąć sterty z jednego miejsca na drugie. A pomiędzy powyginanym żelastwem, zgniecioną tekturą, zgniłym jedzeniem, puszkami, połamanymi kośćmi i cegłami znaleźli szczątki ludzkie.

Znaleźli Winstona.

Policja tylko na to czekała. Zwłoki. Mieli moje nagranie, na którym mówiłem Winstonowi, czego od niego chcę, ale nie mieli Winstona.

A teraz go dostali.

Dowiedziałem się o tym, kiedy wreszcie zadzwoniłem do Deanny – trzy dni po tym, jak odszedłem na uginających się nogach z miejsca wypadku. Z miejsca, które wyglądało jak zbombardowany Bejrut.

Deanna ucieszyła się, słysząc mój głos.

– Bogu Najwyższemu dzięki – powiedziała. – Myślałam, że nie żyjesz.

WYKOLEJONY: 43

Wtedy po raz pierwszy przyszło mi to do głowy.

Kiedy Deanna powiedziała przez telefon: myślałam, że nie żyjesz.

A może jednak nie wtedy. Może później, kiedy powiedziałem Deannie, co porabiałem – co mi się przydarzyło w hotelu Fairfax – a ona jęknęła i zamilkła. Potem powiedziała, że policja przyszła do domu z nakazem aresztowania. Ponieważ znaleźli ciało Winstona na wysypisku w Staten Island.

A może tego samego dnia, ale później, kiedy ponura i blada rzeczniczka władz miasta odczytała w dzienniku listę zmarłych. Listę zmarłych oraz uznanych za zmarłych – znanych także jako zaginionych.

Było na niej moje nazwisko.

Nieco to surrealistyczne, usłyszeć, że jest się uznany za zaginionego. To tak, jakbym przyszedł na własny pogrzeb. Rzeczniczka powiedziała, że lista ta została starannie odtworzona na podstawie danych z komputera, odnalezionego w ruinach hotelu – ludzie, którzy w chwili wybuchu byli zameldowani w hotelu. A także na podstawie odnalezionych tu i ówdzie przedmiotów – rzeczy, rozrzuconych w strefie wybuchu i oddanych na przechowanie w hotelowym sejfie. Aktówki, palmtopy, grawerowane zegarki i biżuteria. Ja na przykład zgubiłem zegarek. Z tyłu miał wygrawerowany napis „Dla Charlesa Schine’a z głębi serca”. Rzeczniczka wyjaśniła, że porównują listę z nazwiskami osób przebywających w szpitalach.

Miałem już podnieść słuchawkę, żeby zadzwonić do kogoś – kogokolwiek – i powiedzieć, że wcale nie zginąłem, że nadal żyję. Jednocześnie się ubierałem, ponieważ telefon mógłby nie wystarczyć. Możliwe, że musiałbym się pokazać osobiście, żywy i zdrowy. Zacząłem szukać w szufladzie skarpetek i natrafiłem na portfel Winstona.

I wtedy naprawdę przyszło mi to do głowy.

Wtedy ten pomysł przestał być idiotyczny, a zaczął być wykonalny. Z tęsknych wyobrażeń zmienił się w konkretny plan. Wrzuciłem portfel do szuflady ze skarpetkami i zapomniałem o nim, ale teraz przypomniało mi się coś, co Winston kiedyś mi powiedział.

Tożsamość – najłatwiejsza rzecz do kupienia.

Na przykład on sam miał ich cztery. Cztery prawa jazdy.

Niejaki Jonathan Thomas. Niejaki Brian McDermott. Niejaki Steven Aimett.

Oraz Lawrence Widdoes. Jedyny z całej czwórki względnie do mnie podobny – oczywiście młodszy, ale generalnie o tej samej karnacji.

Myślałam, że nie żyjesz, powiedziała Deanna.

Tak samo myśli parę innych osób.

Zameldowałem się w hotelu Fairfax, ale się z niego nie wymeldowałem. A może i tak, ale w ostatecznym sensie tego słowa. Wymeldowany z życia.

A to mi przypomniało inne popularne powiedzonko.

Po moim trupie. Tak, wszyscy je znamy. Okrzyk wydawany w chwili desperacji, kiedy świat zmusza nas do czegoś, czego nie chcemy zrobić.

I nie musimy.

Wystarczy umrzeć.

Może to właśnie jest wyjście.

Jeśli wrócę, to znaczy, że żyję.

A jeśli nie wrócę?

WYKOLEJONY: 44

Stałem na roku Crescent i Trzydziestej.

Przed knajpą zwaną nocnym klubem Crystal. Nie wyglądała jak nocny klub. Dawniej był tu klub weterana – błądy kontur liter Klub Weterana nr 54 nadal rysował się na ceglanej ścianie. Ale minęła północ, a z wewnątrz dobiegała muzyka. Jakiś Latynos rzygał na chodnik.

Wszedłem i natychmiast zrozumiałem, że jestem daleko od domu.

Pamiętacie tę scenę z *Gwiezdnych wojen*, gdzie bohater wchodzi do knajpy dla Obcych? Dokładnie tak się czułem. Ale ci Obcy byli ziemskiego pochodzenia – widuje się ich w wieczornych dziennikach, kiedy Biuro Imigracyjne wkracza do akcji. Gdybym wskoczył do samolotu lecącego do Santo Domingo i po wylądowaniu wszedłbym do pierwszego lepszego baru, miałbym to samo.

Byłem całkowicie pewien, że jestem tu jedynym białym Amerykaninem. Może również jedynym z prawemu pobytu.

Z dwóch ogromnych głośników ryczała salsa. Wszędzie słyhać było hiszpańskie rozmowy.

Wokół widziałem pełno par, ale dziwnie dobranych. Kobiety były wystrojone – krótkie jaskrawe spódniczki i wysokie obcasy. Mężczyźni byli w brudnych dżinsach i podkoszulkach.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, co jest grane.

Te kobiety to hostessy. Tak się przedstawiła jedna z nich – najpierw po hiszpańsku, *huespeda*. Potem po angielsku, bo wytrzeszczyłem oczy, a ona przyjrzała mi się lepiej i zrozumiała, że nie należę do codziennej klienteli.

Przez chwilę się wahała, jakby oczekiwała, że pojmę swój błąd i wyjdę. Ale kiedy stałem i uprzejmie czekałem, co powie, pociągnęła sprawę dalej.

– Jestem Rosa – powiedziała. – Szukasz hostessy?

– Jasne – powiedziałem. – Świetnie.

Wróćmy na chwilę do tego momentu, kiedy wyciągano mnie z dziury po hotelu Fairfax.

Położyli mnie na chodniku i czekali na przyjazd karettek i lekarzy. Ciągłe donosili inne ciała; obok mnie położyli umierającego Vasqueza.

Strażak, który go przyniósł, był cały usmolony. Oczy błyskały mu w czarnej twarzy. Spytał mnie, czy wszystko w porządku.

Powiedziałem, że tak. Słyszałem odległe zawrozczenie syreny. Miałem tylko parę minut.

Strażak odszedł po inne ciała, a ja pochyliłem się nad Vasquezem, jakbym go pocieszał. Jakbym sprawdzał, czy wszystko u niego dobrze. Sprawdziłem jego kieszenie. Najpierw z przodu, potem z tyłu.

W tych z przodu miał drobne monety. Fiolkę z białym proszkiem. Parę zapalek.

Tylna kieszeń była wzdęta portfelem. Szybko wyjąłem go i przelożyłem do własnych spodni.

Wstałem i odszedłem.

W taksówce przejrzałem go, rewanżując się za gest w hotelu Fairfax.

Zawartość: fałszywa odznaka policyjna, podejrzané prawo jazdy, następná doza białego proszku zawinięta w folię aluminiową, dwieście dolarów, wizytówka nocnego klubu Crystal. Właścicielem był niejaki Raul Vasquez.

Na odwrocie znajdowały się hiszpańskie słowa. *Veinte-ydos... derecho, trinta-y-siete, izquierdo, doce... derecho*.

Następnego ranka, tego ranka, kiedy obudziłem się jako Otello, zajrzałem do internetowego słownika.

Po przetłumaczeniu pierwszego słowa wiedziałem już – to liczby.

Dwadzieścia dwa w prawo.

Trzydzieści siedem w lewo.

Dwanaście w prawo.

Byłem całkowicie pewien, że nie chodzi o mecz piłki nożnej.

Oto jak należy się zachowywać w nocnym klubie Crystal.

Trzeba zamawiać zbyt drogie drinki, a Rosa z tobą rozmawia.

Tak robili inni mężczyźni.

Rosa mi to wytłumaczyła, żeby mieć o czym pogadać.

– Ty nie jesteś żaden robot. Same robote do nas przyłazą. Przeważnie – dodała, żeby mnie nie obrazić.

– Skąd jesteś? – spytałem.

– Z Ameryki. A myślałeś, że skąd?

– Nie. Chodziło mi o to, gdzie mieszkasz?

– W Bronksie. Jak wszystkie. Przywożą nas autobusem.

– O.

– Ci faceci – powiodła wokół ręką z oczywistą pogardą – mieszkają w hotelach robotniczych. No wiesz... po sześciu w pokoju.

– A tutaj przychodzą się napić.

– Właśnie – powiedziała z nieznacznym uśmiechem, jakby coś ją rozśmieszyło. – Się napić. Chcesz jeszcze? – Przypomniała mi, po co tu jestem. Żeby pić.

Ledwie tknąłem tequili sunrise za dziesięć dolarów, ale powiedziałem, że jasne, czemu nie.

– Są samotni – powiedziała, kiwając ręką na barmana. Miał byczy kark przyozdobiony wytatuowanymi krzyżami. – Przychodzą tutaj, żeby... no wiesz, tak sobie. Nie mają z kim pogadać. Żadnej pani. I tak tego, trochę się w nas zakochują. Przepuszczają wszystkie *dinero*.

– Roześmiała się i potarła palce.

– A – powiedziałem. – Rozumiem.

– No tak... rozumiesz. A ty?

– Ja? Nic. Ja tu tylko wpadłem.

– Aha. To fajnie.

Miała szerokie biodra i sporo tłuszczu – jak wszystkie hostessy. Wyobraziłem sobie Lucindę. Zaciekawilo mnie, czy i tutaj pracowała. Postanowiłem zaryzykować.

– Prawdę mówiąc – powiedziałem, a Rosa przysunęła się bliżej – raz już tu byłem.

Chyba.

– Chyba?

– Byłem pijany. To chyba tu. Ale nie wiem.

– Aha.

– Była taka dziewczyna... – Dokładnie opisałem Lucindę, tak dokładnie, jak może to zrobić ktoś, kto godzinami gapił się na kobietę. Pomiąłem szczegóły w rodzaju seksownie wydętych ust i wilgotnych oczu.

– A... – ożywiła się Rosa. – Mówisz o Didi.

Ale to jej ożywienie miało w sobie coś takiego, że chyba nie lubiła Didi.

– Didi? A... chyba tak się nazywała. Jasne.

– A to pieprzona *puta*, no nie?

– Tak?

– O, tak. Jak tu przyszła, w dwie minuty się połapała, co jest co. Wypięła cycki... tę chudą dupę... i ruszyła na szefa. Widziałam, co się kroi. Nienawidzę tej suki jak złego psa, jasne? Była tu przez dwa dni, dwa dni, cholera, i od razu go złapała.

Szef. Raul Vasquez.

– A ten szef gdzie? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ostatnio się nie pokazywał. Bo co?

– Nic. – I pomyślałem: nie wiedzą. Miałem jego portfel, a on się nie zameldował w hotelu. Nie mają jego nazwiska, nie wiedzą, kogo powiadomić. Żaden krewniak nie narobi hałasu.

– Jesteś żonaty? – spytała.

– Nie.

Usiłowałem się w tym połapać. Usiłowałem zobaczyć, jak się to wszystko zaczęło. Te biedne robole przychodziły do nocnego klubu Crystal, żeby przepuścić całą forszę na hostessy, które na ogół traktowały ich z góry. Ten słaby akcent, który wychwyciłem wtedy w kolejce – hiszpański? Ale Lucinda nie została długo hostessą. Mignęła „chudą dupą” i złapała Vasqueza. Można zrozumieć, dlaczego na nią poleciał. Nie wyglądała jak pozostałe. Wyglądała jak ktoś, kto przez cały dzień załatwia ważne interesy w jakimś biurze w samym centrum miasta. Jak kobieta, na której widok urzędnicy w pociągu zaczynają się ślinić za porannymi gazetami.

To był jego pomysł czy jej? Kto na niego wpadł? Kto rozejrzał się po przygnębiającym wystroju nocnego klubu Crystal i dostrzegł szansę dla siebie?

– Nic nie pijesz – odezwała się Rosa. – Zasada jest taka: jak nie pijesz, muszę pogadać z innym, jasne?

– Zamówię następnego – powiedziałem, a ona się uśmiechnęła.

Może to ona. Didi. Może to ona dostrzegła, jak idiotycznie łatwo jest rozkochać w sobie tych roboli z dala od domu, i domyśliła się, że z facetami mojego pokroju będzie jeszcze łatwiej. Z żonatymi, którzy nie byli daleko od domu, ale może o tym marzyli. Z facetami, którzy chcieli pogadać z kimś tak samo, jak ci tutaj. A przy tym mieli prawdziwe pieniądze.

Kiedy barman przyniósł kolejnego drinka, otworzyłem portfel, żeby zapłacić.

– Widdoes? – zdziwiła się. – Co to za nazwisko?

Patrzyła na moje nowe prawo jazdy. A tak, pierwsza noc w nowej skórze. Charles Schine umarł.

– Normalne – powiedziałem.

– Ale przygnębiające. Jak „widows”⁴, no nie?

– No, tak, ale inaczej się pisze.

– Fakt – przyznała z powagą.

– Gdzie tu są łazienki?

– Tam. – Wskazała korytarzyk w głębi. – Tamci to chodzą na chodnik – dodała z pogardą. – O czwartej rano czuć aż tutaj. Nie znają nic lepszego.

– Ja wolę łazienkę.

– Jasne. Śmiało.

Podniosłem się i poczułem na sobie wzrok faceta z byczym karkiem. Ruszyłem w głąb pomieszczenia, mijając Kolumbijczyków, Meksykanów, Dominikańczyków i Peruwiańczyków, pogrążonych w rozmowie, każdy ze swoją hostessą. Ale te rozmowy były nieco jednostronne; mężczyźni ciężko opierali się o stoliki i mamrotali coś po hiszpańsku. Pomyślałem, że moje rozmowy z Didi wyglądały mniej więcej tak samo.

Na jednej z łazienek widniało słowo „hombres”.

Wszedłem. Nad muszlą klęczał jakiś facet. Poczulem jego wymiociny.

Wszedłem do kabiny, w całości pokrytej napisami. Przeważnie po hiszpańsku, ale trafiały się i angielskie.

„Mam fiuta na pół metra” – napisał ktoś.

Usiadłem na toalecie i odetchnąłem głęboko. W głębi korytarza dostrzegłem jeszcze

⁴ Widows (ang.) – wdowy (przyp. tłum.)

trzecie drzwi. Jego gabinet?

Zaczekałem, aż tamten wyjdzie, wstałem i poszedłem korytarzem.

Nie spotkałem nikogo. Podeszedłem do trzecich drzwi.

Nie były zamknięte na klucz. Otworzyłem je; zardzewiałe zawiasy zgrzytnęły na mnie, a ja znieruchomiałem i stałem tak przez parę chwil z duszą na ramieniu.

Nic. Salsa zagłuszyła wszystko.

Wśliznąłem się do środka, zamknąłem za sobą drzwi. W pokoju było ciemno. Namacałem włącznik, tuż za drzwiami.

Tak, to jego biuro. Nie ma innego wyjścia. Dość kiepskie, ale było tu biurko, obrotowe krzesło, wygnieciona kanapa i szafka z aktami.

Myślałem o barmanie. Jak na mnie spojrzał, kiedy ruszyłem w stronę korytarza. Ściągnięta na jego karku wyglądała jak okrętowe liny.

Powiodłem wzrokiem po ścianach – wykładzina imitująca drewno. Nic. Żadnego sejf, na przykład. Żadnego obrazu, zasłaniającego sejf. Te numery na odwrocie jego wizytówki musiały oznaczać szyfr. Jeśli sejf, to jest gdzieś indziej. Vasquez zmarł, a ja musiałem odzyskać pieniądze. Musiałem zaryzykować.

Za drzwiami usłyszałem kroki. Wstrzymałem oddech.

Kroki minęły gabinet. Trzasnęły drzwi do łazienki.

Pociągnąłem za szufladę szafki z aktami – była zamknięta. Za to szuflada biurka – nie. W głębi znalazłem parę pożółkłych gazet. Właściwie parę wycinków. Pierwszy pochodził z pierwszej strony „Newsday”. „Podróżny wyskakuje z pociągu”, głosił tytuł. Obok znajdowało się zdjęcie zwłok zawiniętych w białe prześcieradło. Leżały na poboczu torów w Lynbrook na Long Island. Strzegł ich ponury policjant.

Był też sam artykuł.

„Pracownik Rockville Center popełnił samobójstwo, wyskakując zeszłego wieczora z pociągu” – zaczynał się artykuł. Dalej wyjaśniano, że samobójca był żonaty, miał troje dzieci, był prawnikiem i nie zostawił listu pożegnalnego. Przechodził jakieś bliżej nieznanne problemy małżeńskie, jak powiedział ktoś z rodziny. Poza tym nie miał żadnych powodów, żeby rozstać się z życiem. Świadkowie z pociągu twierdzili, że samobójca – nazywał się John Pierson – szedł przez pociąg, żeby znaleźć wolne miejsce i raptem, bez ostrzeżenia, wyskoczył.

Tu mógłbym przestać czytać, gdyby nazwisko jednego ze świadków nie przykuło mojej uwagi. Ostatnia osoba, która widziała go przy życiu – która widziała ten samobójczy skok.

Raul. Nie podano nazwiska. Był właścicielem barku w pociągu.

Drzwi się otworzyły.

Barman z byczym karkiem stał w progu i gapił się na mnie.

Stałem za biurkiem z wycinkami w ręku. Szuflada była otwarta.

– Astoria General – powiedział cicho.

– Co?

– Najbliższy szpital. Żebyś wiedział, co powiedzieć kierowcy.

– Przepraszam... Szukałem łazienki.

– Dostaniesz cholerny wpierdol – ciągnął, nadal tym samym cichym głosem. – Dwa, trzy tygodnie w szpitalu na bank, dobrze?

– Przepraszam, ja tylko...

Zamknął za sobą drzwi. Przekręcił klucz.

Ruszył w moją stronę. Cofnąłem się, ale za plecami miałem tylko ścianę.

Barman zatrzymał się i wyjął coś z kieszeni. Zawiniętą w papier rolkę monet. Owinął ją wokół pięści.

Obszedł biurko; był już tak blisko, że czułem jego zapach.

Wtedy przypomniałem sobie, co mam w kieszeni. Wyjąłem to i otworzyłem.

Zatrzymał się.

– Wydział narkotykowy, Nowy Jork – powiedziałem. Fałszywa odznaka policyjna Vasqueza. Schowałem ją do kieszeni i prawie – choć nie całkiem – o niej zapomniałem.

– Mieliśmy doniesienia o nielegalnym handlu narkotykami – dodałem, zastanawiając się, czy tak właśnie mówią policjanci. Usiłowałem sobie przypomnieć, jak ze mną rozmawiał detektyw Palumbo.

– Tu nie ma narkotyków – oznajmił barman. – A nakaz gdzie?

Nakaz naturalnie nie istniał.

– Usiłowałeś mnie zastraszyć. Czy potrzebuję nakazu, żeby cię aresztować?

– Tu nie ma prochów. Dzwonię po adwokata, w porządku?

– Bardzo proszę. Ja już skończyłem.

I wyszedłem.

Zacząłem liczyć w myślach. Jeden, dwa, trzy, cztery... zastanawiałem się, ile sekund zajmie mi wyjście z baru na ulicę. I ile sekund zajmie mu skojarzenie, że powinien bliżej przyjrzeć się mojej odznace i poczekać razem ze mną na przybycie prawnika. Przy dziesięciu znalazłem się przy Rosie, która spytała:

– Hej, a ty dokąd?

Przy piętnastu wyszedłem, nie odpowiadając.

WYKOLEJONY: 45

Tej samej nocy wróciłem do Merrick.

Gdy nikt nie mógł mnie zobaczyć. Kiedy mogłem przemknąć podjazdem i wśliznąć się do domu tylnymi drzwiami. Curry zaskomlał i polizał mnie po rękę.

Deanna rzuciła mi się w ramiona i staliśmy tak, aż zdrętwiały mi ręce.

– Wiesz, że jesteś na liście zaginionych? – spytała.

– Wiem. Chyba nie...?

– Nie. Detektywowi, który tu przyszedł, powiedziałam, że jesteśmy w separacji, nie odzywałeś się do mnie i nie wiem, gdzie możesz być. Miałam zamiar trzymać się tej wersji, dopóki sam nie zdecydujesz.

– Dobrze – westchnąłem. – Słuchaj, muszę z tobą o czymś pomówić.

– Zaraz. Znaleźli coś twojego.

– Zegarek?

– Nie. – Poszła do mojego gabinetu i wróciła z tym czymś.

– Kazali mi to dzisiaj odebrać. Była w hotelowym sejfie.

Duża, czarna, pękata.

Moja aktówka.

Ta, którą wręczyłem Vasquezowi w hiszpańskim Harleemie. Ta ze stoma tysiącami dolarów z Funduszu Anny.

Skąd się tu wzięła?

– Znaleźli ją w sejfie. Jest na niej twoje nazwisko.

Moje nazwisko, wypisane złotymi literami, jaśniało pełnym blaskiem, choć aktówka była oproszona białym pyłem. Charles Barnett Schine.

– Bardzo ciężka. Co tam masz?

Zacząłem ją otwierać, żeby pokazać Deannie, co tam mam, ale okazało się, że jest zamknięta na zamek szyfrowy. I faktycznie była bardzo ciężka – cięższa, niż zapamiętałem.

Pomyślałem: no jasne. Jeśli ma się mnóstwo pieniędzy i chce się je gdzieś schować, ale nie w banku, ponieważ nie jest się typowym ciułaczem i może w ogóle nie ufa się bankom, to pewnie składa się pieniądze w hotelowym sejfie pod opieką przyjaciela i współnika Dextera.

– Nie chcieli się do niej włamywać – dodała Deanna – bo znali dane właściciela.

Oczywiście nigdy przedtem nie zamykałem aktówki na szyfr. Mniej więcej

pamiętałem, że trzeba zaprogramować zamek, wprowadzić własny trzycyfrowy kod. Nie chciało mi się.

Już chciałem iść do kuchni po nóż, żeby wyłamać zamek, kiedy coś sobie przypomniałem.

Wyjąłem z kieszeni wizytówkę Vasqueza. Odwróciłem ją.

Dwadzieścia dwa w prawo.

Trzydzieści siedem w lewo.

Dwanaście w prawo.

Poruszyłem małymi cylinderkami. Zamek kliknął.

W aktówce było sto dziesięć tysięcy dolarów z Funduszu Anny. I setki tysięcy innych.

Nic nie dzieje się bez przyczyny. Deanna zawsze w to wierzyła. I teraz wreszcie się z nią zgodziłem.

Gadaliśmy.

Gadaliśmy.

Gadaliśmy.

Przez całą noc.

Powiedziałem Deannie, co zamierzam.

Najpierw nie wierzyła. Kazała mi wszystko powtarzać po parę razy, bo myślała, że się przesłyszała.

– Mówisz poważnie?

– Wszyscy uważają, że nie żyję. Rozumiesz? Uważam, że tak powinno zostać.

Powiedziałem jej wszystko, co przedtem zataiłem. O T&D Music House. O wewnętrznym dochodzeniu w firmie. O tym, że wkrótce niewątpliwie zostanę oskarżony.

Deanna wciąż się opierała. Nastawiła kawę; przeszliśmy do piwnicy, żeby nie obudzić Anny.

Wyobrażaliśmy sobie przyszłość – w dwóch wersjach.

W pierwszej jutro z samego rana zjawiałem się na posterunku policji i oddawałem się w ręce sprawiedliwości. Najpierw przetestowaliśmy tę wersję. Zgłaszałem się na policję, angażowałem prawnika i czekałem na proces. Prawdopodobnie przegrywałem. Zmowa w celu popełnienia morderstwa, z dowodem rzeczowym A, na którym słyszeć, jak proszę Winstona, żeby kogoś zabił. Trudno się z czegoś takiego wytłumaczyć, więc mogłoby się skończyć na piętnastu latach. Może wyszedłbym po dziesięciu za dobre zachowanie, chociaż wisiałby nade

mną jeszcze drugi wyrok za defraudację.

Dziesięć do piętnastu lat. To nie wieczność. Może nawet da się wytrzymać. Ale trzeba było wziąć pod uwagę inny wyrok.

Ten, który otrzymała Anna. Oczywiście, mogło się zdarzyć, że nie zostanie wykonany, że przyjdzie ułaskawienie. Ale nie było na to większych szans. Być może – tu prawdopodobieństwo było większe – będzie to wyrok śmierci. A to znaczyło, że kiedy odsiedzę te dziesięć do piętnastu lat, kiedy wreszcie pospieszę w ramiona rodziny, czekającej na mnie za murami więzienia Attica – będzie to rodzina szczuplej sza o jedną osobę. Zostanie nas tylko dwoje. I raczej dojdzie do tego szybciej niż później. Będą też inne noce, kiedy znajdziemy Annę nieprzytomną i dygoczącą; będą zastrzyki, podawane drżącą ręką, żeby wyrwać ją ze śpiączki. Utrzymywanie Anny przy życiu to zadanie dla dwojga. Zawsze tak było.

A ponieważ oboje już sobie wyobrażaliśmy tę przyszłość, poszliśmy na całość. Wiadomość otrzymana w więzieniu, może listownie: „Z żalem powiadamy, że pańska córka Anna zmarła w dniu wczorajszym”. Żebrawanie o przepustkę, żeby móc pójść na jej pogrzeb. Odmowa. Konieczność oglądania przez szklaną ścianę zapadniętej twarzy Deanny.

Tę wersję wyobrażaliśmy sobie najpierw.

A potem drugą. Zupełnie inną.

Życie zupełnie gdzie indziej. Pod zmienionymi nazwiskami. Wspólne życie, wspólne radzenie sobie z problemami.

A także czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów jako zabezpieczenie. Zabezpieczenie dla Anny.

Właśnie tyle znajdowało się w aktówce. Nasze sto dziesięć i trzysta czterdzieści od innych oskubanych.

To właśnie był kolejny powód, żeby zastanowić się poważnie nad drugą wersją. Ta aktówka. Ktoś mógł jej szukać.

Tej nocy czasami wydawało mi się, że rozmawiamy o kimś innym. Że to nie może dotyczyć naszej rodziny, na pewno chodzi o kogoś innego. Przeciętna – mniej więcej – rodzina z klasy średniej nagle ma się stać inną przeciętną rodziną. Czy to możliwe? Czasami tak się dzieje, nieprawda? Całe rodziny zostają objęte programem ochrony świadków: nowa tożsamość, nowe życie. Ale to, oczywiście, co innego.

Nas policja nie będzie ukrywać, to my się będziemy ukrywać przed policją. Tą z Nowego Jorku.

Właściwie przed każdą.

W rezultacie wszystko sprowadzało się do jednego: Anny. Co jest dla niej najlepsze? Co gwarantuje jej dłuższe życie? Ze mną czy beze mnie? Możliwe, że sąd mnie uniewinni. W końcu nawet pomimo tego skoku w bok sympatia przysięgłych byłaby po mojej stronie. Jak również inteligentny prawnik. Naprawdę mógłbym się wybronić, ale na to miałem w najlepszym wypadku pięćdziesiąt procent szans.

Czy mogliśmy ryzykować? Zdać się na łaskę losu?

Mogliśmy – ze względu na Annę.

Nie mogliśmy – ze względu na Annę.

Najpierw powinienem zniknąć – już dziś. A co z Deanną? Musi czekać, i to długo. Pół roku, może rok. I przez cały ten czas Anna nie może się o niczym dowiedzieć – co do tego się zgadzaliśmy. Mogłaby coś chlapanąć, wydać nas. Przez cały rok miała żyć ze świadomością, że jej ojciec nie żyje.

Analizowaliśmy to z każdej strony, w tę i z powrotem.

W końcu zwyciężyło zwyczajne zmęczenie. Ciągłe wałkowaliśmy logiczne i racjonalne argumenty, aż wszystko nam się pomieszało.

O piątej nad ranem najbardziej logiczną, najrozsądniejszą decyzją na świecie wydało się nam zniknięcie z powierzchni ziemi.

Nie zgłoszę się na policję.

Umarłem.

WYKOLEJONY: 46

Ten nocy wyjechałem.

Ale zanim opuściłem dom, zanim wziąłem Deannę w uścisk, który trwał chyba ze dwadzieścia minut i podczas którego nie padło ani słowo, cichutko poszedłem na górę i spojrzałem na moją córkę.

Spała głęboko, zasłaniając twarz ramieniem, jakby nie chciała czegoś widzieć. Może to zły sen. Pożegnałem się z nią szeptem.

Nie wiedziałem, dokąd jadę.

Byle daleko.

O szóstej rano wsiadłem do autobusu do Chicago. Miejsce równie dobre jak każde inne.

Obok mnie siedział chudy i zdenerwowany student prawa.

– Mike – przedstawił się i wyciągnął rękę.

– Lawrence – powiedziałem. – Mów mi Larry.

Po raz pierwszy użyłem nowego imienia – po raz pierwszy wypowiedziałem je na głos. Czułem się dziwnie, jakbym zobaczył siebie z brodą. Będę musiał przywyknąć.

Mike miał świra na punkcie sportu; po ukończeniu studiów chciał zostać agentem sportowym. Miałem mu powiedzieć, że mogę mu pomóc, że znam paru agentów, ponieważ od lat współpracujemy ze sportowcami przy reklamach, ale w porę się powstrzymałem. Od dziś nie pracowałem w reklamie. Od dziś nigdy nie pracowałem w reklamie. Zacząłem się zastanawiać, co powiem, kiedy ktoś mnie zapyta, czym się zajmuję. I co zrobię, kiedy dojadę na miejsce.

Oprócz uprawnień do nauczania, które zdobyłem w Queens College – nie żebym jakoś szczególnie chciał być nauczycielem, ale ponieważ wtedy nie wiedziałem, co innego mógłbym robić – mogłem tylko działać w reklamie. Jak mam zamiar zarabiać na życie?

W drodze do Chicago parę razy zapadłem w drzemkę. I miałem sen. O Winstonie. Siedział ze mną w moim dawnym gabinecie i rozmawialiśmy o szansach Jankesów w nadchodzącym sezonie. Potem Winston usłyszał szczekanie psa, wstał i wyszedł. Obudziłem się; Mike dziwnie na mnie patrzył. Przestraszyłem się, że mówiłem przez sen, ale Mike tylko się uśmiechnął i zaproponował mi połowę kanapki z tuńczykiem.

W Chicago uściskałem mu rękę i życzyłem szczęścia.

– I wzajemnie – powiedział. Pomyślałem, że będzie mi bardzo potrzebne.

Znalazłem mieszkanie nad jeziorem.

Zabrałem ze sobą sumę, dzięki której mogłem spokojnie przeżyć. Wystarczyło na ubezpieczenie i czynsz za jeden miesiąc.

W okolicy mieszkali głównie Ukraińcy.

Przy ładnej pogodzie sąsiedzi siadali na gankach. Dzieci jeździły na rowerkach i grały w baseball. Miesiąc po moim przyjeździe sąsiedzi zorganizowali wielkie przyjęcie. Łysy, krępy Ukraińiec zapukał do moich drzwi i spytał, czy chcę się dorzucić.

Dałem mu dwadzieścia dolarów. Był bardzo zadowolony. Wymógł na mnie obietnicę, że do nich przyjdę.

Nie miałem zamiaru; chciałem zostać w mieszkaniu i przeczytać „Chicago Sun – Times”. Lawina artykułów o eksplozji w hotelu Fairfax powoli ograniczyła się do jednego, dwóch na tydzień, ale w dzisiejszym numerze zamieścili zaktualizowaną listę zmarłych. I

choć się tego spodziewałem, choć na to czekałem, na widok mojego własnego nazwiska, wydrukowanego czarno na białym zbladłem i omal nie upuściłem kawy. Moje nazwisko przeniesiono z zaginionych do zmarłych. Już oficjalnie.

Na liście ofiar pojawiło się także inne nazwisko. Raul Vasquez. Wreszcie go zidentyfikowali.

Wstałem i podszedłem do okna. Z ulicy dobiegała muzyka i śmiech. Nagle zdałem sobie sprawę, że jestem samotny.

Zszedłem na dół.

Miejscowy zespół grał ukraińskie piosenki ludowe – tak mi się w każdym razie wydawało, bo wszyscy znali słowa, a na środku ulicy tańczyło co najmniej dwadzieścia osób. Na chodnikach stały przenośne grille. Młoda kobieta podała mi jakąś kielbaskę w drożdżowym cieście. Podziękowałem i zacząłem zajadać.

Wtedy zobaczyłem, że w moją stronę zbliża się policjant.

– Hej – zawołał.

Zamarłem. Każde włókienko mojego ciała darło się, żebym uciekał, rzucił jedzenie i pryskał.

– Hej!

Policjant coś mi podawał.

Piwo.

Był po służbie i mieszkał w okolicy. Chciał mi okazać życzliwość.

Uszło ze mnie całe powietrze. Po raz pierwszy od przyjazdu do Chicago odprężyłem się. Zostałem z nimi do północy. Piłem piwo, jadłem kielbaski i klaskałem do taktu.

Drugim problemem było to, że nie mogłem się z nimi spotykać. Z Deanną i Anną.

Najgorsze było, że wiedziałem, przez co przechodzi Anna.

Raz na tydzień dzwoniłem na komórkę Deanny. Z automatu, na wszelki wypadek.

Raz na tydzień pytałem Deannę, jak Anna sobie z tym radzi, a Deanna wzdychała i zaczynała mówić.

– Tak trudno mi wytrzymać, żeby jej nie powiedzieć... Wczoraj... – nie mogła dalej mówić.

Nie musiała.

Widziałem Annę wyraźnie. Całymi godzinami siedziałem w mieszkaniu, nie robiąc nic innego. Próbowałem to zmienić, ale równie dobrze mógłbym się starać wyrzucić z głowy

Winstona.

– A może... – zacząłem, ale Deanna mi przerwała.

– Nie, Charles. Jeszcze nie.

– Chcą, żebym wyprawiła ci pogrzeb – powiedziała parę tygodni później. – Ciocia Rose, Joe i Linda. Powiedziałam im, że zaginałeś. Że dopóki oficjalnie nie uznają cię za zmarłego, będę się trzymać nadziei, że jednak żyjesz. Oczywiście, Joe uważa, że się łudzę. Jego zdaniem, minęło już zbyt wiele czasu, żebym dalej zamykała oczy na rzeczywistość. Powiedziałam mu, żeby pilnował własnego nosa. Niezbyt dobrze to przyjął. Wydaje mi się, że rodzina zaczyna się rozpadać. Wszyscy przeciwko wariatce.

– I dobrze – powiedziałem.

Na tym, mniej więcej, polegał nasz plan.

Za jakieś pięć, sześć, siedem miesięcy Deanna i Anna miały do mnie przyjechać. Odcinając się od reszty rodziny. To było nasze dawne życie. Nie mogliśmy ich zabrać w następane. Dobrze by było, pomyśleliśmy, gdybyśmy się z nimi poróżnili. Niechęć Deanny, by stawić czoło faktom, i namowy jej krewnych stanowiły niespodziewaną, doskonałą okazję, by do tego doprowadzić. Telefony od współczujących krewnych zdarzały się już coraz rzadziej. Wznosiły się mury, chlupotały fosy. Jedynym wyjątkiem była mama Deanny. Zgodziliśmy się, że w pewnym momencie zamkniemy oczy i jej powiemy.

Stawało się dla nas coraz bardziej jasne, że zniknięcie z powierzchni ziemi nie jest takie łatwe – trzeba poprzecinać więzy, wyrwać korzenie. To tak, jak gdyby się przygotowywać do długich, skomplikowanych wakacji – ale z takich bez powrotu.

– A, prawda. Dzwonili w sprawie ubezpieczenia – rzekła Deanna. – Już im chciałam powiedzieć, że nie chcę cię jeszcze uznać za zmarłego, że nie muszą mi nic wypłacać, ale ta kobieta oznajmiła, że wystąpili na drogę sądową. Ze względu na to, że cię zawiesili, wpłaty przestały wpływać. Chciała mnie o tym poinformować.

Co za ironia losu, pomyślałem.

Czas upływał mi także na innych zajęciach.

Z zacząłem się interesować uzyskaniem lewych dokumentów.

Miałem już prawo jazdy. Chciałem coś więcej.

Winston powiedział, że nie ma nic łatwiejszego niż zdobycie fałszywek i nie pomylił się. W naszych czasach trzeba mieć tylko dostęp do Internetu.

Wszedłem do kawiarenki internetowej i napisałem „Fałszywe dokumenty”. Znalazłem

co najmniej cztery strony, które aż się paliły do pomocy.

Cały dowcip polega na tym, żeby zdobyć pierwszą fałszywkę. Potem idzie już łatwo. A dzięki Winstonowi ja już tę fałszywkę miałem. Prawo jazdy, które – jeśli wierzyć stronie „Kim jesteś?” – jest uważane za podstawowy dokument. To znaczy, że na jego podstawie można zdobyć wszystkie inne. Na przykład kartę ubezpieczenia socjalnego, wystarczy się po prostu zgłosić.

Powoli budowałem nową tożsamość.

Karta kredytowa. Karta stałego klienta w Barner&Noble oraz Costco. Karta biblioteczna. Wszystko to, co powinno się nosić w portfelu.

Skoro już miałem tożsamość, powinienem zdobyć pracę.

Pewnego dnia w „Chicago Tribune” przeczytałem artykuł o kryzysie systemu edukacyjnego w Illinois. Ludzie o wysokich kwalifikacjach zajmują się innymi, bardziej lukratywnymi zawodami, a szkoły są straszliwie zaniedbane. Klasy stłoczone razem. Ograniczane programy. Władze stanowe zastanawiały się nad przeprowadzeniem kampanii rekrutacyjnej za pośrednictwem mediów. Było coś jeszcze. Zamierzali dopuścić do nauczania nawet osoby bez uprawnień – każdy, kto obieca, że złoży odpowiednie egzaminy, mógł ubiegać się o posadę nauczyciela.

Pomyślałem, że to moja szansa.

Najbardziej poszkodowanym rejonem było Oakdale – jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Chicago. Miasto niegdyś prosperujące dzięki zakładom, obecnie podupadłe. Przeważnie robotnicy i mniejszości, a w każdej klasie do siedemdziesięciorga dzieci. Tamtejsza szkoła dosłownie błagała o nauczycieli.

Pewnego dnia wybrałem się tam na zwiady.

Wysiadłem z autobusu i przeszedłem się główną ulicą. Mnóstwo zamkniętych sklepów i wybitych okien. Z parkometrów zostały same słupki. Tylko bary prosperowały całkiem nieźle. Było wczesne popołudnie, a w każdej knajpie widziałem pełno bezrobotnych. Z baru Banyon dobiegł wrzask:

– Kurwa!

I brzęk tłuczonego szkła.

Przyspieszyłem kroku.

Wszedłem do restauracji i usiadłem za barem.

– Tak? – burknął właściciel. Był gruby i zmęczony, a fartucha nie prał chyba od lat.

– Hamburger – zaordynowałem.

– Jaki?

– Średnio wysmażony.

– Dobrze.

Nie podniósł się z krzesła.

Po paru minutach spytałem:

– Zrobi mi pan tego hamburgera?

– Czekam na kucharkę.

– A gdzie ona?

Właśnie wtedy się pojawiła. Pewnie jego żona. Paliła papierosa.

– Burger – poinformował ją właściciel. – Średni.

Wyjęła zamrożoną bułkę spod lady i położyła ją na grillu.

– I frytki?

– Jasne.

– Wprowadził się pan? – spytał właściciel.

– Nie. Ale może... Zastanawiam się.

– Mhm. Po co?

– Słucham?

– Po co się tu sprowadzać?

– Może w szkole będzie dla mnie praca.

– Pan nauczyciel?

– Tak.

– W szkole nigdy mi nie szło. Nie miałem do tego głowy.

– No, ale wyszedł pan na swoje.

– No pewnie. Dobrze mi się wiedzie.

Jego żona położyła przede mną hamburgera. Był różowy i ociekał tłuszczem.

– Co się stało z tymi parkometrami? – spytałem.

– A, to. Ktoś je ukradł.

– Nie wymienili?

Wzruszył ramionami.

– Nie. Po co? I tak nie mamy służby miejskiej, więc nikt się nie przejmuje parkometrami.

– Nie macie służby miejskiej? Dlaczego?

– Bo nic nie mamy. Miasto zbiedniało. Jeden posterunek policji obsługuje nas i Cicero.

– O – mruknąłem. Obywatele na ogół bywają zaniepokojeni brakiem posterunku w mieście. Ja nie. Mnie ta informacja uspokoiła.

Oakdale w Illinois. Coraz bardziej byłem przekonany, że znalazłem swoje miejsce na ziemi.

Wysłałem życiorys oraz list motywacyjny do szkoły w Oakdale.

Napisałem, że mam dyplom uprawniający do nauczania, lecz po skończeniu studiów postanowiłem rozwinąć się w innym kierunku. Odniosłem sukces, ale obecnie poczułem potrzebę, by dać coś z siebie innym. By kształtować młode umysły. Dziwne to, ale wcale nie kłamałem. Przez dużą część życia usiłowałem sprzedać kolejną kartę kredytową lub pizzę; sama myśl, że mógłbym zacząć robić coś dla innych, wydała mi się naprawdę pociągająca.

Umysłnie byłem niekonkretny. Napisałem „uniwersytet stanowy” nie wymieniając nazwy wydziału, który skończyłem. Opierałem się na fakcie, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Niedofinansowany i przeciążony system edukacyjny, rozpaczliwie potrzebujący nowych nauczycieli, na ogół nie miewa tendencji do przesadnej drobiazgowości.

Wysłałem list i życiorys w lipcu.

Dziesiątego sierpnia dostałem odpowiedź.

Zapraszali mnie na rozmowę.

WYKOLEJONY: 47

Zacząłem uczyć od pierwszego września.

Angielski w siódmej klasie. Pozwolili mi zdecydować, gdzie chcę uczyć, więc wybrałem dzieci zbliżone wiekiem do Anny. W tej chwili nie mogę jej pomóc, pomyślałem, więc pomogę innym dzieciom.

Powietrze było łagodne, ale w wietrzyku czuło się już jesień, tak jak w wietrze nad oceanu czuć w sierpniu lodowate podmuchy. Stałem na schodkach szkoły podstawowej imienia George’a Washingtona, ubrany w koszulę z krótkim rękawem, i dygotałem.

Pierwszy dzień był najgorszy.

Dzwonek przestał jazgotać i spojrzało na mnie pięćdziesiąt jeden par sceptycznych oczu.

Dwie trzecie to byli czarni, jedna trzecia bardzo chciałaby być. Nawet białe dzieci nosiły te szerokie spodnie z niskim krokiem, z gumką majtek wyglądającą zza paska. Ćwiczyły krok, który ich czarnym kolegom wydawał się przychodzić naturalnie. Przed pierwszym dzwonkiem stały na boisku i ćwiczyły rap.

Kiedy napisałem swoje nazwisko na tablicy, kreda mi się złamała i cała klasa zaczęła

się śmiać. Zajrzałem do szuflady w poszukiwaniu drugiego kawałka, ale nic nie znalazłem – w tym pierwszym roku tak samo było ze wszystkimi pomocami szkolnymi.

Na tablicy zostało „Pan Wid...”.

I tak mnie zaczęli nazywać. Pan Wid.

Nie poprawiałem ich. To przełamało lody tego pierwszego dnia, a z czasem prawie polubiłem to przezwisko, pomijając pewne graffiti, które znalazłem któregoś dnia nad pisuarem w toalecie dla chłopców.

Trzymam główkę Wida!

Ich także polubiłem – nawet autora napisu, który przyznał się do wszystkiego, kiedy złapano go na gorącym uczynku i ukarano dwoma popołudniami w kozie. Tak się złożyło, że pilnującym go nauczycielem byłem ja. Sam się zgłosiłem do tego zadania. Nie miałem dokąd pójść, nikt na mnie nie czekał. Więc pilnowałem zatrzymanych uczniów, dawałem dodatkowe lekcje, pomagałem szkolnej drużynie koszykówki.

Autor graffiti miał na imię James, ale wolał być nazywany J-Cool. Zaproponowałem, że będę tak do niego mówić, jeśli przestanie pisać o główce Wida.

Powiedział: umowa stoi.

Zostaliśmy przyjaciółmi.

W ogóle byłem dość lubiany. Nie tylko przez uczniów, ale i ciało pedagogiczne, ponieważ zawsze zgłaszałem się na ochotnika do zadań, które w przeciwnym razie spadłyby na ich barki.

Ale popularność ma swoje minusy.

Kiedy ludzie cię lubią, nieodmiennie o ciebie pytają. Są ciekawi, skąd pochodzisz, co robiłeś wcześniej, czy jesteś żonaty, czy masz dzieci.

Przerwa obiadowa stawała się dla mnie krępująca. Była jak tor z przeszkodami, jak czterdziestopięciominutowe negocjacje, podczas których musiałem zachować najwyższą uwagę, żeby na czymś nie wpaść. Mógłbym zacząć z kimś rozmawiać i zapomnieć, co powiedziałem komuś innemu. Na przykład Ted Roeger, który uczył matematyki w ósmej klasie. Zaprosił mnie na weekendowe rozgrywki baseballu. Uprzejmie odmówiłem. Potem Susan Fowler, nauczycielka plastyki, po trzydziestce, samotna i zdesperowana. Zawsze dosiadała się do mnie przy obiedzie i kierowała rozmowę na związki i ich problemy.

W końcu poszedłem do domu i spisałem koleje życia Lawrence’a Widdoesa. Od dzieciństwa po dzień dzisiejszy. Nauczyłem się ich na pamięć, odpytujac się z nich sumiennie.

Gdzie dorastałeś?

Na Staten Island (Blisko domu, owszem, ale musiałem wybrać miejsce, o którym cokolwiek wiedziałem. A ponieważ przejeżdżałem przez Staten Island tak z milion razy w drodze do cioci Kate, znałem okolicę na tyle, żeby nie zgłupieć, kiedy jakiś tubylec mnie o coś zapyta).

Czym zajmowali się twoi rodzice?

Ralph, mój ojciec, był mechanikiem samochodowym. Anne, matka, była gospodynią domową. (Czemu nie? Mechanik to zawód równie dobry jak każdy inny, a w tamtych czasach większość kobiet była gospodyniami domowymi).

Masz rodzeństwo?

Nie. (Święta prawda).

Gdzie kończyłeś studia?

Na uniwersytecie stanowym. (Przynajmniej tak napisałem w życiorysie).

Co robiłeś przedtem?

Prowadziłem domową firmę dystrybucji kosmetyków. Lakiery do włosów. Kremy do twarzy. Balsamy do ciała. (W Merrick miałem kolegę, który się tym zajmował, więc coś tam o tym wiedziałem – na tyle, żeby sklecić ze dwa zdania).

Jesteś żonaty?

Tak. I nie. (Trudne pytanie. Nie mieszkalem z żoną i dziećmi, ale jeśli rzeczy przybiorą pomyślny obrót, wkrótce z nimi zamieszkam. Niebawem się tu pojawią. Dlaczego? Bo padliśmy ofiarą wielkiej choroby dwudziestego stulecia – problemów małżeńskich – i na jakiś czas się rozstaliśmy. Ale tylko na jakiś czas. Teraz próbujemy odbudować nasz związek – mamy nadzieję, że to się nam uda i że wkrótce będziemy razem).

Masz dzieci?

Tak. Jedno. Córkę.

Trzymałem się blisko prawdy prawie we wszystkich przypadkach. Tak będzie łatwiej, kiedy nagle zgłupieję, a ktoś mnie zapędzi w kozzi róg pytaniem, na które nie byłem przygotowany. Życie Lawrence'a Widdoesa różniło się od życia Charlesa Schine'a, owszem, ale nie aż tak i te różnice powoli, z oporami zaczęły się stawać moją drugą naturą. Zapoznałem się z nimi, przyzwyczaiałem do nich, karmiłem je, wyprowadzałem na spacerki po parku i wreszcie uznałem za własne.

– Jest dializowana – powiedziała Deanna.

Stałem przy automacie telefonicznym dwie przecznice od mojego mieszkania w

Chicago. Był już październik. Znad jeziora wiał wicher, od którego trzęsła się cała budka. Oczy mi łzawiły.

– Od kiedy?

– Od miesiąca. Nie chciałam ci mówić.

– Jak... jak to znosi?

– Jak wszystko ostatnio. W tym strasznym milczeniu. Błagam, żeby do mnie przemówiła, nawrzeszczała na mnie, cokolwiek. A ona tylko patrzy. Odkąd odszedłeś, zamknęła się w sobie. Jest tak napięta, że chyba zaraz wybuchnie. Zabrałam ją do psychologa, ale podobno nawet nie otworzyła ust. Zwykle pacjentów można przeczekać – milczenie staje się tak niezręczne, że łamią się, żeby tylko je zagłuszyć. Ale nie nasza Anna. Wyglądała przez okno przez pięćdziesiąt minut, po czym wstała i wyszła. A teraz to.

– O Jezu... Czy to boli?

– Nie sędzę. Doktor Baron uspokaja, że nie.

– Jak długo to trwa?

– Sześć godzin. Mniej więcej.

– I to ją nie boli? Na pewno?

– Boli ją to, że cię nie ma. To ją zabija. A mnie zabija, że nie mogę jej powiedzieć.

Chyba już długo nie wytrzymam... – Zaczęła płakać.

Nagle poczułem się tak, jakby wszystkie części mojego ciała, które jeszcze były na chodzie, przestały funkcjonować. Ktoś wyjął mi serce i zostawił dziurę. Ta dziura czekała, aż Anna przyjedzie i ją wypełni. Anna i Deanna. Zacząłem obliczać. Ile to było... cztery miesiące?

– Wystawiłaś już dom na sprzedaż?

– Tak. Powiedziałam wszystkim, z którymi jeszcze rozmawiam, że muszę wyjechać. Tu jest zbyt wiele wspomnień. Muszę zacząć od nowa.

– A z kim rozmawiasz?

– Właściwie już z nikim. Moje ciotki i wujkowie się ode mnie odwrócili – znowu pokłóciłam się z Joem. Nasi przyjaciele? Śmieszne... najpierw gładzą, że nic się nie zmieni, ciągle mnie zapraszają na sobotnie kolacyjki i niedzielne grille, ale coś się jednak zmienia. Wszyscy kogoś mają, a ja jestem sama, więc oni czują się niezręcznie. Łatwiej im mnie nie zapraszać. Martwiliśmy się, jak zakończyć z nimi znajomość, a tu znajomość sama się skończyła. Z kim rozmawiam? Głównie z matką. To wszystko.

– Przy pierwszej rozsądnej ofercie sprzedaj dom – powiedziałem. – Już czas.

WYKOLEJONY: 48

Znalazłem dom na przedmieściach Oakdale.

Dość kiepski, skromny domek z lat pięćdziesiątych, ale miał trzy sypialnie, mały ogródek i stał na uboczu.

Wynająłem go.

I zacząłem na nie czekać.

Deanna sprzedała dom.

Nie dostała za niego najlepszej ceny, ale i nie najgorszą. Wystarczającą.

Ale kiedy powiedziała Annie, że wyjeżdżają, musiała stawić czoło burzy z piorunami. Deanna chciała się pozbyć wspomnień – Anna chciała je zatrzymać. Deanna oznajmiła, że klamka zapadła, nie ma odwrotu. Anna uciekła w grobowe milczenie.

Zostawiły większość mebli. Nie chcieliśmy dawać naszego nowego adresu żadnemu przedsiębiorstwu przeprowadzkowemu.

Zapakowały samochód po sam dach i wyruszyły.

Gdzieś pomiędzy Pensylwanią i Ohio Deanna zjechała na pobocze drogi i powiedziała Annie, że żyję.

Potwornie się tego baliśmy.

Jak się właściwie mówi dziecku, że ojciec żyje? Ze jednak nie zginął w wybuchu? Nie mogłem przecież po prostu wyskoczyć z krzaków. Na coś takiego trzeba ją było przygotować.

Zastanawialiśmy się także, co jej powiedzieć. Jak to się stało, że żyję? A raczej, dlaczego przez tyle miesięcy trzymaliśmy ją w nieświadomości?

Miała czternaście lat – w połowie była jeszcze dzieckiem.

Więc zdecydowaliśmy się na historię prawdziwą w połowie.

Deanna zatrzymała samochód na parkingu przy autostradzie numer 96. Potem opowiedziała mi, jak poszło.

– Mam ci coś do powiedzenia – zaczęła, a Anna ledwie na nią spojrzała. Nadal prowadziła coś w rodzaju milczącego strajku. Milczenie było bronią, jedyną, jaką miała.

– Będzie ci trudno uwierzyć i bardzo, bardzo się na mnie pogniewasz, ale spróbuję ci to wytłumaczyć. Dobrze?

Teraz Anna patrzyła już na nią, ponieważ zabrzmiało to poważnie.

– Twój ojciec żyje.

Najpierw, powiedziała Deanna, Anna popatrzyła na nią jak na wariatkę. Potem powtórzyła jej słowa, jakby podejrzewała Deannę o jakiś chory żart. Przez jej twarz przemknął wyraz bardzo podobny do odrazy; zapytała, dlaczego Deanna jej to robi.

– Bo to prawda, kochanie. On żyje. Jedziemy, żeby się z nim spotkać. Czeka na nas w Illinois.

I w tym momencie Anna jej jednak uwierzyła, ponieważ wiedziała, że matka nie postradała zmysłów i nie mogłaby być aż tak okrutna, żeby z niej żartować.

Coś w niej pękło, wreszcie, ostatecznie i spektakularnie. Zaczęła spazmatycznie szlochać. Płakała tak strasznie, że trudno było zrozumieć, skąd w jej ciele bierze się tyle wody. Płakała ze szczęścia, z czystej, niezmażonej ulgi.

Potem Deanna głaskała ją po głowie, a Anna pytała.

– Dlaczego mi powiedziałaś, że nie żyje?

– Bo nie mogliśmy ryzykować, że się przed kimś zdradzisz. Może to był błąd – strasznie cię przepraszam, że cię na to naraziliśmy. Myśleliśmy, że to jedyny sposób. Uwierz mi.

– Dlaczego tata udaje, że nie żyje? Nie rozumiem.

– Bo ma kłopoty. Nie z własnej winy, ale mogliby mu nie uwierzyć.

– Kto?

– Policja.

– Policja? I tato?

– Znasz swojego ojca, wiesz, że jest dobrym człowiekiem. Ale mogliby w to nie uwierzyć. Trudno mi to wyjaśnić. Miał kłopoty, z których nie potrafił się wyzwolić.

Powiedziała jej całą resztę. Zmiana imion. Zmiana życia. Zmiana wszystkiego.

– Mam zmienić imię?

– Zawsze mówiłaś, że ci się nie podoba, pamiętasz?

– Tak. Ale... nie mogę zmienić tylko nazwiska?

– Może. Zobaczymy.

W końcu, powiedziała Deanna, Anna uznała, że wstrząsająco dobra wiadomość o moim ocaleniu wymazała wstrząsająco złą wiadomość o kompletnej zmianie jej życia. I tę, że od miesięcy ją okłamywaliśmy.

– Jamie – powiedziała.

– Co?

– Imię. Podoba mi się Jamie.

Czekałem na nie w Chicago.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku i Anna wyskoczyła z niego, zanim na dobre stanął. Rzuciła mi się w ramiona.

– Tatusiu! – powtarzała. – Tatusiu... tatusiu... tatusiu...

– Kocham cię – szepnąłem. – Bardzo cię przepraszam, skarbie... Bardzo...

– Ćśśś... – przerwała mi. – Żyjesz.

WYKOLEJONY: 49

Nasze nowe życie.

Wstaję o wpół do siódmej i robię śniadanie dla Deanny i Anny. Dla Jamie. Chodzi do mojej szkoły. Zdołałem ją zapisać. Dyrektor spytał, czy może dostać jej akta z poprzedniej szkoły, na co ich nowy ulubiony nauczyciel powiedział, że jasne, czemu nie – powiadomi jej poprzednią szkołę, która przyśle akta w ciągu paru najbliższych miesięcy. Dyrektor się zgodził i już nigdy więcej nie poruszył tego tematu.

Znalazłem miejscowego urologa, niejakiego doktora Milbourne'a, żeby Anna mogła dalej robić dializę. Poprosił o jej dane. Odpowiedziałem to samo co dyrektorowi. Nie zmartwił się z nadto, ponieważ Deanna miała wyniki poziomu cukru z ostatnich pięciu lat. To wraz z aktualnym poziomem cukru oraz innymi badaniami powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć. Dializował ją w gabinecie i polecił nam kupić przenośne urządzenie, którego można używać w domu. Moje nowe ubezpieczenie, uzyskane dzięki uprzejmości Rady Edukacji Stanu Illinois, pokryło koszt.

Udało mi się znaleźć w Chicago drugstore, w którym sprzedawano tę specjalną insulinę, jakiej potrzebowała Anna, tę ze świńskich komórek, z wolna wypieraną przez insulinę syntetyczną, na którą Anna nie reagowała równie dobrze.

Deanna, która przybrała swoje drugie imię, Kim, podjęła pracę na część etatu jako recepcjonistka, żeby podreperować rodzinne finanse.

I przydarzyła się nam dziwna, zdumiewająca rzecz.

Znowu zaczęliśmy być szczęśliwi.

Uświadamialiśmy to sobie stopniowo, w drobnych olśnieniach tu i tam, aż wreszcie mogliśmy bez lęku powiedzieć to na głos.

Daliśmy drugą szansę zjawisku zwanemu rodziną. Chwyciliśmy ją mocno i trzymaliśmy tak, jakby od tego zależało nasze życie. Czuliśmy się trochę jak w początkach naszego małżeństwa, pełni nadziei i namiętności. Nie wiedzieliśmy, jak długo zostanie z nami Anna, to prawda, ale postanowiliśmy docenić każdą minutę z nią. Teraz już o tym

rozmawialiśmy, pocieszaliśmy się nawzajem, odnajdywaliśmy w sobie siłę. Wygnaliśmy milczenie z naszego domu. Staliśmy się wzorem komunikacji w rodzinie.

I powoli wróciła do nas intymność. Tej pierwszej wspólnej nocy, gdy Anna leżała bezpiecznie w łóżku, rzuciliśmy się na siebie z rozpaczliwym zapamiętaniem. Seks zyskał nowy smak i nowy dreszcz. Napadliśmy na siebie, zdarliśmy z siebie ubranie, kochaliśmy się do ostatnich potów, a po wszystkim spojrzeliśmy na siebie ze zdziwieniem. Czy to naprawdę my?

Dwa miesiące później Deanna oznajmiła, że jest w ciąży.

– Jesteś co?

– Przy nadziei. W stanie błogosławionym. Z brzuchem. I co? Jak uważasz? Mam iść na zabieg?

– Nie – powiedziałem.

Kiedyś chcieliśmy mieć więcej dzieci. Zmieniliśmy zdanie po chorobie Anny. Ale teraz chcieliśmy tego dziecka jak niczego na świecie.

– No – powiedziała Deanna. – Też tak myślę.

Siedem miesięcy później Jamie zyskała braciszka. Nazwaliśmy go Alex. W hołdzie dla poprzedniego wcielenia Jamie – i dla mojego dziadka Alexandra.

Raz omal nie wpadłem.

Wychodziłem z drugstore'u Roxmana z receptą Anny. Dumiałem nad gwałtownością zimy w Chicago – Wietrzne Miasto to nie jest trafna nazwa.

Lodowate Miasto. Miasto Szczękających Zębów. Miasto Odmrożeń. To już prędzej.

Byłem ubrany w parkę, włóczkową czapkę, nauszники, futrzane rękawice, a i tak dygotałem. Na górnej wardze zamarzała mi para wodna. Szukałem swojego samochodu na parkingu i modliłem się, by zechciał ruszyć.

Minąłem biurowiec i wpadłem na kogoś jasnowłosego.

– Przepraszam – powiedziałem, odwracając się.

Mary Widger.

– Nie szkodzi – mruknęła.

Odwróciłem się do niej plecami i poszedłem dalej. Przypomniałem sobie, że jeden z naszych nadzianych klientów miał tu siedzibę. Mary pewnie przyjechała na zebranie. Na rogu zakręciłem i obejrzałem się dyskretnie. Wciąż tam stała.

Czyżby mnie rozpoznała?

Wątpiłem w to. Nadal miałem brodę. Byłem zakutany w futra i skóry. A jednak serce mi na chwilę stanęło. Nie mogłem złapać oddechu.

Czekałem parę minut; od waru, jaki mnie oblał, zaczął się roztopiać śnieg wokół mnie. Wreszcie zrobiłem parę kroków i wyrzalem z za rogu budynku.

Już jej nie było.

WYKOLEJONY: 50

Alex miał dwa latka.

Buzia mu się nie zamykała, robił ćwiczenia gimnastyczne na wszystkim, co nie zdążyło uciec, i w ogóle był zachwycający.

Kim wróciła do pracy w recepcji.

Jamie się trzymała. Pod względem medycznym, edukacyjnym, nawet towarzyskim. Zaprzyjaźniła się z dwiema dziewczynkami z tej samej ulicy. Zostawały u siebie na noc, organizowały przyjęcia z pizzą i razem chodziły do kina.

A pan Wid? Zapoznawał siódmoklasistów z paroma dziełami Marka Twaina.

Jeden z klasycznych cytatów z Twaina wydawał mi się ostatnio wyjątkowo trafny.

Wieści o mojej śmierci były mocno przesadzone.

Nie tylko Jamie zdołała znaleźć sobie przyjaciół. Po pół roku życia na dystans wreszcie przyjąłem parę zaproszeń. Powoli zaczęliśmy się spotykać z ludźmi. Kolacja tu, kino tam. Niedzielne przyjęcie.

Moje dawne życie zaczęło blednąć. Nie tylko z powodu upływu czasu, ale ponieważ to nowe było pod wieloma względami lepsze – pod tymi względami, które się liczą. Teraz to wiem. Przedtem zarabiałem więcej. Zgodnie ze standardami amerykańskiego sukcesu – prestiżowa praca, niezła pensja, duży dom – moje obecne życie było nędzne. Ale tutaj sukces zawodowy wyrażał się w czymś więcej niż banknoty. Moją coroczną nagrodą był widok dzieci, które przyszły na moje zajęcia niechętnie i bez przekonania, a odchodziły zaangażowane i skierowane na właściwe tory. I przy tym nie miałem niezadowolonych, rozkapryszonych klientów, którzy codziennie chcieli mi wydrzeć serce.

A życie małżeńskie? Nadal zadziwiało mnie na niezliczone sposoby.

Lawrence Widdoes był człowiekiem szczęśliwym.

Pewnej letniej soboty zabrałem Alexa do Chicago.

Musiałem odebrać kolejne leki, więc postanowiłem zabrać Alexa do Muzeum Dzieci.

Ale najpierw do drugstore'u.

Właściciel mówił mi po imieniu. Byliśmy starymi kumplami. Spytał, jak mi leci.

Świetnie, powiedziałem.

Według niego było za gorąco.

Zgodziłem się z nim – tkwiliśmy w samym środku niemiłosiernej fali upałów. Odczuwałem to bardzo wyraźnie, ponieważ w szkole nie było klimatyzacji. Codziennie wracałem do domu zlany potem.

Sprzedawca dał lizaka Alexowi, który zrobił wielkie oczy – jak zwykle dzieci, kiedy da się im ich odpowiednik pieniędzy. Alex kazał mi go rozwinąć, wsadził go sobie do buzi i uśmiechnął się.

Wtedy przyszedł asystent sprzedawcy i powiedział:

– Pan Widdoes? Bardzo mi przykro, myślałem, że pan zrozumiał. Powiedziałem, że insulina będzie dopiero w poniedziałek.

– Co?

– Dobrze to pamiętam, powiedziałem, że w poniedziałek.

– Kiedy to pan powiedział?

– Kiedy pan zadzwonił. Przecież mówię.

– Kiedy zadzwoniłem?

– Spytał mnie pan, kiedy będzie insulina. Powiedziałem, że w poniedziałek.

– Ja? Może żona?

Spojrzał na mnie trochę dziwnie, wzruszył ramionami.

– Może. Więc będzie dopiero w poniedziałek.

– Dobrze. Do poniedziałku.

Poszliśmy do Muzeum Dzieci.

Mają tam kilka eksponatów, które można dotykać. Alex przeczołgał się przez ogromny lewy przedsionek i wpełzł do samego serca, gdzie się rozsiadł wygodnie. Wiedział, że nie mogę za nim wejść i rozkoszował się tą chwilową niezależnością. Musiałem go przeczekać.

W końcu wypęzł z prawego przedsionka.

Sprawdził, ile by ważył na Marsie.

Wystukał wiadomość alfabetem Morse'a.

Pobawił się z komputerem w kolorowanki.

Włożył skrzydła.

Zaniosłem go do kawiarni w muzeum, gdzie kupiłem mu hot doga i frytki – pod warunkiem, że nie powie mamusi, która ostatnio prowadziła prywatną krucjatę przeciwko

niezdrowemu jedzeniu.

Siedzieliśmy, jedliśmy i raptem doznałem czegoś w rodzaju olśnienia.

Coś mnie męczyło. Ciągle za mną chodziło, brzęczało mi za uchem. Usiłowałem je odpędzić, ale nie odchodziło. Nie mogłem go zabić. To mnie doprowadzało do szału.

Przypomniałem sobie, jak siedziałem i jadłem w towarzystwie Lucindy, Didi, jak tam jej było. Pamiętam, jak wylałem przed nią wszystkie smutki, kiedy spytała o moją córkę. O Annę. I pamiętam, że coś jej powiedziałem.

Nagle zrobiło mi się zimno.

Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Kim.

– Skarbie – zacząłem.

– Aha, cześć. Jak leci?

– Świetnie. Prosto stąd idziemy do muzeum martwych rodziców. Czuję się jak po maratonie.

– Więc pewnie dobrze się bawił.

– Można tak powiedzieć. Słuchaj, chcę cię o coś spytać.

– Tak?

– Dzwoniłaś w tym tygodniu do Roxmana? W sprawie insuliny dla Anny?

– Do Roxmana? Nie. Bo co?

– Nie dzwoniłaś? Na pewno?

– Tak, Charles... ops... Larry. Na pewno.

– Na pewno nie zapomniałaś? Jesteś całkowicie pewna?

– Tak. Nie dzwoniłam do Roxmana. Zapamiętałabym. Mam ci to dać na piśmie? Co się stało?

– Nic. Tylko powiedzieli mi coś takiego...

Pożegnałem się. Skończyłem rozmowę.

Spojrzałem na mojego syna. Skubał ostatni kawałek kiełbaski. Głosy odbijały się echem od ścian muzeum, przy sąsiednim stoliku jakieś dziecko darło się jak nieszczęście. Alex podniósł na mnie oczy.

– Tatusiu... dobrze? – spytał.

WYKOLEJONY: 51

Wszedłem do Internetu.

Cofnąłem się o trzy lata. Do dnia wybuchu.

Pod Fairfax znalazłem 173 hasła.

Wszystko od artykułów w gazetach po wzmianki w telewizji i nawet internetowe dowcipy.

Po co ludzie jadą do hotelu Fairfax? Żeby się rozerwać.

Artykuły były dokładnie takie, jak można się było spodziewać.

Historie o bohaterskich strażakach i niewinnych ofiarach. A pomiędzy historiami o niewinnych ofiarach znowu zobaczyłem własne nazwisko – najpierw wśród zaginionych, potem wśród zmarłych.

Charles Schine, lat 45, dyrektor agencji reklamowej.

Były też nazwiska Dextera, Sama i Didi.

I jego – w porządku alfabetycznym na końcu listy.

Czytałem dalej. Były też inne opowieści – o facecie, który podłożył bombę.

„Wspomnienie o bombiarzu – obrońcy życia poczętego”, brzmiał tytuł jednej z nich. Jack Christmas urodził się w Enid w Oklahomie. Był miłym chłopcem, który chętnie wycierał tablicę, powiedział jego nauczyciel z trzeciej podstawowej. Ale jeden ze szkolnych kolegów zapamiętał go jako „trochę walniętego”.

Był też artykuł o samym hotelu.

„Nikt się nie spodziewał”. Hotel zbudowano w 1949 roku. Początkowo mieszkali w nim bogaci klienci. Potem podupadł i stał się schronieniem dla prostytutek i ubogich rezydentów.

Znalazłem też parę notek o krajowym terroryzmie.

Artykuł o organizacji „Dzieci Boże”. Manifest działaczy antyaborcyjnych. Kilka wzmianek o tych, którzy przeżyli. Opis ataku w Oklahoma City i jego podobieństwa do tego z hotelu.

A następnie kolejna lista zmarłych – tym razem z krótkimi żałobnymi teksami.

Charles Schine był dyrektorem kreatywnym w Schuman Advertising. Pracował nad wieloma istotnymi zleceniami. „Charley był naszą chlubą, zarówno jako pisarz, jak i człowiek. Będzie nam go bardzo brakować” – powiedział Eliot Firth, prezes Schuman Advertising. Charles Schine osierocił córkę i żonę.

Samuel M. Griffen był określony jako „jaśniejąca gwiazda świata konsultingu finansowego”. Jego brat powiedział: „Był hojnym i kochającym ojcem”.

Znalazło się też coś o Dexterze. „Był jednym z nas”, oznajmiło kierownictwo hotelu

Fairfax, „i oddanym pracownikiem”.

Nawet o Didi było parę słów. Przynajmniej podejrzewałem, że to ona.

Desdemona Gonzalez, lat 30, kochająca siostra Marii. Córka majora Franka Gonzaleza ze wschodniego Teksasu.

Zdecydowałem się na okreśną drogę. Przejrzałem teksańskie gazety; takie periodyki na ogół są pełne wiadomości o miejscowych ofiarach.

Znalazłem ją. Artykuł w „Roxham Texas Weekly”.

Emerytowany major Frank Gonzalez siedzi przed swoim domem, kryjąc w sercu ból z powodu śmierci najmłodszej córki, zabitej podczas wybuchu w hotelu Fairfax. Desdemona Gonzalez, lat 30, od dziesięciu lat mieszkała w Nowym Jorku. „Nie utrzymywała ze mną kontaktu”, mówi jej ojciec. „Nie dzwoniła na święta ani nic w tym rodzaju...” Przyjaciele rodziny przyznają, że pan Gonzalez i jego córka byli poróżnieni od wielu lat... jako nastolatka Desdemona została aresztowana z powodu narkotyków, wspomina się również o zarzucie molestowania seksualnego wobec jej ojca. Przyjaciel rodziny, który pragnie zachować anonimowość, utrzymuje, że oskarżenia te były całkowicie bezpodstawne...

Wróciłem do żałobnych notek.

Brakowało jednej.

Poczułem coś na karku – jakby strużkę lodowatej wody płynącą w odwrotnym kierunku – do góry.

Znowu przeczytałem wszystko od początku. Nic. Ani słowa.

Wszedłem na stronę „Daily News”. Napisałem „Hotel Fairfax”.

Trzydzieści dwa artykuły.

Zacząłem od napisanego w dniu wybuchu. Zamieszczono przy nim zdjęcie ruin. Stara kobieta płacząca na rogu ulicy, strażacy stojący ze spuszczoneymi głowami na środku jezdni. Przebiegłem wzrokiem tekst. Otworzyłem następny.

Przeważnie to samo co wszędzie, tylko w porządku chronologicznym. Wybuch, zmarli, bohaterzy, czarny charakter, dochodzenie, pogrzeby.

Zajęło mi to dwie godziny. Ciągle nic.

Zacząłem podejrzewać, że się pomyliłem. Źle zinterpretowałem luźną uwagę, to wszystko. To się zdarza.

Sprawdzę jeszcze jeden tydzień – cztery tygodnie po wybuchu. I koniec.

Potem wyłączę komputer i pocałuję na dobranoc moje dzieci. Położę się obok Kim, wtulę się w jej ciepłe ciało. Zasnę ze świadomością, że wszystko jest w porządku.

Zacząłem od poniedziałku. Dotarłem do wtorku.

Omal tego nie przegapiłem.

Artykuł był niewielki – zagubiony w powodzi tekstów o wojnie na Dalekim Wschodzie, potrójnym morderstwie w Detroit, małżeńskim skandalu burmistrza Nowego Jorku.

„Ocalony bohater o brudnych rękach”, brzmiał jego tytuł.

Otworzyłem go, wstrzymałem oddech i zacząłem czytać.

Był to artykuł z serii ciekawostek; zaczynają je publikować, kiedy skończą się wiadomości o bohaterach i ofiarach, żeby czytelnik zadumał się nad smutną ironią życia.

Ciało wyciągnięte z gruzów... żadnych dokumentów... przez kilka tygodni w śpiączce... operacja mózgu... na podstawie odcisków palców zidentyfikowano go jako... samochód w hotelowym garażu... nie zjawił się przed sądem... przedstawiciel policji... więzienny szpital...

Przeczytałem powoli, zaczynając od końca. I jeszcze raz, żeby nie było nieporozumień.

Insulina dla Anny.

Wytwarza się ją z komórek świńskiej trzustki, jak każdą insulinę. Dopiero potem nauczono się ją otrzymywać z surowców syntetycznych. Było to całkiem nowe odkrycie; Anna przyjmowała świńską insulinę, odkąd zachorowała. Kiedy usiłowaliśmy ją przestawić na syntetyk, jej poziom cukru skoczył pod niebiosa i nie chciał opaść.

To się czasem zdarza, powiedział doktor Baron. Niektórzy reagują lepiej na surowce naturalne. Więc trzymaliśmy się świńskiej insuliny.

Nawet kiedy zaczęto ją wycofywać ze sprzedaży. Nawet kiedy było o nią coraz trudniej. Ale nie ma powodu się martwić. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ją sprowadzi, powiedział doktor.

Rozmawiałem z Jameelem Farradayem, szkolnym psychologiem.

Raz na rok Jameel przywoził skazańców ze stanowego więzienia do szkoły, żeby wystraszyć uczniów. Skazańcy – niektórzy nawet dorastali w okolicy – mówili o narkotykach, złych decyzjach i życiu za kratkami.

Potem była pora na pytania publiczności.

– Zabił pan kogoś? – spytał jakiś uczeń byłego narkomana, który miał bliznę biegnącą wzdłuż szczęki.

– Nie – odpowiedział były narkoman i wszyscy jęknęli z rozczarowania.

– Zastanawiam się, czy nie kazać moim uczniom napisać listu do więźniów – powiedziałem. Farraday jadł tłuczone kartofle i ociekające tłuszczem paluszki drobiowe.

– W jakim celu?

– No, to coś takiego, co ty robisz – ale na piśmie. Moi uczniowie udoskonalą styl, a tamci być może dadzą im lekcję życia.

– Możliwe.

– Tak sobie myślałem...

– Tak?

– Znałem kogoś, kto trafił do więzienia – mieszkał obok nas. Może bym zaczął od niego.

– Za co siedzi?

– Właściwie nie wiem. Chyba za narkotyki.

– Aha.

– Nie wiesz, jak mógłbym go znaleźć?

– To znaczy, w którym więzieniu siedzi?

– Tak.

Farraday wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mogę spytać mojego człowieka w Chicago.

– Zechciałbyś?

– Jasne. Jeśli nie zapomnę. Skąd jest?

– Z Nowego Jorku.

– Mhm. Jak się nazywa?

– Vasquez.

– Vasquez?

– Tak. Raul. Raul Vasquez.

Wiedział, gdzie mieszkam.

Wyciągnęli go z gruzów bliskiego śmierci – ale nie martwego.

Przez wiele tygodni leżał w śpiączce. Nie pamiętał, kim jest.

Jego samochód stał zaparkowany pod hotelem. On sam nie pokazał się w pracy. Uznali go za zmarłego.

W ostatnim wysiłku, by ustalić jego tożsamość, pobrano mu odciski palców. Raul Vasquez. Nie zjawił się przed sądem, oskarżony o napaść, pobicie i stręczycielstwo.

Przeniesiono go do więziennego szpitala, gdzie pozostał, dopóki stan jego zdrowia nie pozwolił na postawienie go przed sądem.

Tyle dowiedziałem się z gazety. Resztę sobie dopowiedziałem.

Posadzili go. A tam miał czas, żeby się zastanowić i przypomnieć parę spraw.

To, co powiedziała mu Didi. O mojej córce. O specjalnej świńskiej insulinie, która była jej potrzebna do życia. Świńska insulina – dlaczego? Tak mnie spytała, prawda? Jak pełna troski kochanka, a nie oszustka wyciągająca informacje.

Vasquez siedział w więzieniu i myślał o zemście. Ja się przed nim ukrywałem. Zniknąłem. Ale w pewnym momencie zrozumiał, że jest coś, co będę musiał zrobić. Choćbym nie wiadomo jak starannie się schował, to jedno będę musiał zrobić.

Mówi Widdoes. Czy moja insulina już przyszła?

W wielu drugstore'ach musieli powiedzieć: nie. Spytałem: jaki Widdoes?

Ale on się nie poddawał. Ciągle dzwonił. Miał mnóstwo czasu. I motywację.

Może zaczął od Nowego Jorku. Potem zajął się Pensylwanią. I tak dalej.

Pewnego dnia dotarł do Illinois.

Do Roxmana.

I tym razem kiedy spytał o insulinę, nie usłyszał „Nie”.

Usłyszał: „Jeszcze nie”

Ale będzie w poniedziałek.

Dwa tygodnie później Jameel znalazł mnie po zajęciach i wręczył mi kartkę.

– Co to? – spytałem.

– Twój znajomy. A raczej trzech.

– Trzech?

– Aha. Trzech Raulów Vasquezów. Ale jeśli jest z Nowego Jorku, to pewnie to ten. –

Wskazał pierwszego na liście. – I chyba jest tutaj.

Leżałem w łóżku. Nie mogłem spać.

Kim przyzwyczała się do moich nocnych zwyczajów i wiedziała, nawet nie patrząc, że leżę bezsennie i wpatruję się w sufit.

– Co się stało, kochanie?

Nie mogłem jej jeszcze powiedzieć. Nie miałem serca. Raz uciekliśmy przed katastrofą; zaczęliśmy od nowa. Byliśmy szczęśliwi. Nie mogłem jej powiedzieć, że jednak nie uciekliśmy. Ze przeszłość sięgała ku nam lodowatymi palcami.

– Nic.

Myślałem.

Kiedy może dostać zwolnienie warunkowe więzień skazany na dwadzieścia lat?

Kiedy go wypuszczą?

Wtedy po mnie przyjdzie – wiedziałem to na pewno. I po moją rodzinę. I zrobi to, co zrobił Winstonowi, Samowi Griffenowi, temu mężczyźnie, którego wypchnął z pociągu do Lynbrook i Bóg jeden wie, ilu innym.

A kiedy przyszedł do nas jako kominiarz...

Znałem rodzinę, która poszła spać i już się nie obudziła.

Tak, on po mnie przyjdzie.

Chyba że... wyszeptałem to jak żarliwą modlitwę.

Chyba że ja przyjdę do niego pierwszy.

Nie wiedział, że o nim wiem. Nie wiedział, że się wydało.

Ale czy to ważne?

Był w więzieniu. Za kratami.

Żeby się do niego dostać, musiałbym przeniknąć mury więzienia Attica.

Więc... jak by to zrobić?

ATTICA

To były moje ostatnie zajęcia.

Zaznaczyłem tę datę w kalendarzu. Przećwiczyłem wszystko na wrywki.

Przeszedłem przez wykrywacz metalu; funkcjonariusz, niejaki Stewey, powiedział „Ostatni dzień, co nie?” – wydawało mi się, że niemal ze smutkiem. Może ludzie przyzwyczajają się do tych, którymi pomiatają? Kto wie, czy kiedykolwiek trafią im się

równie dobre ofiary?

Przed pójściem do klasy wstąpiłem do świetlicy dla personelu.

Był to zwyczajny pokój ze składanymi krzesłami, stolikami i trzynastocalowym telewizorem, przeważnie nastawionym na *Dukes of Hazzard*. Funkcjonariusze najwyraźniej mieli słabość do Daisy Duke – to pewnie przez te krótkie szorty – bo na ścianie nadal wisiał jej stary plakat. Ktoś narysował sutki na jej białej bluzce.

Nalałem sobie kawy. Wsypałem mleko w proszku i zamieszałem plastikowym mieszadełkiem.

Od niechcienia podszedłem do muzeum w lewym rogu świetlicy.

– No to wolność, co nie, bracie? – odezwał się Gruby Tommy, rozwalony na dwóch metalowych krzesłach, z obiadem na kolanach.

Może i wolność, pomyślałem. Zobaczymy.

Pociągnąłem łyk kawy. W zamyśleniu przyglądałem się kolekcji kos i giwer, a Gruby Tommy wciął niesmaczny posiłek. Byliśmy w świetlicy we dwójkę.

Kiedy wreszcie odwróciłem się i wyszedłem, Gruby Tommy podniósł głowę, ale się nie pożegnał.

Ze świetlicy do klasy. Najpierw musiałem przejść przez czarne zaryglowane drzwi – trzeba dwa razy zapukać i zaczekać, aż obszuka kolejny funkcjonariusz. Potem ruszyłem przez „kręgielnię”, jak więźniowie nazywali główny korytarz. Jest podzielony na pół żółtą przerywaną linią, jak autostrada. Jedna strona dla więźniów, druga dla personelu. Albo dla tych gdzieś pomiędzy.

Minąłem funkcjonariusza Hanka.

– Cześć, Jobwok – powiedział. – Będę tęsknił. Jesteś spoko gościu.

Czyli – jestem w porządku.

– Dziękuję – powiedziałem, choć wiedziałem, że nie mówił szczerze.

Uczniowie zajęli miejsca, a ja powiedziałem, że to nasze ostatnie spotkanie. Lekcje z nimi były fajne. Mam nadzieję, że będą czytać i pisać dalej. Powiedziałem też, że na najlepszych zajęciach uczeń staje się nauczycielem, a nauczyciel uczniem i że to właśnie miało miejsce – nauczyłem się czegoś od nich. Nikt nie był szczególnie poruszony, ale kiedy skończyłem, paru pokiwało głowami, jakby naprawdę mieli odczuć mój brak.

Malika nie było wśród nich. Ostatnim razem przekazał mi wiadomość o miejscu spotkania z autorem opowiadania.

Powiedziałem uczniom, że te ostatnie zajęcia spożytkujemy na kreatywną refleksję. Poprosiłem, żeby każdy napisał, co dla nich znaczący nasze zajęcia. Tym razem, powiedziałem, mogą nawet się podpisać.

I powiedziałem, że idę do łazienki.

Minąłem czarnego funkcjonariusza, który miał stać pod drzwiami i tym razem naprawdę stał. Powiedziałem, że wrócę za dziesięć minut.

– Zawiadomię media – odparł.

Spotkanie odbędzie się w pobliżu więziennej apteki, dowiedziałem się z listu.

On tam pracował.

Jak się pracuje w aptece, to się rzadzi, wyjaśnił mi pewien uczeń – ponieważ ma się dostęp do narkotyków.

Ma się dostęp także do czegoś innego. Do producentów leków. Można do nich zadzwonić, żeby się dowiedzieć, czego się tylko chce. Na przykład, gdzie się wysyła pewien rzadko spotykany gatunek insuliny.

Więc pewnie jednak nie musiał mnie szukać latami.

Wróciłem kręgielnią. Szedłem za znakami.

Apteka ograniczała się do długiego kontuaru za stalową siatką. W więzieniach także są więzienia, zauważyłem. Bardzo życiowy aksjomat. Mógłbym na to zwrócić uwagę moim uczniom, gdybym ich nadal miał.

Malik powiedział, gdzie odbędzie się spotkanie, a ja się na nie stawilem.

W alkwie w połowie korytarza.

W starszych budynkach, takich jak Attica, było ich mnóstwo, małe zaciszne kątki, gdzie więźniowie prowadzili interesy, sprzedawali narkotyki i padali na kolana. Gdzie wyrównywali rachunki. Zaciszny kątek. O tak, wszystko odbędzie się po cichu.

Wszedłem do alkwie, rzeczywiście bardzo cichej, i stanąłem.

– Halo?

Słyszałem jego oddech.

– Halo – szepnąłem znowu.

Wyszedł z cienia.

Zmienił się – to była moja pierwsza myśl. Wyglądał inaczej, niż go zapamiętałem.

Głowa. Wydawała się mniejsza. O innym kształcie, jakby ktoś ją ścisnął w imadle. Na czole blizna. To po pierwsze. I tatuaż na prawym ramieniu. Więzienny niebieski zegar bez wskazówek – że siedział. A niżej kamień nagrobny z liczbą 12 – wyrok.

– Niespodzianka – powiedział.

Nieprawda. Ale chciałem, żeby tak myślał.

– Jak ci leci, Chuck? – spytał. Uśmiechnął się, tak jak wtedy, gdy przyszedł do mojego domu i dotknął mojej córki.

– Larry.

– Larry. No widzisz, siedzę. Fajnie pograłeś – że niby nie żyjesz. Wszystkich nabrałeś, co, Larry?

– Nie wszystkich.

– Fakt. Nie wszystkich. Racja. Nie powinieneś pokazywać mojej dziewczynie portfela, Larry. Głupio. Bardzo głupio.

Hostessa z nocnego klubu. Widdoes... co to za nazwisko? – spytała.

– Myślałem, że nie żyjesz.

– Chciałbyś.

Tak, chciałbym, pomyślałem. Marzyłem o tym. Ale przychodzi czas, kiedy człowiek przestaje marzyć.

– Szukałem cię, Larry. Wszędzie. Masz coś mojego, no nie? Chcę to z powrotem. Więc zacząłem cię szukać. I znalazłem. Dwa razy.

– Dwa razy?

– Raz w Chicago. O, tak. Zdziwko, nie? Dokładnie wiedziałem, gdzie jesteś. Oakdale w Illinois. Potem się przeprowadziłeś.

– Tak.

– Do Bennington. Dokładnie dwa kroki stąd. Ale fuks, nie? – Tak.

– Mhm. Wiesz, jak cię znalazłem?

– Nie.

– Przez córkę. Lekci. Najpierw w Chicago. Potem Bennington. Aż tu raptem, patrzcie państwo, normalnie sam się tu ładujesz. Jak na swoje.

– Tak.

– Pomyślałem: no, czarnuchu, masz swoją wolność. Na talerzu.

– Dlaczego się nie przywitałeś?

– Przywitałem się. Mój chłopak napisał w moim imieniu powitanie.

– Twój chłopak? Nawet nie potrafi czytać.

– Nie Malik. Mój kumpel. Taki żydek, profesorek, co kropnął żonę. Pisze nam wszystkim podania o warunki. I bardzo fajne pornole. „Charley Schine wydymany” – to jego najnowsze dzieło. Wydaje mu się, że to wszystko zmyśliłem. Według niego jestem pomysłowy.

– Tak, to było bardzo skuteczne.

– Myślałem, że uciekniesz, jak zobaczysz swoją historię.

Nie, pomyślałem. Gdybym miał uciekać, zrobiłbym to w Oakdale. Tak mi radziła Deanna – uciekajmy. A ja powiedziałem: dobrze, ale jeśli teraz zaczniemy uciekać, nie będziemy mogli przestać. Do końca życia. Więc może jednak nie uciekajmy.

Wziąłem urlop i przyjechaliśmy tutaj.

– Masz coś mojego, Larry.

– Najpierw to było moje.

Uśmiechnął się.

– Myślisz, że to jakieś negocjacje? Myślisz, że się z tobą targuję? Gówno prawda. To twoja rola. Pogódź się z nią. Na kolana, otwórz buzię i powiedz: tatusiu, daj mi pieniądze.

W aptece ktoś krzyczał:

– Doktor mówi, że to gówno ma być na jutro, jasne?

– Jesteś w więzieniu – powiedziałem.

– Ty też. Obu nas zamknęli. Ty też siedzisz. Myślisz, że jesteś bezpieczny? Lepiej się zastanów. Mogę na ciebie donieść. Mogę im powiedzieć: Charley jest tutaj! I to jeśli będziesz miał szczęście. Bo jak nie, to pošlę kogoś do twojego domu, żeby wyrpał twoją żonę. A ile ma twoja córka – dorosła, żeby jej wsadzić?

Rzuciłem się na niego.

Nad moim ciałem zapanowały odruchy, które krzyknęły do mnie: słuchaj, musimy go zatrzymać, musimy go uciszyć na zawsze. Musimy.

Ale kiedy na niego skoczyłem, kiedy rzuciłem się mu do gardła, kopnął mnie w żołądek. Upadłem na kolana. Stał za mną, złapał za gardło i ścisnął.

– Otóż to, Charley – szepnął mi do ucha. – Otóż to. Wściekłeś się, co? O to chodziło. Jak to możliwe, że się pokazałeś w Bennington? Sześćdziesiąt kilometrów stąd. Na moim podwórku. I jakby tego było mało, jeszcze się tu władowałeś i zacząłeś uczyć. Przypadek? Co? Czy to przypadek? A może za ładne na przypadek? Nie wiem. Masz coś dla mnie, Charley, prawda? – Wyciągnął rękę i poklepał mnie po prawej kieszeni. I znalazł kosę, tę, którą zabrałem z muzeum. – Masz coś, żeby mi wsadzić? Co, Charley? – Wyjął nóż i pokazał mi go. – Powinieneś mnie znać już lepiej, Chuck. Jasne, spotkajmy się nad rzeką. Jasne, że przyjdę sam. Jasne. Ale ja spotkałem twojego chłopca pierwszy, co? I rozwalilem mu łeb, co? Coś ty myślał, kurwa, że kto ja jestem? Myślisz, że to przedszkole?

Przyłożył mi nóż do gardła. Przycisnął do tętnicy. Uśmiechnął się i pchnął mnie na podłogę. Poczulem jakiś gryzący smród – mocz i amoniak.

Miałem ochotę mu odpowiedzieć.

Powiedzieć, że tak, wiedziałem, z kim mam do czynienia. Powiedzieć, że dlatego właśnie czekałem pół roku w Bennington, zanim zacząłem się ubiegać o pracę w więzieniu. Że upewniłem się, że mnie znajdzie pierwszy, dowie się, że mieszkam w Bennington i uczę w liceum, żeby wszystko wyglądało na szczęśliwy zbieg okoliczności. I chciałem mu powiedzieć, że właśnie dlatego umyślnie zostawiłem klucze w kieszeni, kiedy przeszedłem przez wykrywacz metalu – żeby się przekonać, czy zdołam przeszmygować do środka broń. Pistolet. I że tamtego dnia dowiedziałem się, że nie zdołam, w związku z czym zacząłem odwiedzać świetlicę dla funkcjonariuszy, ponieważ dowiedziałem się, że jest tam jakieś muzeum.

Chciałem mu powiedzieć, że to prawda – nie wiedziałem, z kim mam do czynienia, kiedy siedziałem przy Winstonie nad rzeką i później, w hotelu Fairfax – nawet wtedy jeszcze nie całkiem wiedziałem. Ale teraz już tak. Już się nauczyłem.

I jeszcze jedno. Tylko jedno. Wtedy, gdy stałem przed muzeum, plecami do Grubego Tommy'ego, wyszeptalem to, czego się nauczyłem. Jakbym się modlił do boga spapranych planów. Bo nauczyłem się, że jeśli się chce, by Bóg się roześmiał, wystarczy zrobić właśnie to – sporządzić plan. Ale jeśli się chce, żeby Bóg się uśmiechnął, trzeba sporządzić plan awaryjny.

Plan awaryjny.

Sięgnąłem do lewej kieszeni. Wyjąłem sprężynowy pistolet z drewna i blachy, który ostrożnie naładowałem w świetlicy dla funkcjonariuszy.

I strzeliłem dokładnie między wytrzeszczone oczy Vasqueza.

TIMES UNION

ATTICA: WIĘZIEŃ ZABITY PODCZAS NAPADU

BRENT HARDING

Raul Vasquez, lat 34, pensjonariusz więzienia Attica, zginął w dniu wczorajszym, gdy jego niedoszła ofiara zdołała wyrwać mu skonstruowany w więzieniu pistolet i zranić go ze skutkiem śmiertelnym. Lawrence Widdoes, lat 47, który uczy więźniów angielskiego dwa razy w tygodniu, padł ofiarą Vasqueza w pobliżu więziennej apteki. Świadek pracujący w aptece widział, jak Vasquez zaatakował fizycznie pana Widdoesa. „Dusił go jak cholera...” – zeznał Claude Wathers, więzień. „A potem pach i Vasquez leży”. Pan Widdoes, który odniósł

obrażenia szyi, nie wie, co sprowokowało atak, ale sądzi, że *mógł* on mieć coś wspólnego ze skrytykowaniem przez niego pracy studenta mieszkającego z Vasquezem. Pan Widdoes, który ze względu na cięcia budżetowe musi niestety zawiesić swoją działalność pedagogiczną w więzieniu, cieszy się, że ocalił życie. „Czuję, że dostałem drugą szansę”, powiedział.

WYKOLEJONY: KONIEC

Wróciłem do domu.

Kim wybiegła z domu, stanęła nieruchomo i wpatrzyła się we mnie w osłupieniu. Jakbym był zjawą.

Skinąłem głową i szepnąłem:

– Tak.

Powoli podeszła i zagarnęła mnie w ciepłe jak koc objęcia.

Już dobrze, mówiła, już możesz odpocząć.

Alex zbiegł po schodach, krzyząc: „Tatuś wrócił!”. Szarpał mnie za koszulę, dopóki go nie wziętem na ręce. Policzek miał lepki od czekolady.

– Gdzie Jamie? – spytałem Kim.

– Robi dializę.

Pocałowałem ją w czubek głowy. Postawiłem Alexa na ziemi. Poszedłem na piętro do pokoju Jamie.

Była podłączona do przenośnego aparatu. Usiadłem na łóżku obok niej.

– Wkrótce wrócimy do Oakdale – powiedziałem. – Do twoich przyjaciół. Dobrze?

Kiwnęła głową.

Teraz dializuje się trzy razy na tydzień.

Ostatnio mówiło się o umieszczeniu jej na liście oczekujących na przeszczep nerki – najnowsza nadzieja dla takich jak ona. Ale później do końca życia trzeba by się martwić o leki przeciwdziałające odrzuceniu organu, więc trudno powiedzieć, czy to naprawdę dla niej lepiej. Na razie podłączaliśmy jej żyły do tej strasznej maszyny, a ja siedziałem obok i słuchałem, jak maszynieria z szumem przepompowuje krew przez jej ciało, które przestaje funkcjonować.

Czasami ten dźwięk mnie usypia i Anna znowu ma cztery lata. Jestem z nią w zoo pewnego niedzielnego poranka przed wielu laty. Karmimy słonie. Podnoszę ją wysoko i czuję stukot jej małego serduszka, które się ku mnie wrywa. W powietrzu czuć mroźny podmuch, liście powoli opadają z falującej rdzawej korony. Tylko Anna i jej tatuś, idący ręką w rękę na poszukiwanie wspomnień.

I wiem, że będę tu siedzieć zawsze.

Tak długo, jak będzie trzeba.